TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 21 – 27 października 2026 | nr 43 (4033)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI

I ty płacisz za spór o Trybunał Konstytucyjny

Ukraina w kleszczach Putina i Trumpa

O. Ludwik Wiśniewski pisze testament

Jak ewolucja nauczyła nas muzyki

KSIĄŻKI W TYGODNIKU:
Radek Rak o dziejach polskiego fantasy

Rynek usług duchowych

DLACZEGO U WRÓŻEK, UZDROWICIELI I EZO-COACHÓW ZOSTAWIAMY MILIARDY

RAPORT
STR. 10-15



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Festiwal Ars Cameralis

PUSTKA

XXXV edycja
3–27 listopada 2026



Pełny program: arscameralisfestiwal.pl

REKLAMA

Organizator: Województwo Śląskie; Ars Cameralis Silesiae Superioris; Ars Cameralis jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego

Partner: Dofinansowane ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca; Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego; Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Patronat medialny: Tygodnik Powszechny; Katowice Aglomeracja; Hotel Monopol Katowice; Radio Katowice; Gazeta.pl; Radio 357

Bilety: ticketmaster

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MICHAŁ KUŹMIŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Z dwóch stron
WOJCIECH PIĘCIAK

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Samotne dzieci w sieci
AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI
o walce z radykalizacją młodzieży i nihilistycznym ekstremizmie

19 Reset racją stanu
STEFAN SĘKOWSKI:
Albo zbudujemy Trybunał Konstytucyjny od nowa, albo przestaniemy być demokracją

22 Dyskretny urok apokalipsy
ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM PLUCIŃSKIM, SOCJOLOGIEM,
o dzisiejszym aktywizmie

■ ■ ŚWIAT

28 Jesień w Kramatorsku
ANTONINA PALARCZYK:
Reportaż z ostatniej ukraińskiej linii obrony w Donbasie, gdzie wciąż żyje wielu cywilów

31 Wołanie z Kijowa



ARCHIWUM PRYWATNE

ROZMOWA Z O. PETREM BALOGIEM OP:
Boję się, że tej zimy nasze miasta staną. Ale trzeba walczyć do końca

32 Talibowie, złoto i opium
AGNIESZKA PIKULICKA:
Badachszan to najzasobniejszy w surowce region Afganistanu. I najbardziej niespokojny

■ ■ WIARA

36 Lekcja kruchości
O. KASPER M. KAPROŃ OFM:
Jak Peru ukształtowało pontyfikat Leona XIV

39 Metapolityka ojca Ludwika
KS. ANDRZEJ BRONK:
Legendarny duszpasterz akademicki i kapelan Solidarności kończy 90 lat

TEMAT TYGODNIKA



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

10
Cena uzdrowienia
BEATA CHOMĄTOWSKA
Rynek usług duchowych w Polsce obraca miliardami złotych. Jest tak ogromny, jak ogromne jest cierpienie, domagające się uwagi.

■ MAGAZYN LITERACKI ■

63 Książki w Tygodniku
a w nim m.in.
RADEK RAK *o historii polskiej fantastyki*
Portret OLAFA STAPLEDONA
Fantastyka dla dzieci
Wokół biografii
ZBIGNIEWA BRZEZIŃSKIEGO

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
o tym, o co modli się świat
25 OLGA DRENDA
o obwinianiu gier za zło
43 ZUZANNA RADZIK
o sensie strajku
55 ELIZA KĄCKA *o retellingu*
58 NATALIA DE BARBARO *o traumie*
92 PAWEŁ BRAVO
o złym PR-ze włoszczyzny
98 TOMASZ STAWISZYŃSKI
o internetowym tłumie

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

REDAKTOR PROWADZĄCY:
MICHAŁ KUŹMIŃSKI

42 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

44 Chłopiec z Placu Szena
GRZEGORZ ŁUBCZYK:
70 lat temu w Budapeszcie wybuchło powstanie przeciw Sowietom

■ ■ NAUKA

50 Co nam w duszy gra
ROZMOWA Z MICHAELEM SPITZEREM, MUZYKOLOGIEM:
Jak ewolucja nas umuzykalniła

53 Choroba cywilizacyjna
ŁUKASZ KWIATEK:
Dżuma towarzyszy nam już od epoki kamienia

■ ■ KULTURA

86 Ołówki muszą być okrągłe



MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

JERZY JARNIEWICZ:
Dziennik Steinbecka i „Na wschód od Edenu” jako przypowieść o naturze zła

90 Kwadratura słońca
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Everytime” Sandry Wollner

91 Umbria i świat
LEKTOR *o książce Bartka Kieżuna „Via Flaminia. Opowieści z Umbrii”*

■ ■ ZMYSŁY

94 Z kamerą wśród stworzeń



MATERIAŁY PRASOWE AGAINST GRAVITY

ROZMOWA Z VINCENTEM MUNIEREM, *twórcą dokumentu „Pieśni lasu”, o obserwowaniu przyrody w Tybecie i za domem*

KS. ADAM

Boniecki: *Kiedy choruje papież*

Młodzieńczy i wyprostowany jak trzcina, energiczny i wszechstronnie wykształcony, zakonnik i misjonarz, Amerykanin (pierwszy raz), ale też obywatel Peru, w którym długie lata pracował... czasami myślę, że Franciszek w nim właśnie widział swego następcę. Dlatego te szybkie nominacje, dlatego włączenie do grona kardynałów.

Oczywiście nie mógł wiedzieć, jaki będzie wynik konklawe, ale przynajmniej stworzył możliwości. W tym również była jego wielkość: otworzył drogę do papiestwa człowiekowi, który, owszem, był mu bliski, ale nie był taki jak on. Nie chcę tu pisać pobożnych banałów, ale trudno nie zauważyć, że w tamtym momencie, w którym Franciszek był papieżem, właśnie taki papież był potrzebny – i że teraz może być podobnie. Już samo imię następcy, nawiązujące do pierwszego papieża w nowoczesnym świecie, wydaje się znaczące.

Tylko czy choroba papieża nie ograniczy jego zamierzeń? Wiemy, że operacja się udała, nowotwór usunięto, a Leon wybiera się w podróż do Ameryki Łacińskiej – ale wiemy też, co czasem działo się w Watykanie, kiedy papieże chorowali i słabli.

Tak, nie jest łatwo być papieżem. Oczywiście jest cały system, wypracowany i udoskonalany przez stulecia. Oczywiście istnieje możliwość wsparcia przez najlepszych ludzi z całego świata. Oczywiście, jest też cały dorobek Stolicy Apostolskiej – ale z drugiej strony, w tak ogromnej instytucji ileż czyha pułapek i niebezpieczeństw... Historia Kościoła to, niestety, nie tylko historia zbawienia:



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA

MICHAŁ

Kuźmiński: *Coaching serca*

Przez moją internetową bańkę co i rusz przemykają oferty ludzi, którzy postanowili odejść ze świata korpo i przekwalifikować się na dostawców dobrostanu. Obok kompetentnych psychologów, dietetyków czy trenerów, trafiają się i tacy, którzy oferują, dajmy na to, coaching serca, oczyszczanie energii czy jogę superego.

Popyt na dobrostan w przemęczonym, przepracowanym i przebodźcowanym świecie jest olbrzymi, a podaż, wobec kryzysu zaufania do nauki, ale też wobec problemu z dostępem do psychoterapii i pomocy w kryzysach psychicznych (choć wiele się tu zmienia, o czym w ubiegłym tygodniu pisała Anna Goc), kreuje się na alternatywę. W dzisiejszym Temacie Tygodnika **BEATA CHOMĄTOWSKA** zwraca uwagę, że „rynek usług duchowych" to już nie wróżki i jasnowidze, lecz oferta upozowana na coaching, szkolenia, samorozwój i influencing. Czytam jej artykuł z przejęciem z licznych powodów, ale wybijają się z nich dwa.

Pierwszy: przez lata parałem się dziennikarstwem naukowym,

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 35

SPRAWDŹ **PROMOCYJNĄ OFERTĘ:** PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

wiele w niej słabości, by nie powiedzieć: grzechów. Przenikanie się nadprzyrodzonego z przyrodzoną człowiekowi słabością, omylności z nieomylnością, zapału i znużenia... Kościół to naprawdę dziwna instytucja i aż korci stwierdzenie, że gdyby nie ingerencja z nieba, dawno by przestał istnieć lub zamienił się w sektę.

Owszem, niekiedy Kościół się degraduje, ale potem, o dziwo, znów się odradza. Widzieliśmy to w oczyszczeniu, które przyszło po spektakularnej odnowie świadomości kościelnej za czasów Jana Pawła II. „Co z tego, że Kościół jest wielki, gdy jest też chory" – myślało wielu, a niektórzy uznali tę chorobę za śmiertelną. „Wierzę, ale nie chcę być w takim Kościele" – mówili. A w nim rodziła się kolejna odnowa.

Nie chcę mówić, że odnowa Kościoła zawsze wiąże się z czyimś cierpieniem, ale niespodziewana choroba Leona XIV pozwala chyba zobaczyć to także z tej perspektywy. Następca ukrzyżowanego Piotra, świadek Chrystusa dzisiaj... nie mam odwagi napisać do końca. Mówiąc o Kościele nie jako o potężnej instytucji międzynarodowej, ale o tajemnicy wiary, czujemy się niepewnie. Łatwo nam przychodzi swoje myśli interpretować jako myśli Pana Boga. Proroctwa o zmierzchu wiary są przytłaczające, a jednocześnie zdaje się, że w niektórych znakach jest głos z nieba. I może nie tylko się zdaje.

Papież Leon XIV przyszedł po Franciszku, który robił porządki i chwilami chyba sam nie wiedział, w co ręce włożyć. Kontynuuje dzieło poprzednika w sposób może bardziej uporządkowany, ale tempa nie chce zwolnić. Gdy wróci do zdrowia, zobaczymy, jak jeszcze Pan Bóg może działać. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

więc uderza mnie, że przy całym tym kryzysie zaufania do nauki, twórcy owej alternatywy duchowej uwiarygadniają się, zawłaszczając jej terminologię. Przecież to medycyna, psychologia, fizyka i biologia dostarczają chwytliwych nazw praktykom ludzi podważających zaufanie do naukowego konsensusu. To już nie stawianie tarota, to praca z polem kwantowym.

Drugi: po ich usługi sięga dziś moje pokolenie. Pokolenie transformacji – świata, który gwałtownie utracił zrozumiałość, i który wypełniły desperackie próby jej przywracania, w tym ezoteryka i parapsychologia, a także wiara w cuda (pamiętacie Matki Boskie na szybach?). Jesteśmy pokoleniem, które w telewizji oglądało raz Kaszpirowskiego, raz Jana Pawła II, a raz Balcerowicza, od którego uczyliśmy się logiki wolnego rynku: zapłaciłem, więc ma działać. I jeśli się okazuje, że psychoterapia – czy chemioterapia – nie działa tak, jak sobie usługobiorca wyobrażał, szuka innego dostawcy. A dziś świat znów traci zrozumiałość...

Szczęśliwie jesteśmy też pokoleniem Wiedźmina – a w inspirującym świecie fantasy, którego polską historię zaczyna w tym numerze opisywać **RADEK RAK**, magia działa. Tam przed niezrozumiałością świata można się czasem na chwilę schronić. ©℗

Dziennikarz i redaktor działu Kultura, podkaster, współautor powieści kryminalnych i autor książek dziennikarskich.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

ANNA GOC
Rozmowy o śmierci, nie tylko w zaduszki: Boimy się ich, unikamy, uważamy, że przyjdzie na nie czas. Zdarza się, że są początkiem pożegnania. Ale i bliskości, jeśli tej dotąd brakowało.



RYSZARD KOZIOŁEK
o „Świata jest za dużo": Na początku było mi wstyd, że tak dobrze się bawię, czytając powieść, w której tyle jest śmierci i traumy. Szybko zawstydziłem się swoim wstydem. Co myśmy sobie zrobili, że nie umiemy już bawić się literaturą?

ADAM LESZCZYŃSKI
o autorze „Lalki": Nowoczesność jest pakietem i Prus uważał, że jako Polacy powinniśmy z Zachodu ten cały pakiet kupić. Myślę, że gdybyśmy mieli podobnego autora dzisiaj, to byłby nieustająco wyklinany przez środowiska prawicowe.

A także: Tatry i życie po stracie – nowy felieton JUSTYNY KOWALCZYK-TEKIELI

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

OBRAZ TYGODNIA

12–18 PAŹDZIERNIKA 2026

TRUMP WYBRAŁ ZŁĄ STRONĘ i chce zmusić Ukrainę do kapitulacji – powiedział Wołodymyr Zełenski, komentując porozumienie prezydenta USA z Władimirem Putinem w sprawie zniesienia sankcji na dostawy rosyjskiego paliwa na amerykański rynek (Trump poinformował też o odroczeniu sankcji na Rosję wynikających z tzw. ustawy Lindseya Grahama); ukraiński przywódca dodał, że nie otrzymał od amerykańskiego wywiadu sygnału o rosyjskim ataku balistycznym na Kijów i że Amerykanie spowolnili działanie systemu Starshield, zapewniającego m.in. łączność internetową ukraińskim dronom przechwytującym bezzałogowce agresora. ■■■ **UKRAIŃCY WZNOWILI ATAKI** na rosyjskie rafinerie (do pożarów doszło m.in. w Petersburgu i w Riazaniu), przerwane wcześniej na skutek żądań Trumpa; Zełenski podkreślił, że ogłoszony przez prezydenta USA „rozejm energetyczny" był fikcją, bo Rosjanie nie zaprzestali ataków na ukraiński sektor energetyczny i naftowo-gazowy. ■■■ **UE** nie zwróci Rosji zamrożonych aktywów, dopóki Moskwa nie wypłaci Ukrainie reparacji wojennych – powiedziała szefowa unijnej dyplomacji Kaja Kallas. Wcześniej „Financial Times" napisał, że USA zaproponowały Europie odmrożenie części rosyjskich aktywów i przekazanie ich pod nadzór Waszyngtonu. ■■■ **ODWOŁANA TRANSMISJA** egzekucji. Trump zdecydował, że rozstrzelanie Nidala Hassana, skazanego na śmierć za zamordowanie kilkunastu osób, nie będzie jednak pokazywane na żywo. ■■■ **OPERACJA LEONA XIV** przebiegła pomyślnie. Papież, któremu usunięto złośliwy nowotwór płuca, kilka dni po zabiegu uczestniczył w spotkaniu z wiernymi, a w listopadzie wybiera się w podróż do Urugwaju, Peru i Argentyny. ■■■ **WE FRANCJI PROTESTY LICEALISTÓW,** domagających się poprawy warunków nauki, zmieniły się w gwałtowne protesty przeciwko rosnącym kosztom życia. Kilkusettysięczne manifestacje naznaczyły akty grabieży i ataki na budynki publiczne, w Limoges spalono i zniszczono zabytkowy ratusz. ■■■ **PO AKTACH PRZEMOCY** w polskich szkołach policja przeprowadziła ponad 225 tys. kontroli i zatrzymała 194 osoby. ■■■ **WOKÓŁ TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO** trwa zamieszanie: przed budynkiem manifestacje z udziałem polityków PiS, w środku przepychanki między prezesem Bogdanem Święczkowskim a nowo wybranym sędzią Maciejem Berkiem. Ten ostatni złożył swoje ślubowanie w Sejmie z formułą, że robi to „wobec prezydenta", a następnie przekazał poświadczone notarialnie dokumenty w tej sprawie do Kancelarii Prezydenta – i usiłuje podjąć pracę. ■■■ **14 MLN L4** wystawiono w pierwszym półroczu 2026 – poinformował prezes ZUS Liwiusz Laska, a najczęstsze przyczyny zwolnień lekarskich to choroby związane z narządem ruchu i zaburzenia psychiczne. ■■■ **O 90 TYS.** zmniejszyła się w tym czasie liczba ludności Polski – podał GUS. Obecnie jest nas 37 mln 243 tys. ■■■ **OLGA TOKARCZUK** opublikowała nową powieść. W premierze „Świata jest za dużo" we wrocławskiej Hali Stulecia uczestniczyło ponad 4 tys. osób. ■■■ **MAJA CHWALIŃSKA WYGRAŁA** turniej WTA 1000 w Wuhan i awansowała na 11. miejsce w światowym rankingu tenisistek (pokonana przez nią w półfinale Iga Świątek jest 9.).

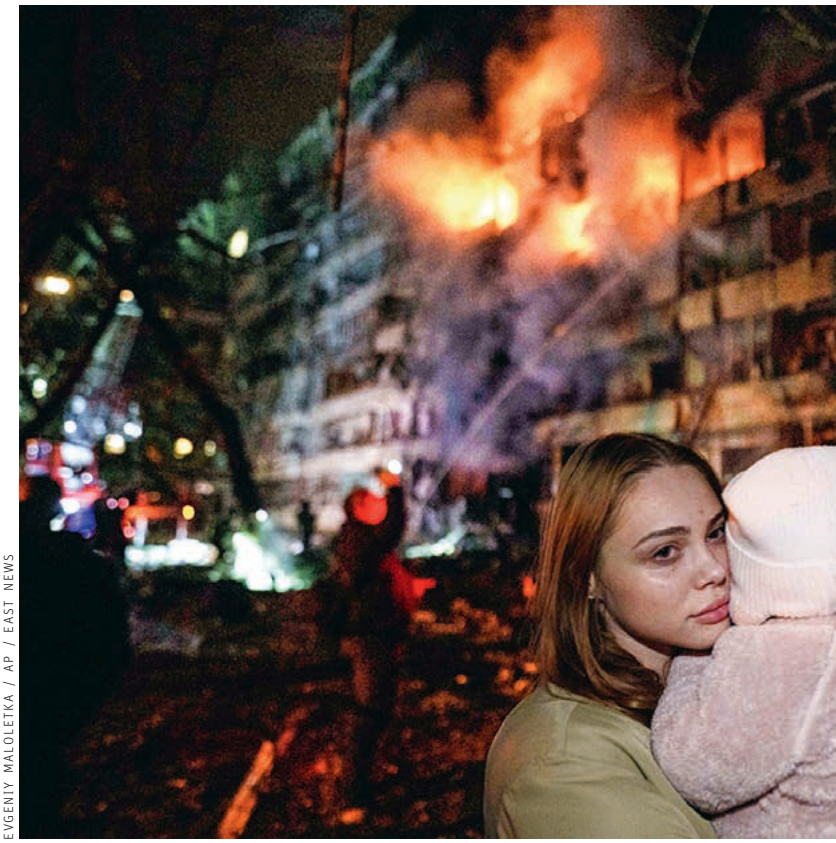

EVGENIY MALOLETKA / AP / EAST NEWS

Z DWÓCH STRON

Kumulacje ciosów od Putina i Trumpa: tak wyglądają ostatnie dni w oczach Ukraińców. Rosyjskiej eskalacji się spodziewali. Zwrot Białego Domu przyszedł z nagła. Choć chyba już nie zaskakuje.

WOJCIECH PIĘCIAK

Wioletta przygotowuje się na kolejną wojenną zimę. Sprawdza stan: agregatów, leków i koców ratunkowych, tych do ogrzewania ludzi w hipotermii. Widzi, czego brakuje. Rozsyła prośby.

Mówi się, że ludzie dorastają w zadaniach. Ona ma 24 lata. Wiosną dowodziła punktem medycznym batalionu, wyposażonym w NRK (roboty naziemne, zdolne przewieźć naraz dwóch rannych). Dziś koordynuje służbę medyczną w całej frontowej jednostce. Jest też na piątym roku medycyny, zaocznie. Praktyki ma codziennie, gdy ma w rękach czyjeś życie. – Przygotowujemy się – pisze przez komunikator. Na najgorsze, które już się zaczęło.

„DEAL" I „ROZEJM" | Uporządkujmy fakty. Już samo ich zestawienie pokazuje istotę tego, co się dzieje.

Zwrot w Białym Domu ujawnia się w piątek 9 października: Trump, który jest pod presją (3 listopada są wybory do Kongresu), ogłasza „świetny deal" z Putinem: Rosja dostarczy USA 4,8 mln ton ropy. To niewiele (USA zużywają pół miliona ton dziennie), ale istotne jest coś innego: zmiana w podejściu do sankcji, które dotąd ograniczały dochody Rosji. Mianowicie Stany za-



Coraz więcej ofiar

WŚRÓD CYWILÓW jest ich prawie dwa razy więcej niż jesienią 2025 r. Np. w trafionym rakietą bloku mieszkalnym w miasteczku Pryłuki (130 km na wschód od Kijowa) giną 22 osoby, w tym kilka całych rodzin.

KONFRONTOWANA Z TYM, Rosja twierdzi, że atakuje cele wojskowe, a jeśli giną cywile, to dlatego, że obrona radioelektroniczna zakłóca lot rakiet i dronów. To tłumaczenie gwałciciela-zabójcy: że ofiara sama jest sobie winna, skoro się broniła.

Na zdjęciu: Wiktoria Dejneko i jej córka Mija miały szczęście: przeżyły uderzenie rakiety w ich blok w Kijowie. 13 października 2026 r.

wieszają sankcje na handel rosyjską ropą aż do kwietnia 2027 r.

Gdy Zełenski krytykuje „deal", Trump żąda jego dymisji, twierdząc, że to on stoi na drodze do pokoju. Żąda też, by Ukraińcy przestali atakować instalacje naftowe w Rosji. Twierdzi, że to właśnie (a nie wojna Izraela i USA z Iranem) jest przyczyną braku paliw na rynkach i ich wysokiej ceny.

Dwa dni potem ogłasza, że za jego sprawą („ja im kazałem") Rosja i Ukraina zawarły „rozejm energetyczny". Kijów o niczym nie wie, ale deklaruje, że jest gotów na taki rozejm. Kreml milczy. Za to jego armia kontynuuje naloty na infrastrukturę Ukrainy.

NALOTY I OFIARY | Eskalacja tych nalotów zaczęła się już wcześniej, teraz przybierają na sile. Trwają co noc, często też za dnia. Rosjanie biją w Kijów (ten stał się niemal miastem frontowym) i cały kraj (także Łuck, Równe). Obrona słabnie. Nie jest już niemal w stanie strącać rakiet, bo brakuje pocisków do Patriotów, mniejszy jest procent strąconych dronów – coraz częściej są to drony odrzutowe.

Rośnie liczba ofiar wśród cywilów (patrz ramka). Naloty wymierzone są też w gospodarkę. To szczegół, ale symptomatyczny: sieć marketów Epicentr ogłasza, że wraz ze zniszczeniem magazynu w Winnicy straciła wszystkie swoje duże magazyny z towarem. Spodziewany skutek długofalowy to spadek wpływu z podatków (za kilka dni okaże się, że mimo wsparcia UE deficyt budżetu Ukrainy na 2027 r. urasta do 70 mld euro).

MNIEJSZA POMOC | Po tym, jak 13 i 14 października mają miejsce silne ataki na energetykę Ukrainy (na ok. 30 obiektów), pojawiają się informacje (m.in. z ukraińskiego Dowództwa Sił Powietrznych), że wywiad USA nie przekazał ostrzeżenia o starcie rakiet. Światowi analitycy spierają się, czy to działanie intencjonalne, czy np. efekt zakłóceń pogodowych. Media w USA donoszą, że strona amerykańska groziła wcześniej Ukraińcom odcięciem współpracy wywiadowczej, jeśli nie zgodzą się na żądania Trumpa.

Wątpliwości nie ma za to w innej kwestii: nocą z 13 na 14 października, bez uprzedzenia, armia USA wprowadza ograniczenia systemu Starshield firmy SpaceX, wojskowej wersji Starlinka, używanej do łączności i sterowania dronami. Według strony ukraińskiej niweczy to misje na terenie Rosji i utrudnia zwalczanie wrogich dronów. W kolejnych dniach Trump i Elon Musk przerzucają się odpowiedzialnością za tę decyzję. Media w USA ustalają, że rozkaz wyszedł z Białego Domu.

KONTRA EUROPY | 13 października amerykański generał Alexus Grynkewich, dowódca sił NATO w Europie, prezentuje w Warszawie „strategię zwycięstwa" nad Rosją w razie jej ataku na Sojusz. Jego przekaz – przestroga dla Kremla, uspokojenie swoich – wydaje się z innego świata niż to, co robi Trump.

15 października Zełenski mówi, że Ukraina przez trzy dni nie atakowała instalacji energetycznych w Rosji, ale ponieważ Rosja kontynuuje naloty, to ukraińskie ataki będą wznowione. Trump mówi, że to „haniebne".

16 października szczyt przywódców UE zaostrza sankcje na Rosję, deklaruje solidarność z Ukrainą (także Węgry), krytykuje Trumpa i uruchamia nową transzę pomocy dla Kijowa. Tymczasem rosyjskie naloty codziennie niszczą dalsze obiekty infrastruktury. Ukrenerho (odpowiednik PGE) podobnie jak minionej zimy wprowadza grafiki planowych wyłączeń prądu.

17 października Trump podpisuje dekret o wstrzymaniu stosowania nowych sankcji i ceł wobec Rosji i krajów, które kupują od niej paliwa. Miały wejść w życie dzień później na mocy „ustawy Grahama", przyjętej zgodnie przez Kongres USA – i podpisanej we wrześniu przez Trumpa. Protestują liczni Demokraci i Republikanie, ale ostatnie słowo ma Trump. Starshield wciąż działa z ograniczeniami.

18 października płonie naftowy terminal w Petersburgu. Nad ranem 19 października Rosja atakuje Kijów, Irpień i Dnipro, są ofiary. Trump pisze w social mediach, że wstrzymał sankcje przeciw Rosji z troski, by „utrzymać ją przy stole negocjacyjnym". Atakuje też Zełenskiego: to on ma być winny cierpieniom rolników w USA, którym brakuje paliw, i to on nie chce zakończenia wojny.

KONKLUZJE | Jaki będzie ciąg dalszy? Czy politycy w USA, ci niepodzielający wiary Trumpa w Putina, powstrzymają go przed dalszymi krokami wymierzonymi w Ukrainę, a pośrednio też w Europę? Czy Europa, mając coraz większe własne problemy, utrzyma poziom pomocy dla Ukrainy lub ją zwiększy, jeśli będzie trzeba? Czy USA to nadal nasz wiarygodny sojusznik?

Gdy zaś idzie o sytuację na Ukrainie: tu front się trzyma (choć obrońcy powoli cofają się, jest on stabilny). Naloty Putina i presja Trumpa nie wymuszą kapitulacji. Co nie znaczy, że cena nie będzie wysoka. Ostatnia zima była skrajnie trudna, ta przyniesie jeszcze więcej zniszczeń i cierpienia.

– Myślę, że wytrzymamy – pisze Wioletta. – Ale nie chcę mówić, że będzie nam łatwo, bo to nieprawda. Widzę każdego dnia, jaką cenę płacimy. Rosja próbuje nas złamać nie tylko na polu bitwy, ale także chłodem, ciemnością i ciągłym terrorem. Nauczyliśmy się adaptować, znajdować rozwiązania tam, gdzie pozornie ich nie było.

– Uważam – dodaje – że największym błędem wroga jest, że nas ciągle nie docenia. ©℗

O sytuacji Ukrainy piszemy też w dziale Świat.



Kto ukradł protest

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Francja znowu jest w centrum światowej uwagi za sprawą gwałtownych ulicznych starć młodzieżowych band z policją oraz rabunków. Doszło do nich w sobotę 17 października, w trakcie protestów przeciw drożyźnie w licznych miastach w całym kraju.

Telewizyjne migawki są jednak zwodnicze. Połączyły w całość trzy odmienne grupy uczestników zajść. Pierwsza z nich, największa – licząca od 550 tys. do 800 tys. osób – protestowała na ogół w spokoju. Jej trzon stanowili licealiści i studenci, którzy od kilku tygodni blokują szkoły, sprzeciwiając się złym warunkom nauki i brakowi nauczycieli.

Do tych ludzi, nastawionych pacyfistycznie, wmieszały się dwa drobne, ale agresywne „plemiona": bojówkarze anarchistycznej ultralewicy (określani też z angielska jako „Black Bloc", „Czarny Blok") oraz bandy pospolitych przestępców, korzystające z chaosu.

Bilans wywołanych przez nich zamieszek to zdemolowane i splądrowane sklepy (około 1500 w całej Francji), ratusze (m.in. w Marsylii i Lyonie), a także komisariaty policji. Do gwałtownych ataków Czarnego Bloku na symbole władzy doszło także na prowincji. Mieszkańcami cichego zwykle miasta Limoges w środkowo-zachodniej Francji wstrząsnęło podpalenie pięknego zabytkowego ratusza.

Policja zatrzymała w całym kraju ponad 2 tys. osób. Były to najbardziej gwałtowne manifestacje od czasu antysystemowych protestów Żółtych Kamizelek z lat 2018-19. Zaraz po sobotnich zamieszkach prezydent Emmanuel Macron przestrzegł, że z uwagi na bezpieczeństwo władze lokalne będą mogły teraz „zakazać niektórych manifestacji". Jednocześnie obiecał licealistom i studentom, że rząd siądzie z nimi do negocjacji.

Podkreślmy: wbrew powielanym opiniom, fali sobotniej przemocy nie wywołali imigranci. Akcje Black Block wpisują się raczej w tradycję gwałtownych walk młodych z policją, takich jak studencki bunt z maja 1968 r., który wywołali młodzi Francuzi z tzw. dobrych domów. Tyle że w tę sobotę do anarchistycznych bojówkarzy dołączyli pospolici przestępcy.

Blokady szkół i uczelni we Francji zainspirowały także sąsiednie kraje. W sobotę 17 października protestowali masowo młodzi Włosi i Belgowie; również tam dochodziło do starć z policją.

Im więcej będzie nad Sekwaną chaosu, tym większe szanse Marine Le Pen, liderki radykalnej prawicy, na triumf w wyborach prezydenckich wiosną 2027 r. Obietnica przywrócenia przez nią porządku pociąga wielu Francuzów. Ich gniew rośnie po cichu – i może znaleźć wyraz w głosowaniu. ©



STEPHANIE LECOCQ / REUTERS / FORUM

Paryż, Plac Republiki, 17 października 2026 r.



Gry prezydenta

MAREK KĘSKRAWIEC

Jeśli naszym życiem politycznym nadal będzie kierowała nienawiść do przeciwników, to przyszłoroczne wybory okażą się przełomowe. Choć zwycięstwo któregoś z obozów będzie zapewne niewielkie, liczmy się z aresztami nawet dla najbardziej znanych osób. Jeżeli sukces przypadnie prawicy, współczuję też policjantom i prokuratorom, którzy dziś, z coraz większą niechęcią czy wręcz strachem, prowadzą śledztwa rozliczające 8-letnie rządy PiS.

Źródłem tego paraliżującego państwo klimatu nie jest Karol Nawrocki. On go tylko zastał, ale z wielką ochotą wykorzystuje do dalszej destrukcji systemu, uznając, że minimalne zwycięstwo w 2025 r. daje mu prawo do wymuszenia posłuszeństwa na „mniejszej połowie" Polaków.

Sprawa Trybunału Konstytucyjnego, którego degrengolada trwa od 11 lat (winnych można znaleźć nie tylko w PiS), jest tego najlepszym przykładem. Prezydent nie chce dopuścić, by obecna koalicja zyskała w TK przewagę, więc ignoruje swe obowiązki konstytucyjne. Przyjął ślubowanie tylko od trzech z ośmiu wybranych przez Sejm sędziów – obezwładniając ostatecznie najważniejszą instytucję stojącą na straży zgodności uchwalanego prawa z konstytucją.

Nawrocki stara się maksymalnie wykorzystać uprawnienia prezydenta w kraju zmęczonym 20-letnią polaryzacją, za którą odpowiadają Kaczyński i Tusk. Tyle że jego działania nie są prowadzone obok ich wojny, przenoszącej nienawiść na wyborców. Prezydent stara się raczej zastąpić 77-letniego prezesa PiS, którego ugrupowanie i elektorat starzeją się i słabną. Dziś na prawicy są aż cztery partie z szansami na parlament, ale żeby mogły rządzić, potrzebują spoiwa, a to może dać tylko Nawrocki.

Problem z prezydentem jest taki, że walcząc o wpływy na radykalizującej się prawicy, musi też wykazać sprawczość wobec liberalno-lewicowego rządu. To zaś wyklucza ogromną wartość demokracji – zrozumienie słowa „kompromis". Widać to choćby po tym, że Nawrocki podpisał dotychczas 263 ustawy, a zawetował 48. Kwaśniewski wetował 35 razy, a Duda 19. Przez 10 lat, a nie przez 15 miesięcy.

Taki system nie może sprawnie działać, dlatego coraz częściej pojawiają się głosy, że trzeba ograniczyć uprawnienia głowy państwa albo wzmocnić je na wzór USA czy Francji. Te pomysły nie uwzględniają jednego: nienawiści, jaka ogarnęła polityków. Dziś przynajmniej muszą stosować kruczki prawne, by docisnąć przeciwnika. Jeśli zwycięzcy dostaną więcej władzy, skorzystają z nich w sposób, który zdewastuje demokrację i pogłębi podziały między Polakami. Niechybnie skorzysta z tego Rosja. ©℗



VOISLAV KOLEVSKI / ADOBE STOCK

Rafy koralowe składają się z wielu kolonii koralowców, z których każda może zawierać miliony polipów. Kolonie to często klony tego samego organizmu.

Dotyk koralowca leczy

NATURA ▪ Wszystko zaczęło się od drobnego wypadku w Hopkins Marine Station – laboratorium morskim Uniwersytetu Stanforda. W 2025 r. dwa fragmenty koralowca przewróciły się w zbiorniku i zetknęły ze sobą. Kiedy biolog morski Steve Palumbi przyjrzał się im, zauważył coś osobliwego. Tam, gdzie oba fragmenty się dotykały, umierający koralowiec odzyskiwał kolor.

Koralowce to zwierzęta, które żyją w ścisłej współpracy z mikroskopijnymi glonami. Dzięki prowadzonej fotosyntezie glony dostarczają im większość energii potrzebnej do życia i nadają charakterystyczne, jaskrawe kolory (w zamian glony otrzymują stabilne miejsce do życia i niektóre składniki do produkcji pożywienia). Kiedy temperatura oceanu staje się zbyt wysoka, koralowce tracą swoich mikroskopijnych partnerów. Bledną i głodują, a po jakimś czasie często umierają z głodu. Proces ten nazywa się blaknięciem.

Od początku 2023 r. stres cieplny zdolny wywołać bielenie dotknął ponad 84 proc. powierzchni raf koralowych świata. Rafy zajmują mniej niż 0,2 proc. dna oceanicznego, ale są siedliskiem co najmniej jednej czwartej gatunków morskich. Chronią też wybrzeża przed falami i zapewniają utrzymanie milionom ludzi.

Danny Collins, doktorant ze Stanfordu, postanowił sprawdzić przypadkową obserwację Palumbiego. Przygotował 10 par fragmentów koralowców, w każdej jeden zdrowy i jeden wybielony. Pięć par ułożył tak, by fragmenty się dotykały. Pozostałe rozdzielił szczeliną szeroką na kilka milimetrów.

Po siedmiu tygodniach wszystkie wybielone fragmenty mające kontakt ze zdrowymi odzyskały zdrowie. Te, które pozostawały oddzielone, obumarły. Wyniki doświadczenia naukowcy opisali w październiku na łamach „Science Advances".

Pod mikroskopem zaobserwowali, co dokładnie zaszło. Genetycznie identyczne koralowce potrafią łączyć swoje tkanki, tworząc mosty, przez które przepływają glony i składniki odżywcze. Pierwsze glony docierały do wybielonych fragmentów już po trzech dniach. Potem nawet jeśli kontakt jest zrywany, koralowiec regeneruje się sam. W drugim tygodniu doświadczenia liczba glonów podwajała się dziesięć razy szybciej niż u dzikich koralowców.

Według Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC) przy globalnym ociepleniu o 1,5 stopnia Celsjusza rafy koralowe mogą skurczyć się o 70-90 proc. Przy dwóch stopniach straty mogą przekroczyć 99 proc. Ich zanikanie oznacza utratę siedlisk ryb i innych zwierząt, mniejsze połowy oraz słabszą ochronę wybrzeży przed sztormami.

Odkryta metoda ma pewne ograniczenie. Fragmenty koralowców muszą być genetycznie identyczne, aby ich tkanki mogły się zrosnąć. Wiele raf składa się z mnóstwa identycznych kopii tego samego organizmu, ponieważ koralowce potrafią się klonować, ale rozmnażają się także płciowo, co prowadzi do zmienności genetycznej.

Dlatego naukowcy chcą jeszcze sprawdzić, czy da się „ratunkowo" dostarczać glony bezpośrednio do wybielonych koralowców. Można byłoby pobierać je ze zdrowych kolonii jeszcze przed nadejściem fal gorąca, a później wykorzystywać do przyspieszania regeneracji.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

CENA UZDROWIENIA

Rynek usług duchowych w Polsce obraca miliardami złotych. Jest tak ogromny, jak ogromne jest cierpienie, domagające się uwagi.

BEATA CHOMĄTOWSKA

Nie polityk, nie lekarz czy terapeuta, nie naukowiec ani tym bardziej kapłan którejś ze zinstytucjonalizowanych form religii. Prawdziwą władzę nad Polakami mają samorodni specjaliści od ducha i ciała. Niektórzy całkiem niegroźni (jeśli szarlatani, to raczej z wiersza Gałczyńskiego niż z niedawno procedowanej i zawetowanej ustawy), a nawet pomocni. Niektórzy jednak tacy, co potrafią zamącić w głowach i wpuścić w tarapaty. W dodatku za słoną opłatą.

Od szeptuchy do pola kwantowego

Kim są? Tu pojawia się pierwszy problem, bo przedstawiając się, używają różnych terminów. Często: „przewodnik duchowy", ale może być też „specjalista", niekiedy z budzącym zaufanie dopiskiem „dr", albo kojarzący się raczej z rozwojem osobistym „coach".

Wśród właścicieli biznesów, których opisują w swoich książkach Tomasz Kwaśniewski („W co wierzą Polacy") i Monika Sobień-Górska („Rok, w którym szukałam sensu i ukojenia"), są zarówno wróżki, bioenergoterapeuci i specjaliści od tarota czy horoskopów, neoszamani i współczesne czarownice, ale też rozmaici influencerzy, proponujący klientom autorskie mieszanki praktyk zaczerpniętych z wielu duchowych czy religijnych tradycji, uzupełnione technikami psychologicznymi, a niekiedy medycyną alternatywną.

Kwaśniewski i Sobień-Górska zadali sobie trud przetestowania na własnej skórze zaledwie ułamka bogatej oferty na rynku, którego całkowitej wartości w Polsce nikt dotąd nie oszacował. A to dlatego, że jest zbyt różnorodny i rozmyty. Same usługi ezoteryczne, wraz z handlem stosownymi akcesoriami, szacuje się na 3 mld zł.

A grono klientów jest liczne i wciąż rośnie. I jeśli sądziliście Państwo, że składa się z samych stereotypowych „ezo-Grażyn", bohaterek memów idealnie pasujących do profilu Waszej krewnej z małego miasta, przedkładającej ostatnio pracę z polem kwantowym nad dawniejsze wizyty u szeptuchy, bardzo się myliliście. Niewykluczone, że obejmuje również Waszych partnerów biznesowych, znajomych z pracy, nie mówiąc o najbliższych. Być może zaliczacie się do niego sami, choć nie wszędzie chcielibyście się do tego przyznać.

Badanie SW Research na zlecenie CI Polsat, w którym przepytano sporą grupę respondentów (2244 osoby z całej Polski), pokazało, że horoskopy czyta ponad połowa z nas, co siódmy Polak odwiedza wróżkę, co szósty przywiązany jest do amuletu lub talizmanu, a co czwarty zetknął się z medycyną alternatywną.

Jednak to nie wszystko. Dekada, jaka dzieli oba reportaże eksplorujące nasz rynek ezoteryki, pokazuje, jak bardzo się zmienił. O ile u Kwaśniewskiego pojawiały się głównie wróżki, jasnowidze czy szeptuchy, Sobień-Górska pisze już o zróżnicowanych usługach, adresowanych głównie do nowej klasy średniej z dużych miast, z czym wiąże się inne nazewnictwo i przekaz marketingowy.

Remedium instant

Wyraźnie natomiast widać, co wyłania się zza rosnącego w siłę rynku usług duchowych: ogrom cierpienia, domagającego się uwagi.

– Wśród osób, z którymi rozmawiałam na różnego rodzaju warsztatach czy kursach, uderza przede wszystkim dojmująca samotność – mówi Sobień-Górska. – W świecie, w którym jesteśmy nieustannie rozproszeni, a kontakty twarzą w twarz często sprowadzają się do wymiany banalnych spostrzeżeń lub plotek, łakniemy emocjonalnego wsparcia, wysłuchania, a nawet tego, by na chwilę zostać dostrzeżonym.

Taką rolę spełniają choćby kobiece kręgi. Od ich uczestniczek można usłyszeć: „Bo mogę się komuś wygadać". „Bo ktoś mnie wreszcie słucha i nie przerywa". „Bo mówię o swoich problemach i kogoś to obchodzi". Efektem bywa odzyskiwanie poczucia sprawstwa, przypływ wiary w to, że mogę coś więcej, że oprócz pokonywania codziennych problemów robię też coś dla siebie.

Na podobny rezultat nastawione bywają grupy odwołujące się do męskiej tożsamości, często prowadzone przez profesjonalnych terapeutów. Jednak ekspresowe poczucie przynależności do grupy „radykalnie akceptujących" się ludzi oferują też inne warsztaty. Praca z kartami anielskimi, kroniki Akaszy, ceremonie oczyszczenia z ayahuaską albo innymi substancjami, ustawienia hellingerowskie, elementy jogi, mindfulnessu czy świadomego oddychania.

Z samotności cierpi się, gdy w znalezieniu wymarzonego partnera nie pomagają dostępne na wyciągnięcie ręki aplikacje randkowe, ale też w towarzystwie czy w parze, gdzie niby jest się razem, lecz tak naprawdę osobno. Cierpi się w pracy, która drenuje, nie dając poczucia satysfakcji, wspierających kontaktów ani tym bardziej wysokich zarobków. Nierzadko cierpienie przeradza się w stan chorobowy, jak depresja. Do tego dochodzi ból fizyczny, własny lub bliskich.

Wtedy nadzieja kieruje się w stronę rynku usług duchowych.

– Potrzeby w większości są podobne do tych sprzed tysięcy lat, zwłaszcza w sferze zaspokajania spraw doczesnych – mówi dr Zbigniew Łagosz, religioznawca i badacz zachodniej ezoteryki. – Łatwiej zaufać komuś, kto mówi to, co chcemy usłyszeć, zwłaszcza w sytuacjach liminalnych, jak nowotwór czy inna ciężka choroba. Stąd często wygrywa zdecydowanie łatwiejsza ścieżka, nie zaś ta, która ma najmocniejsze podstawy naukowe. Równolegle platformy społecznościowe przedefiniowały mechanizm tworzenia autorytetu. Dawniej był on związany z określoną instytucją, wykształceniem, doświadczeniem lub pozycją społeczną, obecnie stwarza go np. odpowiednio zaprojektowany profil internetowy. Popularność często mylona jest z kompetencją.

Rozwojowi tego rynku sprzyja życie w czasach permanentnego kryzysu. Wojny i niepewność spowodowana rozpadem światowego porządku, zmiany klimatyczne i przebodźcowanie. – Narzędzia nowej duchowości, nawet te podstawowe, jak astrologia czy tarot, zawsze dawały złudzenie, że świat jest przewidywalny, a nasze życie ma zapisany gdzieś w górze głębszy sens – mówi dr hab. Krzysztof Krajewski-Siuda, psychiatra i psychoterapeuta.

Zbieżności i paradoksy

„Jedną z najgłębszych wewnętrznych bolączek człowieka nowoczesnej epoki jest to, że nie jest on w stanie dłużej trwać przy religiach przekazywanych tradycją kościelną, podczas gdy jego popęd religijny nie słabnie" – pisał w 1918 r. Georg Simmel i to wciąż adekwatna diagnoza. Potwierdza ją frapujący paradoks, jaki wyłania się z powtarzanych co kilkanaście lat badań CBOS: w społeczeństwie, w którym dominuje religia ↦

katolicka, uznawanie siebie za osobę głęboko wierzącą i częste uczestnictwo w praktykach religijnych nie przeszkadzają, a wręcz sprzyjają wierze w magię, astrologię, ezoterykę, okultyzm.

– Wbrew pozorom dla części Polaków nowa duchowość może być bliska modelom życia religijnego, które dobrze znają – mówi Matylda Ciołkosz z Instytutu Religioznawstwa UJ. – Potoczny katolicyzm Polaków to nie prototyp ze stemplem Watykanu. To często osobiście przeżywane relacje z Bogiem lub świętymi i synkretyczne praktyki o charakterze magicznym, najbardziej widoczne w tzw. katolicyzmie ludowym.

Zbigniew Łagosz podkreśla, że mamy do czynienia z duchowością, w której tradycyjne funkcje religii zostają zachowane, ale otrzymują nowy język, nowych ekspertów i nową legitymizację. Ważną wspólną ideą, spotykaną zarówno w magii, religii, jak i w różnych odmianach nowej duchowości, jest choćby przemiana. Jednak w odróżnieniu od tradycji religijnych, gdzie praktyki służące owej przemianie odwołują się do transcendencji, mówiąc np. o zbawieniu, kulty duchowe nastawiają się na tu i teraz. Celem jest stanie się lepszym, zdrowszym, szczęśliwszym, odnoszącym sukcesy. Jak najszybciej.

Różnicę widać choćby na przykładzie zaczerpniętej z buddyzmu praktyki medytacyjnej, wykorzystywanej jako narzędzie podczas różnego rodzaju sesji czy warsztatów.

– Cztery Szlachetne Prawdy, czyli fundament nauk buddyjskich, nie mają na celu poprawy zdrowia psychicznego w zachodnim sensie ani dobrostanu osobistego, kwestionują bowiem sam konstrukt „osoby" jako metafizycznego bytu – podkreśla Agata Sobiecka, mistrzyni Dharmy Hae In w Szkole Zen Kwan Um i psychoterapeutka. – Nasz nauczyciel, mistrz zen Seung Sahn, nazywa takie podejście „feel good meditation" (medytacją dobrego samopoczucia) ludzi z zewnątrz. Dobre samopoczucie jest z reguły celem osób, które zamiast na kurs mindfulness lub terapię poznawczą opartą na uważności, trafiają błędnie na odosobnienie w buddyjskiej tradycji. Tymczasem wgląd w konstruowaną przez umysł naturę „ja-mnie-moje" może osoby w kryzysie psychicznym nawet głębiej zdestabilizować. Pierwotnie bowiem skierowany był do grup, które wcześniej odbyły szereg praktyk wstępnych, wprowadzających równowagę między ciałem, emocjami i umysłem oraz w etyczne relacje z samym sobą i innymi. Wyjmowanie samej medytacji z kontekstu studiowania tzw. właściwego poglądu czy z treningu wskazań moralnych jest tym bardziej niebezpieczne, gdy odbywa się poza dobrze zaopiekowanym kursem mindfulness lub poza buddyjską Sanghą – w domu bez żadnego nauczyciela.

W pogoni za szczęściem

Monika Sobień-Górska mówi, że osoby, które spotykała podczas pracy nad swoją książką, dzielą się na trzy grupy. Pierwsza to osoby rozczarowane psychoterapią i leczeniem farmakologicznym, które często było związane ze stanami depresyjnymi lub dotyczyło traum z dzieciństwa. Jest wśród nich wielu przedstawicieli pokolenia 30- i 40-latków, określających się jako DDA, czyli Dorosłe Dzieci Alkoholików.

– Często uczestniczyli w wieloletnich terapiach, które pomogły im na krótko lub nie w takim zakresie, w jakim by oczekiwali – zauważa. – Łączy ich przekonanie, że leczenie powinno zakończyć się trwałym poczuciem szczęścia i unieważnieniem bagażu z przeszłości. Skoro mimo pracy z terapeutą, psychiatrą czy przyjmowania leków tak się nie dzieje, szukają dalej, licząc np., że po neoszamańskiej ceremonii z użyciem ayahuaski ból zniknie na zawsze.

Drugą grupę można określić mianem „poszukujących", gdyż odwiedzają zarówno gabinety lekarskie i psychoterapeutyczne, jak specjalistów od pracy z energią, pól mocy czy manifestacji. – Mówią o sobie, że są zdesperowani, bo lęki nie odchodzą, po chwilowej uldze znów czują się źle. Zetknęłam się nawet z takim paradoksem, że w ustawieniach hellingerowskich uczestniczą ludzie pozostający w terapii metodą poznawczo-behawioralną, której skuteczność jest potwierdzona badaniami i która do metody Hellingera ma mocno krytyczny stosunek – relacjonuje Sobień-Górska.

Trzecie, wyjątkowo liczne grono charakteryzuje jednoznacznie krytyczny stosunek do medycyny, w tym psychiatrii. – Często wyrażają opinie, że świat nauki uknuł spisek z Big Pharmą, mający na celu uzależnienie pacjentów, podczas gdy sami uzależniają się od swoich „przewodników duchowych" – dodaje autorka „Roku, w którym szukałam sensu i ukojenia".

Tu znów modele proponowane przez teorie spiskowe mają wiele wspólnych cech z religijnymi: dualizmy, jak dobro i zło, my i oni, założenie o istnieniu utajonych sił regulujących rzeczywistość, a także wiedzy, która z tego wyzwala. A koncerny farmaceutyczne faktycznie

REKLAMA



dostarczyły światu powodów do braku zaufania.

Urokliwa alternatywa

Matylda Ciołkosz wskazuje jeszcze na podobieństwo religii i medycyny: – Idąc za Michelem Foucault, można się zastanawiać, na ile medycyna przejęła te formy zarządzania życiem, śmiercią i cielesnością, za które wcześniej odpowiadał Kościół – mówi. – Dzisiejsza sprywatyzowana medycyna zachęca do wręcz rytualnego diagnozowania się. Regularne kompleksowe badania – uwalniające od brzemienia potencjalnej choroby – przypominają trochę spowiedź, uwalniającą od brzemienia grzechu. U jednych ten model zwiększa poczucie bezpieczeństwa, u innych nasila lęk przed chorobą i śmiercią. Wtedy praktyki spoza tego systemu, oparte na holistycznym rozumieniu zdrowia i niestraszące bezlitosnymi diagnozami, mogą wydawać się atrakcyjne. Pacjent/klient, który dotąd czuł się jak zespół jednostek chorobowych, może zyskać poczucie, że wykonując instrukcje duchowego uzdrowiciela, odzyskuje kontrolę i zdolność samostanowienia.

Inne przyczyny poszukiwania pomocy u niemedycznych uzdrowicieli, jakie wymienia Agata Sobiecka, to obawy przed stygmatyzacją osób korzystających z psychoterapii i patologizowanie potrzeby fachowej pomocy w społeczeństwie, które idealizuje samowystarczalność i wywiera presję na tzw. rozwój osobisty. Ale są też powody systemowe – wysokie koszty leczenia i kolejki na NFZ oraz dobry marketing, który robi użytek z kulturowego romantyzmu, jakim owiane jest wszystko, co orientalne.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

– Odpowiedzialność za pseudomedyczne obietnice duchowego świata spoczywa jednak ostatecznie na nauczycielach, a nie na błędnie poinformowanych odbiorcach tych usług – zaznacza terapeutka. – Uważam więc, że etyczny duchowy nauczyciel powinien komunikować, że w tym świecie mamy do czynienia z religią lub filozofią, a nie z nauką w przyrodniczym sensie ani nawet paranauką. Warto również, żeby wiedział, gdzie kończy się jego realna wiedza o rozregulowaniu psychofizycznym i bezpiecznym zarządzaniu kryzysem zdrowotnym, i nie wchodził w kompetencje lekarzy. To wymaga screeningu, czyli dobrej kwalifikacji osób do uczestnictwa w różnych kursach – a większość szarlatanów nie ma do tego ani wykształcenia, ani chęci, by zmniejszać grupę osób, które choć potrzebują psychologicznego wsparcia, są gotowe zapłacić za obietnicę czegoś innego. Często bardziej atrakcyjnego i dostępnego w ekspresowym tempie.

Różnicę widać już na poziomie języka. Ten, którym posługuje się medycyna i psychologia akademicka, wydaje się hermetyczny, chłodny i naukowy. Nowa duchowość używa języka emocji, mówi o miłości, energii i inkluzywności.

– To przekaz łatwo przyswajalny i atrakcyjny marketingowo, który zdejmuje z człowieka odium patologizacji – mówi Krajewski-Siuda. – W gabinecie psychiatry słyszy się diagnozę: depresja, zaburzenia lękowe. U neoszamana czy coacha duchowego: „Masz wyjątkowo wrażliwą duszę", „Przechodzisz proces transformacji lub przebudzenia", „Twoje wibracje się zmieniają". Objawy psychopatologiczne są redefiniowane jako „kryzys transformacyjny", ↦

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA" SPECJALNY DODATEK

XXXV FESTIWAL ARS CAMERALIS: PUSTKA

- przewodnik po tegorocznej edycji festiwalu – najważniejsze wydarzenia, artyści i spotkania
- esej o pustce – motywie przewodnim tegorocznego Ars Cameralis.

Jak sztuka nadaje znaczenie temu, czego nie ma?

Województwo Śląskie
Ars Cameralis Silesiae Superioris
ARS CAMERALIS JEST INSTYTUCJĄ KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

„TYGODNIK" Z DODATKIEM W SPRZEDAŻY OD ŚRODY 28 PAŹDZIERNIKA

↦ „przebudzenie kundalini" czy „oczyszczanie energetyczne". Zamiast poczucia choroby, klient otrzymuje narrację o własnej wyjątkowości i duchowym awansie, którą można ująć w komunikat: „widzisz więcej niż uśpione matriksem społeczeństwo". To karmi ego i daje poczucie wyższości nad „zwykłymi" ludźmi, którzy chodzą do pracy i ufają nauce.

Psychiatra zwraca też uwagę na często spotykaną u prowadzących tego rodzaju biznesy umiejętność mieszania pojęć psychologicznych (jak trauma, wewnętrzne dziecko, *gaslighting*) z religijnymi bądź ezoterycznymi (odrodzenie, czakry, karma, retrogradacja). – „Spece" od ayahuaski nie mówią już językiem dawnych hippisów. Sprytnie cytują wybiórcze badania naukowe (np. te o wpływie DMT na neuroplastyczność mózgu czy leczenie depresji lekoopornej). Mieszają to z ajurwedą, koncepcjami „tłumienia emocji w ciele" i zachodnią psychoterapią traumy. W efekcie pacjent ma poczucie, że uczestniczy w nowoczesnej, awangardowej medycynie, która po prostu „wyprzedza skostniały system akademicki" – tłumaczy Krajewski-Siuda.

Agata Sobiecka: – Krytycy kultury terapii mówią, że psychiatria nadmiernie medykalizuje codzienne cierpienie. Np. naturalna żałoba nie potrzebuje leków. Nie mamy jednak wątpliwości, że w przypadku choroby Alzheimera, raka czy choroby afektywnej dwubiegunowej jest to cierpienie, które ma genetyczny czy neurologiczny charakter i ani wlewy z lewoskrętnej witaminy C, ani praktykowana 30 minut dziennie medytacja nie zaingerują tak głęboko w materię. We wczesnej literaturze w Indiach i Chinach buddyjska praktyka nie była „usługą medyczną", a nawet jeśli znajdziemy w niej opisy uzdrowień, to dokonują ich wyłącznie osoby o wybitnych, praktycznie nadnaturalnych zdolnościach do koncentracji i po latach codziennego wielogodzinnego treningu, a nie przeciętni przedstawiciele miejskiej klasy średniej.

Bez nadzoru

Sobień-Górska zauważa, że osoby, których kontakt ze sferą nowej ezoteryki zakończył się po jednym kursie lub warsztacie, stanowią zdecydowaną mniejszość. – A mówimy tu o sporych kwotach – przeciętnie Polacy wydają na przewodnictwo duchowe, coaching duchowy czy pokrewne usługi 20-40 tys. zł rocznie. Nie brakuje osób, które zaciągają na ten cel kredyty. Po publikacji książki dostaję wciąż wiadomości od załamanych ludzi, którzy zetknęli się z tym środowiskiem. Piszą np. rodzice pewnego 40-latka, zadłużającego się, by korzystać z usług „terapeutki", która uzależniła go od siebie, twierdząc, że tylko ona potrafi go uleczyć, gdyż widzi jego poprzednie wcielenie, w którym popełnił zbrodnię. Ten mężczyzna zaciąga chwilówki, by móc sobie pozwolić na ciągłe konsultacje. Jego rodzice, mieszkający na drugim końcu Polski, chcieliby wyrwać go z tej spirali, lecz czują się bezsilni.

Pół godziny za sesję u wróżki w dużym mieście (karty klasyczne plus tarot) to 200-300 zł. Medytacja z oczyszczaniem energii – 100-200 zł więcej. Nałożenie na kogoś klątwy – 1000 zł, a jeśli nie zadziała – dodatkowo 200 za zdjęcie ochrony. Kursy internetowe kosztują średnio między 500 a 3000 zł, wyjazdowe – w zależności od miejsca (jeśli w Polsce, to od 3 do 10 tysięcy, retreat zagraniczny to nawet kilkanaście tysięcy).

Dr Ciołkosz podkreśla, że pieniądz towarzyszy religii od wieków, wbrew intuicjom, że pobieranie opłat za działalność duchową jest nieetyczne. Jednak w przypadku ezo-przedsiębiorców zamożność jest elementem szczególnie rozumianego charyzmatycznego autorytetu. W tym kontekście charyzmat to już nie – jak w chrześcijaństwie – dar Ducha Świętego, lecz dar energii obfitości. Można tu dopatrzeć się inspiracji amerykańskim ruchem *New Thought*, opartym na przekonaniu, że umysł człowieka potrafi wpływać na rzeczywistość, czyli również przyciągać bogactwo. – Klienci podążający za charyzmatem duchowej przewodniczki-przedsiębiorczyni otrzymują sugestię, że korzystając z oferowanych przez nią programów też staną się bogaci – mówi religioznawczyni. I dodaje: – Możliwe, że zapotrzebowanie na takie przywództwo wynika z potrzeby finansowego i socjalnego bezpieczeństwa, o które dziś trudno.

Ponieważ rynek usług duchowych nie jest w żaden sposób regulowany prawnie, ceny za sesje „uzdrawiania" mogą być windowane bez ograniczeń, a odpowiedzialność za brak efektów – lub pogorszenie zdrowia psychicznego – zawsze zrzuca się na klienta, mówiąc: „Widocznie nie byłeś gotowy/a na zmianę" lub „Twój opór blokuje energię".

Czerwone linie

Zdarza się jednak, że któraś z metod niespodziewanie zadziała. Jak to wytłumaczyć?

Nowa Duchowość

CO ŁĄCZY POSPOLITĄ WRÓŻKĘ z Klaudią Pingot, mówiącą o kwantowym paradygmacie świadomości, Łukaszem Jakóbiakiem – dawnym gospodarzem internetowego show, który po przejściu duchowej przemiany stał się nauczycielem niedualności, Riyą Sokół, „pracującą z energią i podświadomością", oraz licznymi innymi coachami, oferującymi kompleksowe, w tym duchowe, wsparcie? Jak w ogóle zaklasyfikować fenomen, który lokuje się na styku rozłącznych porządków: religii, magii i nauki?

RODZIMI BADACZE DUCHOWOŚCI, jak prof. Zbigniew Pasek czy prof. Izabela Trzcińska, określają ten jej typ mianem „nowa", lecz od razu uzupełniają, że kontekst ideowy tego nazewnictwa w znacznej mierze lokuje się we wcześniejszym New Age'u (lata 70. XX w.). – Ma to być pewnego rodzaju samodzielne poszukiwanie własnej drogi duchowej związane z osobistym i intymnym doświadczeniem sacrum. Poszukujący jednak rzadko dociera do korzeni różnego rodzaju ścieżek, celowo splątanych właśnie w konglomeracie nowej duchowości – mówi dr Zbigniew Łagosz.

DR MATYLDA CIOŁKOSZ odwołuje się z kolei do typologii ekonomicznej teorii religii. Jej autorów, Rodneya Starka i Williama Simsa Bainbridge'a, interesują synkretyczne ruchy religijne, powstające niezależnie od istniejących Kościołów i typowe dla nowoczesności. W ich ramach umieszcza się kulty usługowe, w których relacja między inicjatorami a odbiorcami przypomina tę znaną z wolnego rynku: usługodawca–klient. – Charakterystyczna dla nich jest możliwość wyboru usług religijnych, jak na półce w supermarkecie – dodaje religioznawczyni. ©BCH

– Może to być zbieg okoliczności albo zjawisko placebo. Niektóre metody realnie uspokajają, uczą uważności, dają ulgę – mówi Monika Sobień-Górska. Z drugiej strony – nawet „tradycyjne" rytuały religijne w określonym kontekście i dla konkretnych osób mogą okazać się szkodliwe. Gdzie więc kończy się wolność wyboru różnych form duchowości, dokonywanego przez dorosłych ludzi na własną odpowiedzialność i kiedy należy zachować szczególną ostrożność?

Sobień-Górska mówi, że wyznaczyłaby dwie czerwone linie. Jedną jest totalna biologia, czyli przekonanie, że każda dolegliwość ma źródło w konflikcie psychicznym. – Czym innym jest zalecanie klientom duchowych praktyk, które mogą być pomocne lub przynajmniej nieszkodliwe, jako uzupełnienia terapii pod kontrolą specjalisty, a czym innym sugerowanie, by odstawił leki czy porównywanie tradycyjnej medycyny do Auschwitz, bo i z tym się spotkałam. W ogóle gdy ktoś mówi, że tylko on zna prawdę i może cię uratować, trzeba się zatrzymać.

Drugi sygnał ostrzegawczy? – Przekroczona granica fizyczna lub emocjonalna. Podczas ustawień lub grupowych medytacji pada np. hasło, że uczestnicy powinni teraz się rozebrać, by energia przepływała swobodniej – a wcześniej nie było o tym mowy. Podczas ustawień hellingerowskich prowadzący uderzył jedną z moich bohaterek z całej siły w plecy tak, że upadła, a na pytanie, co to miało być, tłumaczył, że ruch ku życiu. Z relacji, które do mnie docierają, wynika, że podobnych przekroczeń jest mnóstwo – opowiada nasza rozmówczyni.

Zdarza się, że organizatorzy warsztatów „pracy z energią", zawierających elementy masażu, nie dysponują nawet podstawową wiedzą anatomiczną, którą musi posiadać certyfikowany nauczyciel w szkole jogi. Konsekwencje mogą być takie, jak w przypadku osoby, o której mówiła Sobień-Górskiej znajoma. Podczas weekendu odprężenia na kobiecych warsztatach z jogą kundalini prowadząca tak intensywnie pracowała z jej splotem słonecznym, że uczestniczka kolejne dwa tygodnie spędziła w szpitalu. Na profilu rzekomej specjalistki nie ma słowa o odbytych szkoleniach, za to mnóstwo ezoterycznej nowomowy.

Gdy ktoś mówi, że tylko on zna prawdę i może cię uratować, trzeba się zatrzymać. Drugi sygnał ostrzegawczy to przekroczona granica fizyczna lub emocjonalna.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Krzysztof Krajewski-Siuda z perspektywy psychiatry dostrzega przede wszystkim ryzyko dekompensacji psychotycznej, szczególnie po substancjach przyjmowanych bez nadzoru medycznego, wtórnej traumatyzacji i opóźnienia w podjęciu realnego leczenia, choćby w ciężkiej depresji czy chorobie afektywnej dwubiegunowej.

– Szkodliwość powstaje wtedy, gdy np. słynna „królowa manifestacji" Leilani Szajek, zapełniająca onegdaj na swoich „sympozjach" cały Spodek, stwierdza, iż dzięki jej „naukom" można zachować nieśmiertelność, podając przykład o rzekomej teleportacji podczas wypadku jednego z jej uczniów – mówi dr Łagosz. – W moim mniemaniu to czyste szaleństwo. Podobnie należy traktować odciąganie ciężko chorych ludzi od naukowej medycyny.

Nie ma schematu, zdaniem dr Ciołkosz, który mógłby się sprawdzić w każdych warunkach, należy jednak mieć na uwadze systemową szkodliwość usług z rynku duchowego. Korzystanie z nich nie zawsze kończy się źle: te same praktyki mogą zrujnować zdrowie i finanse jednej osoby, a innej pomóc w poradzeniu sobie z kryzysem. Niemniej, jeśli zacieramy granice między wykwalifikowaną opieką medyczną i terapeutyczną a praktykami o niepotwierdzonej skuteczności i jeżeli coraz więcej osób korzysta z nich jak z uznanej alternatywy, legitymizujemy je na skalę ogólnospołeczną. To sprawia, że rośnie prawdopodobieństwo realnych szkód.

© BEATA CHOMĄTOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny: JACEK STAWISKI
Zastępcy redaktora naczelnego: EWELINA BURDA, MICHAŁ OKOŃSKI
Redakcja: www.TygodnikPowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl
promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

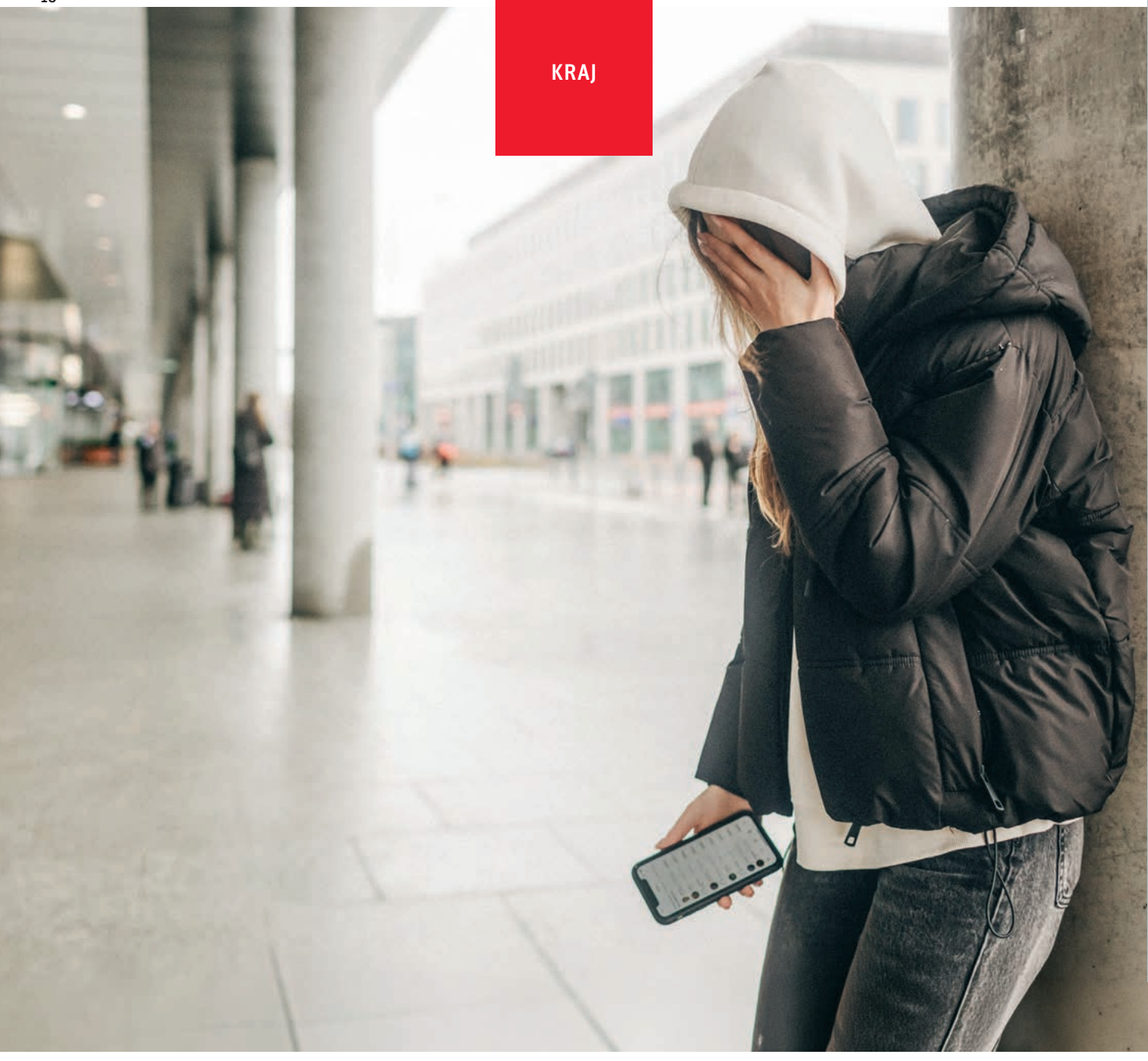

SAMOTNE DZIECI W SIECI

Państwo miało procedury, by ograniczyć panikę w „krwawy piątek”.
Była też wiedza o szybkiej radykalizacji młodych.
Mimo to sposób, w jaki zabraliśmy się do rozwiązania problemu,
to przepis na kolejny dramat.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Wygodnie byłoby powiedzieć, że winny jest rząd (opcjonalnie opozycja), lub że to kolejna ruska prowokacja. Albo chociaż, że to wszystko przez wyrostków, którzy urządzili w internecie durny *challenge*. Można też oskarżać media, że nakręciły histerię. Wskazanie winnego daje poczucie kontroli, ale każda z powyższych odpowiedzi ledwie ślizga się po powierzchni problemów, które dały o sobie znać w tzw. krwawy piątek.

Zbiorowa panika rodzi się na styku realnego zagrożenia, niepewności i braku wiarygodnej informacji. Nie jest zjawiskiem nowym ani rzadkim, a nasze państwo ma procedury, które krok po kroku określają, kto podczas takiego kryzysu ma reagować i jak przekazywać informacje.

Strategia w szufladzie

W środę 7 października w szkole w Ostrołęce 19-latek ranił nożem dziewięć osób. W plecaku miał ładunek wybuchowy domowej roboty. Tego samego dnia w Sierpcu zatrzymano 17-latka, który zapowiadał, że zrobi w szkole „coś złego". Miał przy sobie dwa noże. W czwartek 15-latek w Leszczydole-Nowinach zabił woźną, ranił nauczycielkę i dyrektora. Na głowie miał kask z kamerą.

Tego samego dnia wieczorem media opisywały internetowe plotki zapowiadające na kolejny dzień skoordynowane ataki w szkołach. Wyszukiwania frazy „krwawy piątek" w Google osiągnęły szczyt w czwartek o godz. 22.48, choć pogłoski o nadchodzącej fali przemocy krążyły wśród rodziców już od popołudnia.

Państwo miało narzędzia, by sprawnie zareagować. Rządowe Centrum Bezpieczeństwa już w maju opublikowało Strategię Komunikacji Kryzysowej, w części praktycznej podając gotowe wzory działań dla ministerstw i innych instytucji. Na liście sytuacji kryzysowych wymienia ono „panikę informacyjną", z adnotacją, że konieczne jest „szybkie dementi, obecność instytucji", bo „brak komunikatu w pierwszej fazie kryzysu zwiększa ryzyko, że przestrzeń informacyjną wypełnią nieoficjalne źródła".

Rolę wiodącą w takich momentach ma odgrywać MSWiA, a pozostałe instytucje mogą jedynie uzupełniać komunikaty („nie dopuszcza się prowadzenia równoległych, nieskoordynowanych narracji"). Strategia wskazuje też, że informacje o zagrożeniu dla dzieci powinny trafiać do ich opiekunów. Osobny punkt wymienia, że nie wolno spekulować, wdawać się w polemiki z mediami i przerzucać odpowiedzialności. Strategia przeleżała kryzys w szufladzie.

Demonstracja słabości

W czwartek premier wezwał w trybie pilnym do KPRM ministrów spraw wewnętrznych, cyfryzacji, edukacji i zdrowia, koordynatora służb specjalnych i komendanta głównego policji. Konia z rzędem temu, kto znajdzie komunikat po tej naradzie. Jednocześnie „równoległe, nieskoordynowane narracje" zaczęły tworzyć komendy policji różnego szczebla i przedstawiciele władz lokalnych. Zamiast odpowiedzieć na najprostsze pytanie o bezpieczeństwo dzieci, ta kakofonia potęgowała wrażenie, że państwo stara się zapobiec czemuś naprawdę złemu. Na pytanie czemu dokładnie, odpowiadały jedynie plotki.

– W ten sposób to one, zamiast instytucji państwa, zdefiniowały sytuację – mówi dr Dominik Batorski, socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego.

W piątek państwo, zamiast spójną informacją, odpowiedziało demonstracją siły. Policjanci skontrolowali 35 tys. placówek, zatrzymali 59 osób i odnotowali 172 „zdarzeń". Jakich konkretnie i kim są zatrzymani? Nie wiemy. Tymczasem radiowóz przed szkołą, zamiast uspokajać, wysyłał sygnał: zagrożenie jest realne.

– Nie wystarczy powiedzieć ludziom, żeby zachowali spokój, nie dodając nic więcej. Wiadomo, że w ciągu kilkunastu dni po głośnym medialnie ataku ryzyko naśladownictwa rośnie. Informacja, że patrole przy szkołach mają to ryzyko ograniczyć, byłaby na pewno bardziej pomocna niż statystyki zatrzymań czy wzmianki o bliżej nieokreślonych zdarzeniach – mówi dr Batorski.

Komunikaty policji, zaprzeczające istnieniu internetowego challenge'u, pojawiły się w piątek rano. Konferencja szefów MSWiA, MEN i policji odbyła się w godzinach popołudniowych, a w jej trakcie minister Marcin Kierwiński m.in. oskarżył Telewizję Republika o szerzenie dezinformacji. W następnych dniach swoje dorzucił szef MON, wskazując, że mogliśmy mieć do czynienia z rosyjską kampanią dezinformacyjną, a także premier mówiący o modzie wśród młodzieży na przemoc. Z kolei politycy prawicowej opozycji wzywali do zwiększenia liczby lekcji religii i przywrócenia kary śmierci. To będą znakomite przykłady, czego nie robić przy aktualizacji strategii.

Ekstremizm nihilistyczny

13-latka, którego zatrzymano we wrześniu w kujawsko-pomorskim, „Gazeta Pomorska" opisuje jako „spokojnego, skrytego, niestwarzającego problemów wychowawczych". Podczas gry w Robloksa pochwalił się rówieśnikowi ze Szwecji, że planuje zabić kolegów i nauczycieli ze szkoły. Szwed powiedział o tym rodzicom, oni zawiadomili policję i przez Interpol informacja dotarła do Polski. 13-latka zatrzymano, zanim wyszedł do szkoły. W plecaku miał bagnet, a na ciele wyciętą swastykę. Podczas przesłuchania przyznał, że w wakacje zabił kilka kotów.

The Com (od angielskiego *community*) nie jest organizacją. To sieć internetowych społeczności, których nie łączy nic poza przemocą. Według badających to zjawisko Marca-André Argentino i Angusa Lindsaya, współpracujących z Combating Terrorism Center w West Point, ideologia tej społeczności – czasem nazistowska, czasem satanistyczna – jest „płynna, performatywna i głównie symboliczna". Stąd The Com nazywa jest „siecią nihilistycznych ekstremistów".

Mechanizm działania jest powtarzalny. Ofiary mają zwykle od 8 do 17 lat. Werbownikiem najczęściej jest rówieśnik, który na Robloksie lub Discordzie szuka osób samotnych albo w kryzysie psychicznym. Daje im uwagę i wsparcie, których brak im w realnym świecie. Zdobywa zaufanie, prosi o drobne rzeczy, jak adres, a potem np. o intymne zdjęcie. Później namawia do zniszczenia cudzej własności albo samookaleczenia. Każdy kolejny krok jest bardziej drastyczny. Ofiara staje się powoli zakładnikiem i narzędziem grupy. Pozycję w niej zdobywa nagraniami. Im brutalniejsze, tym lepiej. Najwyżej cenione są zabójstwo i doprowadzenie kogoś do samobójstwa.

Globalnej statystyki nikt nie prowadzi, ale Argentino i Lindsay od 2020 r. naliczyli 295 zatrzymań w 33 krajach, 5375 pokrzywdzonych (co najmniej 22 zabitych i 1747 ofiar sadystycznego szantażu) oraz 143 zamęczone na nagraniach zwierzęta. Dane są niepełne, bo wiele akt osób nieletnich utajniono. Zjawisko jest jednak ↦

FOREWER / SHUTTERSTOCK

↦ na tyle powszechne, że w ubiegłym roku Europol uruchomił projekt COMPASS, który pomaga służbom z różnych państw wymieniać informacje o sprawach dotyczących The Com.

ABW ostrzegło władze

Jedną z najbardziej rozpoznawalnych grup w tej sieci jest „764". Sześć lat temu założył ją 15-letni wówczas Bradley Cadenhead z Teksasu. W 2023 r. został skazany na 80 lat więzienia, ale jego grupa nie zniknęła. FBI podaje, że sprawy związane z „764" prowadzą wszystkie jego biura terenowe. W Europie najwięcej takich przypadków jest w Szwecji, gdzie z the Com powiązano m.in. atak nożem dokonany w Borås. 14-letni sprawca zeznał, że wyszedł z domu z nożem, bo domagali się tego koledzy z sieci. Zrobił im transmisję na Discordzie, jak niszczy opony w samochodach, ale mówili, że to za mało. Ugodził więc nożem kobietę, która akurat wyszła z psem na spacer. Jeden z widzów pisał: „Wróć i zrób to jeszcze raz". Potem ci sami koledzy donieśli na niego policji.

We Włoszech zatrzymano 15-latka, który przygotował ładunek wybuchowy i wybrał bezdomnego, którego planował zabić podczas „tygodnia terroru". 25 marca niedaleko Bergamo 13-latek ranił nauczycielkę, transmitując atak przez Telegram. Wcześniej szantażował rówieśniczkę z Polski żądając, by się okaleczyła. W następnych tygodniach włoskie służby zatrzymały m.in. 17-latka podejrzanego o planowanie szkolnej masakry.

W jawnej części opublikowanego w maju raportu z działalności ABW (za lata 2024-2025), pierwszego takiego dokumentu od ponad dekady, agencja wymienia „radykalizację młodych" obok zagrożeń ze strony Rosji czy proliferacji broni. Dokument stwierdza, że katalizatorem „jest ekspozycja na skrajne treści dystrybuowane w internecie". „ABW ustaliła już pojedyncze przypadki podejmowania bezpośrednich przygotowań do przeprowadzenia ataków terrorystycznych". – Agencja publicznie przekazała ostrzeżenie, a dalsze działania leżały w gestii innych organów państwa, przede wszystkim ministerstw edukacji i spraw wewnętrznych. Nie zauważyłem jednak żadnych objawów takich działań – mówi dr Michał Piekarski, specjalizujący się w tematyce bezpieczeństwa politolog z Instytutu Studiów Międzynarodowych i Bezpieczeństwa Uniwersytetu Wrocławskiego.

Władze mogły sprawniej zareagować. W maju opublikowano Strategię Komunikacji Kryzysowej, z gotowymi wzorami działań dla ministerstw i innych instytucji.

Zlecić dziecku zamach

Dr Konrad Ciesiołkiewicz z Centrum Analiz Społeczeństwa Informacyjnego Uczelni Korczaka (autor tegorocznego raportu „Weaponizacja osób małoletnich i młodych dorosłych. Nowe zagrożenia dla bezpieczeństwa wewnętrznego") był współorganizatorem serii konferencji dla funkcjonariuszy, prokuratorów, służb społecznych i kuratorów. Byli na nich też przedstawiciele wysokiego szczebla z MEN i innych resortów. – Tylko czy to zeszło na niższy poziom? Wydaje mi się, że w ograniczonym stopniu – przyznaje.

Kanada w zeszłym roku wpisała dwie grupy The Com na listę organizacji terrorystycznych. Wielka Brytania sądzi takie sprawy jak zamachy. Szwedzi wydali wyrok wobec chłopaka, którego oskarżono o popełnienie przez internet przestępstw w 11 krajach. FBI wystosowało list otwarty z ostrzeżeniem do rodziców. Włosi zmienili prawo, by zakazać nieletnim kupowania i noszenia noży z ostrzem dłuższym niż 5 cm.

Cztery dni po „krwawym piątku" nasze Ministerstwo Sprawiedliwości odpowiedziało na interpelację posłanki Moniki Rosy... ze stycznia, informując, że „nie prowadzi analiz dotyczących sieci »764« bądź podobnych struktur", a zespół Dyżurnet.pl przy NASK nie otrzymał zgłoszeń wskazujących na działanie takich sieci w Polsce.

Według Europolu trudno dziś znaleźć obszar przestępczości zorganizowanej, w którym nie wykorzystywano by dzieci, od handlu narkotykami i wymuszeń, aż po przemoc na zlecenie. Coraz częściej pojawiają się też w statystykach dotyczących terroryzmu. Wśród 486 osób zatrzymanych z tego powodu w zeszłym roku, co czwarta miała 18 lat lub mniej. Najmłodszy był 12-latek. Terroryzm The Com jest jednak inny od tego, o którym dotąd słyszeliśmy. Nie ma ideologii ani ustrukturyzowanej organizacji. Do tego dzieci i młodzież radykalizują się szybko. „Czasem to kwestia tygodni" – twierdzi Bartjan Wegter, unijny koordynator ds. zwalczania terroryzmu.

Samotne i zalęknione

Intensywne badania nad radykalizacją młodzieży trwają od ponad 20 lat i istnieją wypracowane modele, które określają, dlaczego i jak do niej dochodzi. – Problem w tym, że ta wiedza nie dociera tam, gdzie jest potrzebna i dziś w Polsce nie ma jej ani większość policjantów, ani nauczycieli – mówi dr Piekarski.

Dr Agnieszka Bukowska, socjolożka i pedagożka z Uniwersytetu Civitas, która od lat szkoli z mechanizmów radykalizacji i wpływu w sektach, zwraca uwagę, że proces ten nie ma swego początku w internecie: – Zaczyna się od niezaspokojenia potrzeb, na przykład bezpieczeństwa, przynależności czy uznania. Dopiero, gdy ten brak się pojawi i nie znajduje odpowiedzi, zaczynają się próby zaspokojenia go poza najbliższą grupą.

Polskie dzieciaki na radykalizację mogą być wyjątkowo podatne. Według „Diagnozy przemocy wobec dzieci" Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę 8 proc. dzieci i nastolatków nie ma ani jednej bliskiej osoby, do której mogłyby się zwrócić o pomoc. Dwie trzecie nastolatków w wieku 11-17 lat doświadczyło przemocy rówieśniczej, a 18 proc. – przemocy długotrwałej i systematycznej. W opublikowanym ostatnio raporcie Stowarzyszenia Wiosna samotność jest głównym motywem. Dzieci piszą: „Marzę, by mieć przyjaciół i robić z nimi fajne rzeczy"; „Marzę o tym, żeby mnie wszyscy lubili, żeby się nie śmiali ze mnie w szkole".

Ta samotność idzie w parze z brakiem kompetencji społecznych, które pozwoliłyby z niej wyjść. W badaniu PISA z 2022 r. tylko 46 proc. polskich 15-latków zadeklarowało, że przed zajęciem stanowiska stara się rozważyć punkt widzenia wszystkich stron (średnia OECD to 62 proc.). Znaleźliśmy się wśród krajów z najniższym wynikiem.

Rosyjski trop

Internetowa społeczność Maniac Murder Cult (MMC) powstała około 2018 r. w ukraińskim Dnieprze, ale szybko rozprzestrzeniła się w Rosji. Badacze określają jej ideologię jako „wojujący akceleracjonistyczny neofaszyzm" z domieszką okultyzmu i mizantropii. To MMC wprowadziła przemoc jako dowód lojalności. Według Instytutu Dialogu Strategicznego stała się też pierwowzorem koalicji, która wiosną zawiązała się w The Com. Koalicja ma forum w darknecie, poradniki o materiałach wybuchowych i truciznach oraz boty, które śledzą nowych członków. Badacze piszą, że poziom organizacji jest nietypowo wysoki, jak na sieć prowadzoną przez nastolatków. Zastrzegają, że nie ma dowodu na kontrolę ze strony rosyjskich służb, ale jeśli rzeczywiście tę sieć wykorzystują, to nie musiały niczego tworzyć na potrzeby wojny hybrydowej. Wystarczyło to, co zastały.

Eksperci zajmujący się badaniem dezinformacji, z którymi rozmawialiśmy, twierdzą, że wydarzenia z „krwawego piątku" mogły być suflowane z zagranicy. – I byłaby to operacja tania, bo wykorzystująca już istniejące sieci. Zysk byłby przy tym ogromny, bo poza wywołaniem paniki, odciągnięto też znaczne zasoby państwa w sytuacji, gdy inne zagrożenia nie zniknęły – mówi dr Piekarski.

Najłatwiej byłoby wskazać winnego: rząd, który przespał czwartkowy wieczór, opozycję, która dolewała oliwy do ognia, media powielające plotki czy Rosję, która je wzmacniała. Żaden z tych „winnych" nie odpowie jednak na pytanie, dlaczego 13-latek zwierzał się komuś obcemu w Szwecji, a nie osobie, która powinna być znacznie bliżej.

Bramki w szkołach nie zatrzymają dziecka, które od miesięcy zmaga się z samotnością albo z przemocą. To może zrobić tylko dorosły. Rodzic, który wie, z kim i o czym rozmawia jego dziecko. Albo nauczyciel, który rozumie jego potrzeby i zauważy problemy, z którymi uczeń się zmaga. To dużo trudniejsze niż wskazanie winnego. I dużo mniej wygodne.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI



JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

Robert Bąkiewicz, Jarosław Kaczyński, Mariusz Gosek podczas demonstracji przed Trybunałem Konstytucyjnym, Warszawa, 14 października 2026 r.

Reset racją stanu

STEFAN SĘKOWSKI

POLITYKA | Przez spór o Trybunał Konstytucyjny obywatele nie mogą być pewni stosowania korzystnych dla nich wyroków. Albo zbudujemy tę instytucję od nowa, albo przestaniemy być demokracją.

Nie wiem, czy bohaterka tej historii kibicowała w przepychankach pod Trybunałem Konstytucyjnym Robertowi Bąkiewiczowi, który próbował uniemożliwić wejście do gmachu sędziego Macieja Berka, czy temu drugiemu, który parę godzin wcześniej złożył w Sejmie ślubowanie. Wiem za to, że przez trwający już 11 lat bałagan w Trybunale pani M.I. może stracić 63 tys. zł, które w 2014 r. Urząd Skarbowy kazał jej zapłacić stwierdzając, że nie przysługiwała jej tzw. ulga meldunkowa po sprzedaży mieszkania. 8 września 2026 r. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Gdańsku oddalił skargę w tej kwestii, ponieważ Donald Tusk nie opublikował wyroku, jaki TK (z sędzią-dublerem w składzie) wydał w ubiegłym roku. Nie miało znaczenia, że w czerwcu wrocławski WSA w analogicznej sprawie zdecydował, że publikacja orzeczenia Trybunału nie jest konieczna, by rozpatrzyć sprawę innego podatnika.

Kryzys sądownictwa konstytucyjnego utrudnia życie tysiącom Polaków. Niezależnie od tego, ilu spośród ponad 100 tys. wczesnych emerytów, którym ZUS pomniejsza świadczenia nawet o 1200 zł miesięcznie, należy do fanklubu Berka, a ilu Święczkowskiego – nikt z nich nie może liczyć na bardziej korzystne przeliczenie, choć TK wydał w tej sprawie wyrok już dwa lata temu. Mogą iść z tą sprawą do sądu, który nakaże ponownie rozpatrzyć sprawę.

Albo i nie nakaże, bo różni sędziowie różnie traktują brak publikacji tych samych orzeczeń Trybunału. Co prawda przy Alei Szucha wciąż stoi jego piękna siedziba, a większość sędziów pobiera godne wynagrodzenie (niemal 44 tys. zł brutto, bez dodatków), jednak sama instytucja jest w zasadzie martwa. To zaś oznacza, że nie ma w Polsce nikogo, kto niezależnie oceniałby zgodność ustaw z Konstytucją i rozstrzygał spory kompetencyjne między władzami. I kogo ↦

↦ orzeczenia byłyby respektowane, nawet jeśli oceniane są krytycznie.

Nieprzyjęcie przez Andrzeja Dudę ślubowania od trzech prawowicie wybranych sędziów sprawiło, że to nie od Sejmu w pełni zależy, kto może orzekać w TK, a kto nie. A od pierwszego nieopublikowania orzeczeń Trybunału przez Beatę Szydło – to szef rządu, a więc władza wykonawcza, w praktyce zatwierdza wyroki i może ich stosowanie zawiesić na „święte nigdy".

Premier w roli sędziego

Przed tym, że przyszły premier może wejść w buty poprzedników, ostrzegaliśmy wspólnie z Tomaszem Pułrólem w wydanej w 2021 r. książce „Upadła praworządność. Jak ją podnieść". Między bajki można włożyć argumentację, jakoby Donaldowi Tuskowi chodziło tylko o to, by uniknąć publikacji orzeczeń wydanych z udziałem sędziów-dublerów. Wśród tych włożonych do zamrażarki są bowiem takie, nad którymi pracowali sędziowie wybrani zupełnie legalnie. Przykładowo, szef rządu zignorował wyrok przywracający prawo do świadczenia pielęgnacyjnego opiekunom niepełnosprawnych dzieci podczas urlopu wychowawczego, choć został wydany zgodnie z prawem, na co zwracał uwagę Rzecznik Praw Obywatelskich.

Z perspektywy idei niezależnego sądownictwa (co potwierdził TSUE) nie ma znaczenia, że w składzie orzekającym są sędziowie, których nie akceptujemy, jeśli wyrok został wydany *lege artis*. Jednak z perspektywy obozów rządzących Polską od 2015 r., prezes rady ministrów może znaleźć byle pretekst, by wyroków Trybunału nie publikować, a więc ich nie uznawać.

Nie wykluczam zresztą, że w zaniechaniach Tuska w ogóle nie chodzi o TK. Jak pisał Alexis de Tocqueville w „Dawnym ustroju i rewolucji": „nie ma takiego okrucieństwa ani takiej niegodziwości, której nie popełniłby skądinąd łagodny i liberalny rząd, kiedy zabraknie mu pieniędzy". A tych brakuje dziś jak kani dżdżu. Deficyt sektora finansów publicznych wynosi już ok. 7 proc. PKB, a do końca dekady grozi nam przełamanie wszelkich progów ostrożnościowych. Wtedy będzie można albo zignorować Konstytucję, albo uchwalić ich zmianę. Jednak nad utratą wiarygodności na międzynarodowych rynkach finansowych i koniecznością płacenia rosnących odsetek z coraz wyższego długu trudno będzie przejść do porządku dziennego.

Jeśli politycy się nie opamiętają, chaos rozprzestrzeni się na inne sądy i urzędy, które w zależności od interpretacji będą, lub nie, brać pod uwagę orzeczenia Trybunału.

W tej sytuacji niepublikowanie wyroków, które, jak ten dotyczący wcześniejszych emerytów, mógłby kosztować ZUS prawie 12 mld zł wyrównania (plus po kilka miliardów rocznie wyższych świadczeń w kolejnych latach), może być rządową próbą spowolnienia wzrostu zadłużenia.

Między młotem a kowadłem

O odmowie publikacji wyroku TK mało kto słyszy i może nie być jej świadomy nawet wtedy, gdy straci przez to pieniądze. A gdy ktoś zaprotestuje, może usłyszeć, że przecież nie wolno wprowadzać do prawnego obiegu świstków podpisanych przez takich arbitrów jak Krystyna Pawłowicz, Stanisław Piotrowicz czy Bogdan Święczkowski. Tym bardziej, że wydają oni również ewidentnie partyjniacko-pisowskie orzeczenia, np. w sprawie sejmowej uchwały na temat usunięcia skutków kryzysu konstytucyjnego i bezprawnego powołania sędziów-dublerów czy komisji śledczej ds. wyborów korespondencyjnych. Donald Tusk jest tu poniekąd między młotem a kowadłem, bo aktywiści delegowani przez PiS na odcinek trybunalski mogliby swoimi wyrokami pozbawić go rzeczywistej władzy.

Problem w tym, że podsycana przez duopol wojna nie ogranicza się do polityki i marnym pocieszeniem jest to, że zawiłe sprawy trafiające do TK zazwyczaj dotyczą kogoś innego. Bo gdy już znajdziemy się w wąskim gronie np. niepełnosprawnych, którym ośrodki egzaminacyjne nie chcą zapewniać samochodów, w których mogliby zdać na prawo jazdy; wnuków opiekujących się dziadkami bez prawa do wsparcia finansowego; właścicieli nieruchomości wpisanych do ewidencji zabytków niemogących przeprowadzić jakiegokolwiek remontu – okaże się, że ten bałagan może kosztować nas osobiście dziesiątki lub setki tysięcy złotych, albo pozbawić prawa do czegoś istotnego.

Jeśli politycy nie zaczną tego kryzysu w końcu rozwiązywać, chaos będzie się rozprzestrzeniał na inne sądy i urzędy, które w zależności od przyjętej interpretacji będą, lub nie, brać pod uwagę orzeczenia TK. Narastająca niepewność prawna będzie utrudniała funkcjonowanie lokalnego biznesu, odstraszała zagranicznych przedsiębiorców, a inwestorów skłaniała do żądania premii za ryzyko w postaci np. wyższych odsetek za państwowe obligacje. A obywatele i władze będą tonąć w bagnie bezprawia, nie wiedząc, kto i jakie ma kompetencje.

Na końcu tego kontinuum znajduje się omnipotentna władza premiera i parlamentarnej większości, którą powstrzymuje wyłącznie weto prezydenta (o ile jest z przeciwnej opcji), też niekierującego się konstytucyjnością własnych poczynań. Im dłużej trwa ten kryzys, tym trudniej będzie z niego wyjść.

Zabawka dla polityków

Większość spektakularnych wydarzeń z ostatnich lat wokół tego tematu to teatr niemający większego znaczenia dla sądownictwa konstytucyjnego w Polsce. Opinia Komisji Weneckiej w sprawie możliwości składania ślubowania bez obecności prezydenta ani trochę nie zwiększy jego autorytetu. Premier ją uznaje, prezydent i prezes Święczkowski – nie. Nieważne, czy teraz Tusk wprowadzi do TK „silnych ludzi", którzy posadzą na przysługujących im miejscach wybranych w tej kadencji Sejmu sędziów, czy stworzą oni w innym budynku odrębny Trybunał i będziemy mieć dwa. Sądownictwo konstytucyjne stało się łupem wyborczym w rękach polityków i już mało kto traktuje je poważnie.

Aby to naprawić, trzeba TK zbudować na nowo poprzez kompromis największych sił politycznych, choć obecnie ten „okrągły stół" wydaje się niemożliwy. Dziś działaczom KO oraz PiS służy wzajemny polaryzacyjny uścisk, bo trochę ogranicza przestrzeń do poszerzania własnego elektoratu konkurentom. Zresztą PiS, a przynajmniej Jarosław Kaczyński, doktrynalnie jest przeciwny idei sądow-



FILIP NAUMIENKO / REPORTER

Bogdan Święczkowski, prezes Trybunału Konstytucyjnego, na zdjęciu podczas obchodów rocznicy katastrofy smoleńskiej. Warszawa, 10 kwietnia 2026 r.

nictwa konstytucyjnego stojącego nad wolą suwerena i traktuje Trybunał instrumentalnie, jako narzędzie polityki. Nie ma więc motywacji, by go naprawiać.

Z kolei Donald Tusk korzysta dziś z narzędzi służących do zwalczania imposybilizmu prawnego, jaki pozostawili mu poprzednicy. Na dodatek prezydent Karol Nawrocki postanowił wcielić się w rolę jednoosobowego TK – wetując kolejne ustawy, zwiększa swe znaczenie. Jemu także nie opłaca się naprawiać obecnej sytuacji. Czyli nie da się nic zrobić?

Konieczna niemożliwość

W 2024 r. parlament usiłował zmienić ten stan rzeczy, cofając zegar. Uchwalono dwie ustawy naprawcze, które usuwały ze składu Trybunału sędziów-dublerów i wprowadzały na ich miejsce w TK następców większością 3/5 w Sejmie, co wymusza kompromis.

Prezydent Duda wysłał nowe prawo do... Trybunału. Sędziowskie „karpie" oczywiście nie chciały przyspieszać wigilijnej wieczerzy i uznały ustawę za niekonstytucyjną.

Wtedy pojawiła się koncepcja resetu konstytucyjnego. Pierwszy z pomysłem wygaszenia aktualnych kadencji wystąpił Krzysztof Bosak, który zaproponował, by – jak chcieli tego rządzący – wybierać sędziów większością 3/5 głosów, przy czym zanim do głosowania dojdzie, decydenci musieliby dojść do kompromisu w kwestii nazwisk. Za resetem opowiedział się też polityk z zupełnie innej strony barykady – Adrian Zandberg.

Gdy usłyszałem o tym pomyśle po raz pierwszy, żachnąłem się. Reset zatwierdziłby bezprawie, z jakim mieliśmy do czynienia od 2015 r. Po drugie, nie widziałem szans na zgodę co najmniej 60 proc. posłów w kwestii kandydatur. Dziś jednak uznaję, że jeśli mamy do wyboru rację lub kontrolę konstytucyjną, wolę to drugie. A to, co wydaje się niemożliwe, jest konieczne. Albo zbudujemy sądownictwo konstytucyjne od nowa, albo go nie będzie.

Jak na razie propozycje składają głównie ci, którzy nie mają faktycznej mocy sprawczej. Senat od dwóch lat pracuje nad projektem zmiany Konstytucji, osobne propozycje zgłosiły też wspomniana już Konfederacja, Rozwój Plus, Polska 2050 i Tomasz Zalasiński z Fundacji Batorego. Warto przyjrzeć się ich wspólnym mianownikom, bo mogą być podstawą kompromisu.

Wszyscy zgadzają się co do tego, że Sejm nie powinien wybierać sędziów TK bezwzględną większością głosów (231), bo to upartyjnia elekcję osób mających pełnić swój urząd niezależnie. Stąd część pomysłodawców wskazuje na wprowadzenie zmuszającej do konsensusu większości 3/5. W zależności od punktu siedzenia zmienia się „mniejszość blokująca".

W projekcie senatora KO Krzysztofa Kwiatkowskiego przewagę negocjacyjną ma większość sejmowa, bo jeśli posłowie się nie porozumieją, sędziów wybierze większość bezwzględna. W projekcie Rozwoju Plus jest ona na musiku, bo jeśli nie dojdzie do kompromisu w ciągu 100 dni od wygaśnięcia mandatu, prezydent może rozwiązać parlament. Z kolei Ujazdowski i Zalasiński proponują, by Sejm, Senat i prezydent wybierali oddzielną pulę sędziów. Natomiast Kwiatkowski i Polska 2050 chcą, by TK podzielił się kontrolą konstytucyjną z sądami powszechnymi. A Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz z Polski 2050 pragnie w ogóle zlikwidować TK, skoro nie da się go naprawić.

W stronę okrągłego stołu

Wspólne punkty mogą służyć do dalszych prac w ramach okrągłego stołu na rzecz resetu. Po tę analogię historyczną sięgam świadomie, obsadzając nieszczęsnych „deformatorów" TK z lat 2015-2023 w roli „strony rządowej", a zwolenników naprawy w roli „strony społecznej". Nazwy nie mają jednak znaczenia, liczą się ludzie otwarci na kompromis. Należy do nich choćby Krzysztof Szczucki z Rozwoju Plus, który wielokrotnie powtarzał, że PiS bardzo mocno przyczynił się do kryzysu w TK. Samo wskazanie współwiny swojego dotychczasowego środowiska politycznego jest krokiem w dobrą stronę.

W kwestii resetu podziały idą w poprzek sceny politycznej, stanowiąc wartościowy przyczółek. Jednak warunkiem udanego kompromisu jest przyznanie przez partyjnych liderów, że u źródeł kryzysu leży wspólne łamanie zasad dotyczących składu TK. Tyczy się to także większości PO–PSL–SLD, która niezgodnie z prawem wybrała w 2015 r. dwóch sędziów „na zapas". Może to brzmieć jak symetryzowanie na siłę, jednak w negocjacjach politycznych, jakimi byłby taki okrągły stół, przerzucanie się winą lub ustalanie jej w procentach tylko by przeszkadzało.

Konieczne jest zapewnienie poszczególnym graczom politycznym oraz środowisku prawniczemu wpływu na obsadzenie nowego TK. Potrzeba także środków, które utrudnią obalenie tego ładu w przyszłości, np. uniezależnienia wyboru sędziów i publikacji orzeczeń od prezydenta i premiera. Z drugiej strony przydałyby się narzędzia hamujące lub korygujące zbytni „aktywizm prawniczy" w samym Trybunale; ten zarzut, częściowo słusznie, pojawiał się jeszcze przed 2015 rokiem.

Najważniejszy warunek udanego resetu to jednak presja społeczna. Bez niej największym partiom nie będzie się opłacało nic zmieniać. Być może jako społeczeństwo obywatelskie mamy dziś do odegrania dziejową rolę – zanim przestaniemy być państwem prawa.

© STEFAN SĘKOWSKI

Dyskretny urok apokalipsy

PRZEMYSŁAW PLUCIŃSKI, SOCJOLOG:

AKTYWIZM | Mamy do czynienia z mechanizmem, w którym próbuje się przypisać etykietę ekoterroryzmu działaniom opartym na obywatelskim nieposłuszeństwie. To język charakterystyczny dla mechanizmów paniki moralnej.

DOMINIKA SOSZYŃSKA: Jedną z najbardziej widocznych przestrzeni zaangażowania młodych ludzi jest dziś aktywizm klimatyczny i środowiskowy. Z jednej strony nie chcemy „leniwej, roszczeniowej młodzieży" i oczekujemy od niej buntu oraz zaangażowania w ważne problemy społeczne. Ale z drugiej, czy to zawsze jest dobry pomysł?

DR PRZEMYSŁAW PLUCIŃSKI: W pani pytaniu wybrzmiewa mocno osadzone w naszej kulturze romantyczne oczekiwanie, że młodzi powinni rozsadzać zastany świat. Nakłada to na młode, zaangażowane osoby ogromny ciężar i odpowiedzialność, również w wymiarze międzypokoleniowym. Dlatego nie traktowałbym współczesnego aktywizmu wyłącznie jako buntu przeciwko starszym. To nie jest sprzeciw nakierowany na proste zanegowanie starego porządku świata.

Chodzi raczej o próbę upominania się o międzypokoleniową sprawiedliwość?

Tak. Młodzi ludzie dziedziczą dziś problemy, których nie stworzyli, ale będą żyli z konsekwencjami decyzji, które podejmowały i nadal podejmują osoby o pokolenie lub dwa pokolenia starsze. Walczą więc o to, by w tym wszystkim uwzględnić również ich interes.

Podczas gdy młodzi dźwigają na swoich barkach tę odpowiedzialność, my – dorośli najczęściej dworujemy sobie z tego, że przyklejają się do ulic?

Zapewne nawiązuje pani do medialnego i zarazem dość stereotypowego obrazu tych grup. W badaniach nad ruchami społecznymi analizujemy to w kategoriach ramowania. Czasami przybiera ono charakter całego „przemysłu", bo współczesne media karmią się przecież prędkością, powierzchownością i klikalnością.

Na ruchy społeczne trzeba jednak spojrzeć szerzej. Z perspektywy badań najczęściej mają one charakter hybrydowy – znajdziemy tam wiele różnych form działania. To nie jest tylko to, co przebija się do mediów. Przeważnie widzimy tam protest publiczny, często konfrontacyjny, który bywa przedstawiany jako otwarcie agresywny i zagrażający publicznemu porządkowi. Na ile rzeczywiście taki jest? W mojej ocenie ten obraz jest w dużej mierze przerysowywany.

Dlaczego Pan tak uważa?

Uwagę mediów najsilniej przyciągały takie formy obywatelskiego nieposłuszeństwa, jak działania nieistniejącego już w swojej pierwotnej formie Ostatniego Pokolenia czy – nieco wcześniej – Extinction Rebellion. Sposób ich przedstawiania był zróżnicowany, ale społeczny odbiór tych działań wyjątkowo często okazywał się negatywny, mimo że zasadniczo nie opierały się one na przemocy.

W części takich akcji rzeczywiście dochodziło do ingerencji w mienie, co należy jednak wyraźnie odróżnić od przemocy wobec ludzi. Jest to np. czasowe naruszenie sposobu korzystania z własności prywatnej lub publicznej albo ograniczenie dostępu do niej. Osobną kategorię stanowiły działania zakłócające wydarzenia publiczne, takie jak przerywanie uroczystości lub koncertów. Opierały się na intencji zakłócenia rutynowego przebiegu codziennych praktyk i zwrócenia uwagi na określony problem.

Czy takie działania nie są aby kontrskuteczne? Jeśli protest uliczny sprawia, że stoimy w korku, mając na głowie ważne sprawy, naturalnie się wkurzamy.

Społeczna ocena takich form, jak blokowanie ulic czy przyklejanie się do asfaltu, jest bardzo negatywna. Dodatkowo media skupiają się przede wszystkim na frustracji, którą one wywołują. I rzeczywiście, badania sugerują, że niektóre działania zyskują na tyle zły odbiór, iż wprawdzie zwiększają widoczność danej sprawy, to jednocześnie obniżają sympatię wobec ruchu, który je podejmuje. Jest to więc broń obosieczna.

Same ruchy muszą wewnątrz swoich struktur rozstrzygnąć, czy kontynuowanie takiej strategii będzie w dłuższej perspektywie skuteczne z punktu widzenia sprawy, o którą walczą. I takie dyskusje rzeczywiście się toczą. Tyle że my wiemy o nich niewiele, ponieważ najczęściej odbywają się na zamkniętych forach.

Z jakimi mniej widocznymi działaniami mamy do czynienia w młodzieżowym aktywizmie?

Młodzi ludzie często działają intersekcjonalnie, przekraczając granice wąsko rozumianego aktywizmu środowiskowego czy klimatycznego. Dostrzegają, jak wiele problemów społecznych wzajemnie się przenika – od kryzysu klimatycznego, przez konsumpcjonizm, niestabilność ekonomiczną i prekaryzację, po kwestie transportu publicznego. Starają się odpowiadać na te wyzwania w sposób całościowy i na własną rękę szukają rozwiązań. Podkreśliłbym też coś, co badałem kilka lat temu w polskich ruchach środowiskowych, a mianowicie pracę z wiedzą. Z całą pewnością są to ruchy, które kładą silny nacisk na samokształcenie, wykorzystywanie analiz naukowych oraz współpracę z ekspertami.

W istocie mamy do czynienia z bardzo różnymi formami działania, które umykają mediom, o ile nie przybierają charakteru szeroko zakrojonych kampanii. Chodzi chociażby o aktywność cyfrową: promowane w internecie materiały edukacyjne, kampanie hashtagowe czy bojkoty firm. Często są to także dzia-



RAFAŁ GUZ / PAP

Protest aktywistów z grupy Ostatnie Pokolenie na zalanej trasie S8 w Warszawie, 20 sierpnia 2024 r.

łania bardzo lokalne, mniej widoczne na ogólnopolskim forum.

Jakie psychologiczne efekty niesie społeczne zaangażowanie młodych?

Styl działania młodych mówi nam wiele przede wszystkim o ich potrzebach. Oni chcą być sprawczy, chcą być widziani i słyszani. Mają też silną potrzebę tworzenia wspólnoty – przynależenia do grupy ludzi, którzy myślą i działają podobnie. To oczywiście niesie ze sobą również zagrożenia, związane na przykład z grupowym czy ideologicznym zamknięciem lub przypisywaniem sobie nadmiernej odpowiedzialności za powodzenie sprawy, co może prowadzić do przeciążenia i aktywistycznego wypalenia.

Motyw wypalenia pojawia się dziś często w wypowiedziach samych aktywistów.

Nie chodzi przy tym o zwykłe zmęczenie. Długotrwałe angażowanie dużej ilości energii emocjonalnej w sprawę uznawaną za fundamentalnie ważną, przy jednoczesnym poczuciu, że realna zmiana zachodzi bardzo wolno albo wcale, może prowadzić do frustracji, przeciążenia i poczucia bezsilności. W wielu ruchach istnieje zresztą duża świadomość tego zagrożenia i rozwija się kultura samoopieki, regeneracji oraz wzajemnego wsparcia, określana w wewnętrznym języku jako „regen". Pozostaje pytanie, czy takie praktyki regeneracyjne wystarczają każdemu.

Czytając reportaże o młodzieżowych ruchach klimatycznych, można odnieść wrażenie, że część tych osób całkowicie żyje „doomistyczną" narracją katastrofy klimatycznej – są święcie przekonani, że niedługo wszyscy umrzemy. Może takie czarno-białe postrzeganie świata również dokłada cegiełkę do negatywnego odbioru?

Kiedy, prowadząc badania, w pogłębiony sposób rozmawiałem z aktywistami i aktywistkami, katastroficzna wizja przyszłości gdzieś się pojawiała, ale nigdy nie wybrzmiała w formie tak radykalnego przekonania. Nie twierdzę przy tym, że przedstawiona w reportażach figura jest wyssana z palca.

Aktywizm klimatyczny funkcjonuje w polu napięcia między poczuciem sprawczości i nadzieją na zmianę a doświadczeniem bezsilności, co może wiązać się z poczuciem egzystencjalnego zagrożenia i utraty kontroli nad przyszłością. Z drugiej strony, aktywność zbiorowa może pomagać w odzyskiwaniu poczucia sprawczości.

Warto też podkreślić, że wieszczenie końca świata przez ruchy, zarówno społeczne, jak i religijne, nie jest *novum*. Przypomnę choćby ruchy millenarystyczne, które mają przecież zdecydowanie dłuższą tradycję niż aktywizm klimatyczny.

Może to dyskretny urok apokalipsy motywuje nas do działania?

Lęk może motywować do działania, zwłaszcza kiedy zostaje skonkretyzowany: powiązany z określonym zagrożeniem i możliwymi sposobami reakcji. Z tego uczucia może wynikać właśnie potrzeba sprawstwa. W ruchach klimatycznych również spotykamy tego rodzaju motywacje. Chodzi o przejście od poczucia bezradności do działania.

Czy krytyka działań tych ruchów nie prowadzi czasem do ich radykalizacji?

Jeżeli mamy do czynienia z negatywnym obrazem grupy, krytyka może prowadzić do dwóch przeciwstawnych reakcji: albo do korekty strategii, jeżeli grupa podejmie refleksję nad własnymi działaniami, albo do usztywnienia stanowiska. Jeżeli krytyka będzie interpretowana jako potwierdzenie moralnego zepsucia społeczeństwa, może to sprzyjać radykalizacji.

Warto podkreślić, że aktywizm i radykalizm bywają ze sobą powiązane – to wiemy z historii badań nad ruchami społecznymi. Nie muszą jednak współwystępować. Nie istnieje prosty mechanizm prowadzący od aktywizmu do przemocy. W historii ruchów społecznych takie przejście jest raczej wyjątkiem niż regułą.

Niemiecki psycholog prof. Hannes Zacher badał związki między aktywizmem a tzw. ciemną triadą osobowości, na którą składają się narcyzm, makiawelizm i psychopatia. Z badań wynika, że osoby z większą tendencją do manipulowania innymi częściej angażują się w działania aktywistyczne oraz że takie działania mogą wzmacniać tę cechę. Podobnie jest z narcyzmem.

Ta „ciemna triada" to bardzo intrygujący kierunek badań. Natomiast trzeba je czytać z ostrożnością. Opisy tych badań są raczej próbą uchwycenia fenomenu, w którym osoby o narcystycznych czy makiawelicznych cechach osobowości również znajdują się w ruchach społecznych. Takie zjawiska nie opisują jednak ruchów jako całości.

Choć badania pokazują, że samo środowisko aktywistyczne może wpływać na cechy osobowości – zwłaszcza gdy dominują w nim poczucie moralnej wyższości i presja działania w imię „słusznej sprawy".

Warto jednak podkreślić, że metaanalizy dotyczące takich zjawisk jak agresja, wrogość międzygrupowa czy antydemokratyczne nastawienie pokazują, że nie są one wyłącznie domeną ruchów środowiskowych. Badania wskazują, że podobne cechy łączą się na przykład z wczesną ambicją polityczną, czyli z młodymi osobami, które próbują rozpocząć karierę partyjną. Nie stwierdzamy jednak, że wszyscy ↦

↦ młodzi ludzie z ambicjami politycznymi są narcystyczni czy makiaweliczni.

Choć z łatwością przychodzi nam przyklejanie aktywistom klimatycznym łatki ekoterrorystów.

Ta radykalizacja języka jest w dużej mierze niewspółmierna do charakteru opisywanych działań. Mamy tu do czynienia z mechanizmem, w którym próbuje się przypisać etykietę ekoterroryzmu działaniom opartym na obywatelskim nieposłuszeństwie. To język charakterystyczny dla mechanizmów paniki moralnej, który jest zarazem atrakcyjny medialnie.

Historia ruchów społecznych pokazuje, że podobne strategie ramowania stosowano już wobec ruchów roku 1968 i szeroko rozumianej kontrkultury. Choć w tamtym przypadku niewielka ich część rzeczywiście skręciła w stronę otwartego terroryzmu.

Wystarczy wspomnieć styczniowy atak na sieć energetyczną w Berlinie, który spowodował największą przerwę w dostawie prądu od 1945 r. Do działań przyznała się lewicowa, ekstremistyczna grupa Wulkan, twierdząc, że to protest przeciwko katastrofie klimatycznej.

W obrębie ruchów progresywnych czy klimatycznych pojawiają się bardziej radykalne nurty i strategie działania. Warto jednak zachować proporcje. Opublikowane w 2022 r. badanie porównawcze nad przemocą polityczną pokazuje, że działania związane ze skrajną lewicą rzadziej miały charakter przemocowy niż te związane ze skrajną prawicą. Nie oznacza to oczywiście, że przemoc jest wyłączną domeną prawicy ani że każdy radykalizm prawicowy prowadzi do przemocy. W tym świetle szczególnej ostrożności wymagałoby jednak przypisywanie ruchom klimatycznym wyjątkowej skłonności do ekstremizmu.

Czy przebywając wyłącznie z ludźmi, którzy myślą tak jak my, utwierdzamy się we własnych przekonaniach do tego stopnia, że w oczywisty sposób antagonizuje nas to z ludźmi spoza bańki?

Kiedy grupa funkcjonuje w poczuciu zagrożenia – z powodu negatywnego odbioru mediów lub frustracji związanej



ARCHIWUM PRYWATNE

DR PRZEMYSŁAW PLUCIŃSKI jest adiunktem w Zakładzie Studiów nad Dynamiką Społeczną Wydziału Socjologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, badaczem zrównoważonej transformacji, ruchów społecznych i środowiskowych.

z zamkniętymi kanałami osiągania sukcesu politycznego czy przełożenia naszych działań na rozstrzygnięcia instytucjonalne – może dochodzić do uruchomienia mechanizmu grupowego myślenia i reakcji obronnej. Zaczynamy zgadzać się już wyłącznie ze sobą. I coraz bardziej się zamykamy.

Można by tu pewnie włączyć także bardzo dobrze rozwiniętą w naukach społecznych hipotezę kontaktu, sformułowaną już w latach 50. XX w. i wielokrotnie weryfikowaną. Brak realnego spotkania z przedstawicielami innych grup może sprzyjać utrwalaniu uproszczonych i stereotypowych wyobrażeń o nich i uniemożliwiać dialog.

Czy jest coś, co może chronić młodych aktywistów przed ideologizacją i radykalizacją?

Jednym z najlepiej przebadanych sposobów ograniczania stereotypów i wrogości międzygrupowej jest bezpośredni kontakt, zwłaszcza gdy odbywa się w sprzyjających warunkach. Takie kontakty mogą zachodzić – i realnie mają miejsce.

Dodam, że każdy ruch społeczny powinien po swoich akcjach dokonywać refleksji: czy osiągnęliśmy cel, czy nie? Czy nasze działania i podejmowane przez nas ryzyko są skuteczne? Myślę, że rozwiązanie Ostatniego Pokolenia i przejście aktywistów do innych przestrzeni można interpretować jako efekt tego rodzaju refleksji.

W Polsce powstał nowy ruch klimatyczny Jazda. Działania aktywistów skierowane są przeciwko znanym, bogatym ludziom – w ramach protestu oblewają na przykład domy celebrytów sztucznymi odchodami.

Jazda jest pod tym względem ciekawym przypadkiem, także ze względu na materialistyczny, nieco klasowy rys swojego przekazu: antyestablishmentowe, antykorporacyjne narracje czy postulaty redystrybucyjne, jak upowszechnienie dostępu do taniego transportu publicznego. Dotychczasowe działania Jazdy mają przy tym performatywny charakter i opierają się na zakłócaniu rutyn, jak choćby podczas Green Film Festival.

Mimo antyelitarnych nastrojów w polskim społeczeństwie, nie widać głosów poparcia dla tego rodzaju aktywności.

To nowa inicjatywa, dlatego na ocenę efektów jej działań trzeba jeszcze poczekać. Istotnym testem będzie między innymi to, czy ruch okaże się zdolny do poszerzania bazy i budowania szerszych koalicji.

Jaką radę miałby Pan dla dorosłych? Może potrzebowalibyśmy po prostu więcej wyrozumiałości wobec młodych osób?

Nie jestem człowiekiem od rad. Natomiast myślę, że jeżeli te protesty nie mają iść na marne, warto nie tyle pouczać te środowiska, ile próbować zrozumieć, jak działają i co mają do powiedzenia. Wiele ich diagnoz ma solidne podstawy naukowe, choć nie są też nieomylne. Aktywizm oznacza działanie w warunkach niepewności, a więc także możliwość popełniania błędów. Jak głosi potoczna mądrość: nie myli się tylko ten, kto nic nie robi.

Uważamy, że sami mamy prawo popełniać błędy, bo przecież nikt nie jest nieomylny, ale aktywiści już nie?

Jedną z funkcji stereotypizacji jest upraszczanie rzeczywistości i ograniczanie wysiłku poznawczego. Tymczasem można krytykować blokadę ulicy jako metodę, a jednocześnie odrzucać interpretację, wedle której wszyscy uczestnicy są z definicji radykałami, których należy usunąć z życia społecznego. Także stojąc w korku.

© Rozmawiała DOMINIKA SOSZYŃSKA

OLGA

Drenda:
Na niby i na inby



Znów o wszelkie zło oskarża się gry komputerowe. Ten smutny cios kulą w płot obserwuję już po raz kolejny w trakcie mojego życia. Wciąż z godnym lepszej sprawy uporem ktoś obwinia o nakłanianie do przemocy to gry, to „szatańską" muzykę, to anime, to poczciwą Hello Kitty. Jako była lub obecna miłośniczka wielu z tych rzekomo niebezpiecznych zjawisk – miałam bowiem w życiu rozmaite epizody fanowskie, a zwłaszcza metalu słucham do dziś – kiwam tylko ze smutną rezygnacją głową, widząc ten festiwal ignorancji.

Przykre są tu szczególnie rzeczy dwie – po pierwsze, brak chęci zrozumienia i woli przyznania, że młody odbiorca potrafi oddzielić życie od fikcji i tym, co interesuje go w „ekstremalnej" popkulturze, jest również jej „odklejenie", niecodzienność, świadomość, że to wszystko na niby. Druga zaś jest nieszczęsna ze strategicznego punktu widzenia: to patrzenie w niewłaściwą stronę. Problemem nie są bowiem gry czy „złe obrazy", lecz fakt, że ludzie o wrogich zamiarach wnikają w neutralne, a wręcz pozytywnie, edukacyjnie kojarzące się rodzicom infrastruktury. Żeby to pojąć, wystarczy wyobrazić sobie, że przed czasami komputerów zinfiltrowane zostałyby kółka modelarskie, które zaczęłyby między wierszami szkolić z konstrukcji bomb, czy kulinarne, na których uczono by trucia. Albo przypomnieć historię zamachu na Kim Dzong Nama, którego zabójczynie zostały nieświadomie zrekrutowane pod pozorem udziału w programie typu „Śmiechu warte".

Mam spore grono dobrych znajomych poznanych w tym wstrętnym internecie, który owszem, był wtedy trochę innym miejscem (acz dodam, żeby nie popadać w snucie jakichś klechd cybernetycznych – wcale nie wolnym od dorosłych o złych zamiarach). Były to czasy przemocy na ulicach i pustek w portfelach, do tego każdy na pewno miał swój wyjściowy bagaż kłopotów. A jednak – ci dorośli dziś fani najbardziej ekstremalnych zakątków popkultury należą teraz do najłagodniejszych obyczajem. Z usposobienia misiaczki, pod względem odwagi cywilnej – piątka. Miażdżą żelazną piąchą wszelkie przejawy pogardy wobec słabszego, stają w obronie nękanych dzieciaków, propagują trzeźwość i sport, nie jadają mięs, hołubią puchate koty i króliczki. Biorąc ich za przykład, mogłabym polecić filmy o zombie i słuchanie Morbid Angel jako wzorcową drogę wychowania dziecka na przyzwoitego człowieka.

Przy odrobinie złej woli można byłoby wykorzystać do skrytych celów nawet grę w piłkarzyki



OLGA DRENDA

Ale rytualne potępienie gier komputerowych nastąpić oczywiście musi. Tymczasem kiedy po raz kolejny od lat ponad już stu (najstarsi górale byli rugani za czytanie powieści broszurowych i, jak wtedy pisano, „comicsów") wygodnie jest obwiniać wszystko, co trochę odstaje od standardu rozrywki, w tzw. normalnym świecie trwa pyszna zabawa. Ludzie, którzy powinni (a może to naiwne założenie?) trzymać pewien standard, dają przykład najgorszy. To przede wszystkim parlamentarzyści, którzy odkryli swoje powołanie w robieniu żenujących scen, obrażaniu innych i unikaniu odpowiedzialności. Osoby publiczne, które zdają sobie sprawę, że mają wpływ na innych, demonstrują, że najlepiej być bezczelnym cwaniakiem realizującym model „bierz forsę i w nogi", a nie frajerem, który się stara czy któremu na czymś może zależeć. Ale też ludzie bardzo dorośli, z pomyślnym życiem zawodowym, nieraz po licznych szkołach, między zdjęciami bajkowych wakacji i smacznych wypieków lubią życzyć śmierci dopiero co napotkanym w internecie bliźnim. Inni zaś głoszą swoją specyficzną definicję wolności, polegającą na prawie np. do osobistego atakowania matek chorych dzieci za ich rzekomo niewystarczająco produktywne istnienie – bo kto im zabroni wyrazić swoje zdanie?

Życie publiczne ma obecnie wdzięk przepełnionego toi toia w gorący dzień. Najważniejsze jednak jest to, że wszystko dzieje się w sferze życia uchodzącej za tę „normalną". Cóż, gdy ktoś chce utwierdzić się w poczuciu, że jest dobrym i empatycznym człowiekiem, zaczyna usprawiedliwiać, psychologizować. Ale zwłaszcza wśród znanych nazwisk widać wyraźnie, że te zapasy w błocie to nie jest jakaś niekontrolowana reakcja człowieka nieszczęśliwego. Może czas dopuścić do siebie niesympatyczną myśl, że nie wszystko, co wygląda na złość, musi być reakcją na jakiś brak – jest także próżne i pyszne pieniactwo ludzi skądinąd sytych. W oczy rzuca się szczególna lubość, z jaką praktykują radosne schodzenie poniżej dna. Uczestnicy tego brzydkiego karnawału sprawiają wrażenie, jakby doskonale się bawili.

Ale była kiedyś głośna książka socjologa Neila Postmana – „Zabawić się na śmierć". Z jej treścią czasem polemizowałam, natomiast bardzo lubię jej tytuł. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

Poznajcie finalistów nagrody B( )NUS

TYGODNIK POWSZECHNY

Dla tych, którzy łączą, nie dzielą

Nagroda BONUS powstała, by wyróżniać ludzi, którzy wzmacniają dialog, budują zaufanie i potrafią działać ponad podziałami. Doceniamy osoby, które w swojej pracy nie ulegają logice polaryzacji, uproszczeń i sensacji. Chcemy pokazywać tych, których działalność realnie wpływa na życie społeczne, kulturę i jakość debaty publicznej.

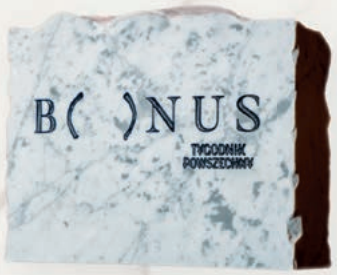

FOT. MAREK BEDNARZ

Finaliści kategorii KULTURA | Dla twórców, którzy otwierają przestrzeń dla różnych głosów, doświadczeń i perspektyw. KAPITUŁA: Michał Kuźmiński (przewodniczący), Olga Drenda, Paulina Frankiewicz, Monika Ochędowska, Anita Piotrowska, Ziemowit Szczerek.

ELWIRA NIEWIERA | Za nagradzane filmy dokumentalne i za niestrudzoną, prowadzoną od początku wojny pomoc dla Ukrainy, do której potrafi przekonać ludzi dobrej woli z wielu krajów.

MARCEL BALIŃSKI | Za Współgłosy – porywającą, pełną wyobraźni i twórczej energii muzykę, w której głosy osób z niepełnosprawnościami wybrzmiewają w pełni i na równych prawach.

ANJA FRANCZAK | Za „Żabę" – książkę artystyczną, która znajduje sposób, by opowiedzieć o żałobie dzieciom (i nie tylko im), oraz za otwieranie przestrzeni rozmowy o śmierci, którą tak często spychamy na margines.

JURIJ ZAWADSKI | Za budowanie mostów między polską i ukraińską kulturą – jako wydawca, tłumacz, animator i autor piszący po polsku – oraz za to, że wszędzie, gdzie się pojawia, kultura zaczyna żyć spotkaniami.

Finaliści kategorii MEDIA | Dla dziennikarzy i twórców, którzy stawiają na pluralizm, rzetelność i dialog oraz pokazują, że informowanie nie musi oznaczać podsycania konfliktów. KAPITUŁA: Jacek Stawiski (przewodniczący), Marcin Giełzak, Brygida Grysiak, Karolina Wigura.

ZBIGNIEW NOSOWSKI | Za kierowanie „Więzią" i za to, że jest w wielu środowiskach autorytetem, pomagającym zrozumieć złożone problemy społeczne i religijne.

DARIUSZ ROSIAK | Za stworzenie popularnego podkastu „Raport o stanie świata", który dla tysięcy Polek i Polaków jest jednym z głównym źródeł wiedzy o sprawach międzynarodowych.

TOMASZ TERLIKOWSKI | Za zdecydowaną obecność w dyskursie publicznym oraz takie prowadzenie debat, które pozwala rozumieć i poznawać wrażliwość różnych stron dyskusji.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ | Za pokazywanie z pasją i konsekwencją różnym odbiorcom ważnych i nieoczywistych spraw politycznych i cywilizacyjnych współczesnego świata.

Finaliści kategorii DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA | Dla osób, które budują lub odbudowują wspólnoty, niwelują podziały i tworzą przestrzeń do spotkania mimo różnic. KAPITUŁA: Michał Okoński (przewodniczący), Bogdan de Barbaro, Aleksander Kardyś, Ryszard Koziołek, Joanna Kuciel-Frydryszak, Marcin Napiórkowski.

MARINA HULIA | Za „Dzieci z dworca Brześć" i wieloletnią pracę na rzecz wykluczonych społecznie, zmieniającą dotychczasowe miejsca marginalizacji w przestrzenie godności.

MAGDALENA BIGAJ | Za działalność na rzecz higieny, kultury i edukacji cyfrowej – za wspieranie rodziców, wychowawców i dzieci, na równi zagubionych w wirtualnym świecie.

ANJA FRANCZAK | Za przywrócenie przestrzeni publicznej jednego z najbardziej wypartych tematów naszych czasów, za mądre towarzyszenie odchodzącym i pogrążonym w żałobie.

KONRAD CIESIOŁKIEWICZ | Za obronę praw, godności i bezpieczeństwa najmłodszych — również w wymiarze państwowym – i ze świadomością, że ochrona dzieci zaczyna się od ich wysłuchania.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Finaliści kategorii TECHNOLOGIA | Dla innowatorów, którzy tworzą rozwiązania służące ludziom, zwiększające dostępność i włączające, zamiast wykluczać. KAPITUŁA: Agata Kaźmierska (przewodnicząca), Katarzyna Bąkowicz, Grzegorz Błażewicz, Grzegorz Brona, Wojciech Brzeziński, Tadeusz Gadacz, Dariusz Jemielniak, Artur Kurasiński, Przemysław Kuśmierek, Dariusz Mazurkiewicz.

ANDRZEJ BYSZEWSKI, CYBERSPRAWNI CYBERMOCNI | Za otwieranie drzwi, które wydawały się zabarykadowane na zawsze; za pokazanie, że dzięki technologii osoby z niepełnosprawnościami mogą w pełni korzystać ze swoich możliwości.

SEBASTIAN KONDRACKI, BIELIK | Za stworzenie otwartego modelu językowego, który wzmacnia polską niezależność technologiczną, i pokazanie, ile można osiągnąć dzięki bezinteresownej, oddolnej współpracy.

JACEK SIADKOWSKI, TECH TO THE RESCUE | Za stworzenie sieci, która połączyła setki firm z organizacjami pomagającymi ludziom – za umożliwienie najlepszym specjalistom od technologii wykorzystania swoich umiejętności do rozwiązywania problemów społecznych.

JAN SZUSTER, TOTUPOINT | Za wynalazek, dzięki któremu budynki i przestrzeń publiczna zaczynają mówić, pomagając osobom niewidomym poruszać się po tysiącach miejsc w całej Polsce.

Finaliści kategorii MECENAT / DOBROCZYNNOŚĆ | Dla filantropów, darczyńców i przedsiębiorców, którzy udowadniają, że kapitał może mieć wyraziste oblicze etyczne. Nagradzamy tych, którzy poprzez swoją hojność czynią dobro – mądrze i długofalowo wspierają inicjatywy kulturalne, naukowe i pomocowe. KAPITUŁA: Jacek Ślusarczyk (przewodniczący), Andrzej Betlej, Piotr Cywiński, Dobrosława Gogłoza, Aleksandra Kamińska.

IGOR CZERNECKI | Za łączenie refleksji naukowej z systemową i dalekowzroczną filantropią, dzięki której edukacja, demokracja i społeczeństwo obywatelskie w Polsce oraz Europie Środkowo-Wschodniej zyskują trwałe wsparcie.

JOANNA, PAWEŁ I MICHAŁ GŁADYSZOWIE | Za wieloletnie, rodzinne zaangażowanie w ochronę pamięci o ofiarach Auschwitz-Birkenau oraz bezcenny wkład w zachowanie prawdy historycznej i autentyzmu miejsca dla przyszłych pokoleń.

WOJCIECH PAWŁOWSKI | Za budowanie polskiej gospodarki z klasą, odpowiedzialnością i wyobraźnią — w którym sukces rynkowy konsekwentnie idzie w parze z zaangażowaniem w rozwój społeczeństwa obywatelskiego oraz z wieloletnim, chojnym wspieraniem polskiej kultury.

EWA VOELKEL-KROKOWICZ | Za nowatorskie i pełne pasji łączenie biznesu, kultury i projektowania oraz budowanie przestrzeni, gdzie kreatywność i filantropia stają się siłą społecznej zmiany.

Laureatów poznamy podczas gali wręczenia nagród 7 listopada 2026 w Małopolskim Ogrodzie Sztuki w Krakowie.

Wieczór zakończy koncert zespołu ØRGANEK.

Dowiedz się więcej: szczegółowe informacje o nominowanych i o nagrodzie na **bonus.tygodnikpowszechny.pl**

ORGANIZATORZY:

TYGODNIK POWSZECHNY

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

PATRONI MEDIALNI:

65 TVP3 KRAKÓW

TVP I info_

Trójka POLSKIE RADIO

PARTNERZY:

Kraków

ERGO HESTIA

TERLAN

Albatros travel

Mazowsze. serce Polski

HERBEWO INTERNATIONAL S.A.

GDAŃSK | MIASTO LITERATURY UNESCO Creative Cities Network

Teatr im. Słowackiego w Krakowie

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

75 NARODOWE CENTRUM KULTURY

Projekt zrealizowano we współpracy z Narodowym Centrum Kultury. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

JESIEŃ W KRAMATORSKU

„Dziś jest spokojniej. Ale nie wiesz, co będzie za pół godziny. A tak chce się żyć" – Natasza stąd nie wyjedzie; mówi, że nie ma dokąd. W tym mieście, które jest ostatnią ukraińską linią obrony w Donbasie, wciąż żyje wielu cywilów.

TEKST I ZDJĘCIA ANTONINA PALARCZYK Z KRAMATORSKA



W tym mieście 500 metrów może zmienić wszystko. Może być czasoprzestrzennym tunelem, który oszałamia. Może dzielić czynną kawiarnię, obok także czynnego bazarku, od wymarłego osiedla, po którym przemykają żołnierze.

Miejscowych to nie dziwi. Ci, którzy na przekór wciąż żyją w tym powiatowym mieście – kiedyś 60-tysięcznym, które wraz z sąsiednimi Słowiańskiem i Drużkiwką tworzyło kiedyś jedną aglomerację, a dziś jest ostatnim ukraińskim bastionem w Donbasie – przywykli do wojennego surrealizmu. Od 2014 r. bliskie frontu, dziś czuje jego oddech. Od wschodu, od Rosjan, dzieli je już tylko pas kredowych wzgórz, ostatnia linia obrony. Rosyjskie drony od dawna zachowują się w Kramatorsku tak, jakby były u siebie.

Mikrorajon nr 179, osiedle najbardziej wysunięte na wschód, ten najstraszniejszy z kierunków świata, nosi wszystkie tego objawy. Pod osmalonymi ścianami bloków, między krzakami, na podwórkach straszą spalone auta. Być może stały się celem dronów FPV w czasie nocy. Choć dron z noktowizją jest dużo droższy od tego ze zwykłą kamerą, lot w ciemności chroni go przed zestrzeleniem.

Ich liczba na przyfrontowym niebie znacząco wzrosła, wyznaczając kolejny etap rozwoju wojny technologicznej i nowe zasady przetrwania w takich miastach jak Kramatorsk. Znajomy żołnierz z batalionu „Donbas", kwaterujący się w sąsiednim Słowiańsku, powie, że ludzie z jego jednostki mają zakaz poruszania się po mieście po godzinie 21. To zbyt niebezpieczne.

DRONY NA NIEBIE | Obok spalonych aut są też całe – cywile wciąż żyją w tej okolicy. Nieraz po sąsiedzku z operatorami dronów i grupami, które odpowiadają za zestrzeliwanie dronów.

Od końca sierpnia Kramatorsk i Słowiańsk mają status strefy działań bojowych. W takich dzielnicach jak Mikrorajon nr 179 trudno o tym zapomnieć: powietrze drży od śmigiełek dronów, rosyjskich i ukraińskich. Kursują wte i wewte, szukają czegoś, wiszą nieruchomo jako przekaźniki sygnału, czasem gonią wrogi dron. Ten rok poszerzył doniecką gamę o cienki dźwięk dronów-przechwytywaczy: rozwijają prędkość do 300 km/h i sprawnie likwidują także rosyjskie Szahedy.

– To nasz, poznaję po dźwięku – uspokaja Sasza. Jeden z trójki podwórkowych stróżów kręcących się po osiedlu w towarzystwie psa i małego kotka. Kot, jeśli nie jest trzymany przez Irynę pod polarem, od razu gdzieś się zapodziewa.

W ślad za brzęczeniem drona, który Sasza uznał za ukraiński, rozlega się seria. To strzela któraś z tutejszych grup bojowych, schowanych w krzakach lub pod daszkiem. Towarzystwo niewiele robi sobie z hałasu. Podnoszą tylko nieco głos, by słyszeć się nawzajem. Tylko Iryna, kobieta w średnim wieku, kuli się nieco z kotem w objęciach.

– Znaleźliśmy go dzisiaj, siedział na szkle i tak przebierał łapkami... – tłuma-



Cerkiew w dzielnicy Lazurnyj, osiedlu na obrzeżach miasta, dziś opustoszałym. Jesień 2026 r.

czy z zatroskaną miną. – Żal mi się zrobiło, jak mogłabym go nie zabrać?

JESIENNY WIECZÓR | Choć profesja stróżów najwyraźniej wciąż funkcjonuje, od jakiegoś czasu wstrzymano pracę zakładu komunalnego, który wywoził z tego osiedla śmieci. Śmieciarka, duża i powolna, mogłaby być nazbyt oczywistym celem dla dronów.

Ostatnie dni to ciężki czas dla Mikrorajonu nr 179 – nie tylko „komunałka", także służby ratunkowe pracują tu w ograniczonym zakresie. Nie wystarcza mobilnych grup ogniowych, zwalczających drony, niezbędnych do obstawy wozów strażackich.

Jesienny wieczór. Nad osiedlem unosi się kilka słupów dymu: ślady po dronach, które przed chwilą uderzyły w okna mieszkań, losowo.

Można tylko modlić się, by ogień nasycił się po pożarciu kilku domostw i ucichł, zostawiając kolejne czarne szramy na umęczonej dzielnicy. – Szczury z małymi szczurkami biegają po dzielnicy, bo śmieci nie wywożą od dwóch tygodni – komentuje lokatorka.

Stoi na podwórzu, przed szalejącym na kilku piętrach pożarem. Garstka mieszkańców bloku opuściła go już w pośpiechu, nie wiedząc, czy płomienie nie dotrą do ich mieszkań. Ściemnia się. Słychać strzelające iskry i co jakiś czas huk spadających na podwórze zgliszcz.

– Aleksandr nie wie, za co został wsadzony do klatki – mówi siwowłosa staruszka. Siedzi na ławce, otoczona ↦



Sasza (z prawej) i Roma pilnują nieba nad dzielnicą. Pośrodku Iryna oraz pies i kot, które przygarnęli. Kramatorsk, jesień 2026 r.



Płonący blok w Mikrorajonie nr 179 po ataku rosyjskiego drona. Kramatorsk, jesień 2026 r.

↦ kilkoma tobołami i kontenerkiem z zamkniętym w środku kotem Aleksandrem. Spod ławki szczerzy zęby jamnik imieniem Siemionczyk. – Boże, a ja mam na szóstą do pracy na bazarze.

NADZIEJA I OBOJĘTNOŚĆ | Bo bazar w Kramatorsku wciąż działa. W ograniczonym zakresie, ale działa. Pracuje także sporo sklepów.

Transport publiczny funkcjonował aż do chwili, gdy 8 października od uderzenia bomb lotniczych w dwa wypełnione autobusy zginęło 35 osób (od dronów można się ustrzec, a przynajmniej można próbować – inaczej, gdy idzie o KAB-y, kierowane bomby lotnicze).

Krew krzepnie w żyłach na myśl, ile z lokalnych przedsiębiorstw będzie w ten sam sposób działać tu do samego końca – nie do chwili, aż postanowi się o jego zamknięciu lub przeniesieniu w bezpieczniejsze miejsce, lecz do rosyjskiego uderzenia, grzebiącego cały interes w zgliszczach.

Istnienie miasta zdaje się opierać na tej mieszance: nadziei, utrzymującej przy życiu, z zupełną już obojętnością na to, co przyniesie kolejny dzień. Bo czego to już nie widzieli tu mieszkańcy i co byłoby w stanie zmusić ich do ucieczki?

Technicznie to wciąż możliwe. Lokalne grupy w komunikatorze Telegram pełne są ofert transportu towarowego – z Kramatorska można wyjechać z całym ruchomym dobytkiem. Przy ogłoszeniach nie jest podawana cena, to



Mikrorajon nr 179 to jedna z bardziej narażonych na ostrzały dzielnic Kramatorska. Jesień 2026 r.

rzecz do negocjacji. Od jednej z mieszkanek słyszę, że to ok. 60 tys. hrywien (niespełna 6 tys. zł).

Co jakiś czas w sieci pojawiają się migawki, jak mieszkańcy obwodu donieckiego opuszczają go na własną rękę: objuczona stertą waliz i skrzyń, z ludźmi i ich zwierzętami, stareńka łada dusi się pod ładunkiem.

ZŁO I DOBRO | Prosperującym biznesem są złomowiska i punkty ze starzyzną. Informacja na ich temat wzbudza internetową dyskusję oburzonych mieszkańców. Nie jest tajemnicą, że większość przyjmowanego w nich materiału pochodzi z okradzionych mieszkań. Szabrownictwo hula, w wykonaniu zorganizowanych grup spoza miasta. Ale, jak przekonują z goryczą tutejsi, także miejscowych, którzy, bywa, włamują się do mieszkań sąsiadów, którzy wyjechali.

Przyfrontowa przestępczość miesza się tu z przyfrontową szlachetnością. Wiktorię i Ołeksandra, parę emerytów, spotykam niedaleko bazaru. Ich łada stoi między dwoma spalonymi autami. Małżeństwo mieszka na przedmieściach Krama-

torska, bez wody, prądu i gazu. Oraz bez planów na przyszłość.

Czują się odpowiedzialni za trójkę sąsiadek-emerytek, starszych od nich. Opiekują się nimi, pomagają z jedzeniem i lekami. Zajmują się też zwierzętami, porzuconymi. Dokarmiają, czym mogą. Raz kaszą, raz konserwami.

ZOSTAĆ? UCIEKAĆ? | – Koło mostu mieszkał mój ojciec chrzestny – mówi Ołeksandr. – Ślepy i po trzech zawałach. Rosjanie uderzyli w most, w jego domu wybuch wybił okna i zniósł dach. Nie miał gdzie się podziać, zadzwonił po wolontariuszy. Ewakuowali go do Łozowej, to 100 km stąd, do przechodniego punktu dla przesiedleńców.

– Spędził tam trzy tygodnie – opowiada Ołeksandr. – Potem został zakwaterowany w jakimś przytułku, w koszmarnych warunkach. Na szczęście jeden krewny go przygarnął. Ale w wielu wypadkach nie ma takiego zakończenia i ludzie wracają po prostu do swoich domów.

Jego znajoma z sąsiedniej Drużkiwki, którą wybuch też pozbawił dachu, zdecydowała się na wyprowadzkę. Ołeksandr: – Mieszka gdzieś pod Połtawą, w strasznych warunkach.

– Nie chcę jechać, gdzie miałabym się podziać? – włącza się Natasza. Przytacza historie zasłyszane u starszych ludzi, którzy odmawiają ewakuacji: podobno jakaś babuszka wyjechała i umarła po drodze. Pytana o okoliczności, w których ludzie zmieniają zdanie, bez wahania odpowiada: przylot prosto w dom lub mieszkanie. O ile, rzecz jasna, się przeżyje.

– Dziś jest spokojniej. Ale nie wiesz, co będzie za pół godziny, za tydzień, miesiąc. A tak chce się żyć. Chce się pracować i trudzić, chce się pokoju. Czekamy na cud, ale cud chyba nas opuścił – monolog Nataszy przypomina szeptaną pod nosem modlitwę. – Żeby był pokój, żeby była robota, żeby ludzie... Żeby ludzie byli żywi.

© ANTONINA PALARCZYK

Autorka studiuje psychologię, od wiosny 2023 r. pisze dla „Tygodnika" korespondencje z Ukrainy. Pod koniec października w Wydawnictwie Literackim ukaże się jej książka pt. „Neńka licho. Ukraina. Reportaż z wojny".

Wołanie z Kijowa

PETRO BALOG OP, EKONOM ZAKONU DOMINIKANÓW W KIJOWIE:

Boję się, że tej zimy nasze miasta staną. Ale trzeba walczyć do końca.

JACEK TARAN: Na ile ostatnie rosyjskie ataki zmieniły codzienność w Kijowie?

PETRO S. BALOG: Trochę wróciliśmy do tego, co było jesienią 2022 r., gdy Rosja zaczęła naloty na dużą skalę. Nie jest jeszcze tak źle, ale wszystko zmierza w tym kierunku. Rosjanie atakują elektrociepłownie i urządzenia wspomagające kanalizację. Brak wody i ogrzewania jest dostatecznym problemem, ale jeśli przestanie działać kanalizacja, może dojść do epidemii.

Jak na co dzień radzicie sobie z przerwami w dostawach prądu i kolejnymi atakami?

W 2022 r. po raz pierwszy doświadczyliśmy takiej sytuacji, wtedy w niektórych częściach miasta prądu nie było przez kilka dni. Wówczas po raz pierwszy pojawiły się grafiki przerw w dostawie prądu. Dziś są znowu. Przez cztery godziny jest prąd, przez kolejne cztery nie ma. Ludzie planują, kiedy mogą korzystać z urządzeń elektrycznych.

Mimo ostrzałów, podczas których Rosjanie wystrzeliwują na nas po 30 rakiet balistycznych naraz, służby szybko naprawiają szkody. Banki i urzędy mają generatory, bo muszą funkcjonować. Także sklepy. One mają lodówki, zamrażarki, żywność mogłaby się zepsuć.

Jak odbieracie ograniczenia amerykańskiego wsparcia dla Ukrainy? W tych dniach pojawiły się problemy z dostępem do danych wywiadowczych i usług firmy SpaceX.

Niektórzy mówią o zdradzie. Dla mnie osobiście nie jest to zaskakujące. Dziwię się wręcz, że Trump tak późno zaczął otwarcie opowiadać się po stronie Putina. Gdy w styczniu 2025 r. zaczął kadencję, od razu przestał przekazywać pomoc za darmo. Wszystko przelicza na pieniądze. Później zaczął sprzedawać uzbrojenie. Niestety Ukraina nadal jest zależna od Stanów. Owszem, Europa i Unia Europejska pomagają, ale Amerykanie mają technologie i rodzaje broni, których Europa nie ma. Ukraińscy analitycy od dawna mówią jednak, że powinniśmy rozwijać bliższe relacje z państwami europejskimi.

Czego najbardziej obawiacie się w perspektywie zbliżającej się zimy?

Że ukraińskie miasta zupełnie staną. Bardzo niepokoją też nastroje. Coraz więcej ludzi woła, że wojny wystarczy, że trzeba zawrzeć pokój. Tyle że w chwili obecnej w praktyce oznacza to kapitulację: oddanie tego, czego domaga się Putin. Obawiam się też, że rosyjska propaganda coraz silniej wpływa na nastroje w Europie i na świecie, a także w samej Ukrainie. Ludzie mogą w końcu uznać, że dalsza obrona nie ma sensu, że pokój jest zawsze lepszy niż wojna.

Tylko że my znamy Rosję i wiemy, że po takim rzekomym pokoju nastąpi okupacja całego kraju. Putin nam tego nie wybaczy, że stawiliśmy mu opór.

Skąd w takim razie brać siłę i nadzieję?

Musimy sobie poradzić. Musimy także przestać wreszcie tolerować korupcję. Ukraina nie jest małym krajem. Jeśli Finlandia potrafiła kiedyś obronić się przed Związkiem Sowieckim, to dlaczego Ukraina nie miałaby sobie poradzić? Trzeba walczyć do końca. Nie chodzi już o zwycięstwo. O zwycięstwie mówiło się jeszcze kilka lat temu. Teraz chodzi przede wszystkim o to, by wytrwać w obronie. O to, żeby agresor w końcu zostawił nas w spokoju. ©℗ Rozmawiał JACEK TARAN



ARCHIWUM PRYWATNE

PETRO BALOG OP (ur. 1977) jest teologiem, wykładowcą i byłym dyrektorem Instytutu Nauk Religijnych św. Tomasza w Kijowie. Doktor teologii (doktorat napisał na UAM w Poznaniu).

Talibowie, złoto i opium



AGNIESZKA PIKULICKA Z BADACHSZANU (PÓŁNOCNY AFGANISTAN)

AFGANISTAN | Ze wszystkich prowincji tego kraju to Badachszan ma najwięcej minerałów: złoto, żelazo, miedź, ołów, kamienie szlachetne. Dziś to najbardziej niespokojny region: władza talibów ściera się tu z mniejszością tadżycką.

Przy odpowiednim oświetleniu, gdy niebo przybiera barwy soczystego błękitu, ostre szczyty Hindukuszu i Pamiru wyglądają jak namalowane. Bajkowy krajobraz dopełniają rwące potoki płynące z gór, a także potężna rzeka Pandż, która wyznacza granicę afgańskiego Badachszanu z Tadżykistanem.

Ale piesze wędrówki w tej okolicy mogą mieć mało bajeczne skutki.

Dziś droga do Fajzabadu, stolicy Badachszanu – górskiego regionu położonego w północno-wschodnim Afganistanie i graniczącego z Tadżykistanem, Chinami i Pakistanem – wiedzie przez dziesiątki check-pointów. Jest ich więcej niż w innych częściach kraju. Jeszcze w lutym tego roku rząd w Kabulu wysłał do tego regionu tysiąc dodatkowych funkcjonariuszy sił porządkowych.

Bo w ostatnich miesiącach to właśnie Badachszan stał się jednym z najbardziej niespokojnych regionów Afganistanu. A przemoc, która jest tutaj codziennością, rozlała się także poza granice kraju.

POD WŁADZĄ TALIBÓW | Niecały rok temu, w wyniku dwóch ataków dronowych sterowanych z terenu Afganistanu, zginęło pięciu obywateli Chin pracujących w Tadżykistanie. Sprawca ataku pozostał nieznany. Z kolei w połowie sierpnia tego roku, w dystrykcie Darwoz w Tadżykistanie, zmarła kobieta. Miała 21 lat. Przez okno jej domu wleciała zbłąkana kula, która przywędrowała z południowego brzegu rzeki Pandż.

Odkąd talibowie wrócili do władzy w 2021 r. – po tym, jak szturmem zajęli Kabul i roznieśli w pył Islamską Republikę, do czasu wspieraną przez Amerykanów i ich sojuszników – ich kontrola nad terytorium Afganistanu pozostaje niezachwiana. Talibowie odrobili zadanie domowe z upadku ich pierwszego emiratu w 2001 r., a sieci swoich sprzymierzeńców, które mozolnie tworzyli w czasach Republiki (2001-2021), okazały się na tyle silne, że ich władza wydaje się dziś stabilna.

Jednak z tego obrazu wyłamuje się właśnie Badachszan. To jedno z niewielu miejsc, gdzie skala przemocy wzrosła w ciągu minionych pięciu lat, od czasu upadku poprzedniego systemu.

ZŁOTY PRIORYTET | Mohammed nigdy nie lubił pracy w kopalni. Ale pewnego chłodnego dnia, w marcu tego roku, postanowił, że już nigdy tam nie wróci.

Zdecydował się na tę pracę dwa lata temu, wraz z bratem. Bo mając dyplom z dziennikarstwa, w afgańskim Badachszanie wiele się nie wskóra. Górnictwo to wprawdzie praca ponad siły. Brudna, niebezpieczna i wycieńczająca. Ale złoto dawało szansę na dobry zarobek. Jednak Mohammed nie sądził, że przyniesie też śmierć.

W Badachszanie wydobycie złota na dużą skalę rozpoczęło się stosunkowo niedawno, po przyjściu talibów do władzy. Wcześniej w regionie dominowało górnictwo rzemieślnicze, głównie kontrolowane przez lokalnych watażków. Tak było z większością surowców, choć we wczesnych latach inwazji na Afganistan Amerykanie szacowali ich wartość na trzy miliardy dolarów.

Przez lata jednak zakładanie kopalń złota czy miedzi było niemożliwe z przyczyn bezpieczeństwa. Dróg albo nie było, albo ataki talibów sprawiały, że były nieprzejezdne. Nikt nie chciał inwestować w takich warunkach. Gdy więc talibowie odzyskali kontrolę nad całym terytorium, wydobycie surowców – w obliczu międzynarodowych sankcji i kurczącego się skarbca byłego systemu – okazało się priorytetem.

W TUNELACH | Tymczasem to właśnie Badachszan ze wszystkich prowincji Afganistanu posiada najwięcej minerałów: złoto, żelazo, miedź, ołów i rozmaite kamienie szlachetne. I to tam, w dystrykcie Darwazi Bala, skąd pochodziła kula, która zabiła kobietę w Tadżykistanie, wychował się Mohammed. Tam też trafił do kopalni – do jednego z około dwóch tysięcy tuneli wykopanych w ostatnich latach, by wydobywać złoto.

Tunele są ciasne, ciężko w nich oddychać, a konstrukcje często nie spełniają wymogów bezpieczeństwa. Nie jest jasne, ilu górników zginęło podczas pracy w przeciągu ostatnich lat. Wiadomo jednak, że było ich sporo.

Lecz śmierć w tunelu nie była jedynym zagrożeniem w Nusaju, stolicy dystryktu Darwazi Bala. Większość kopalń leżała bowiem na terytorium kontrolowanym przez lokalnego watażkę, Dżumę Khan



WALKI KOHSAR / AFP / EAST NEWS

Gorączka złota zaczęła się w Badachszanie dopiero niedawno. Na zdjęciu: jedna z licznych kopalń tego kruszcu w regionie. Dolina Gulak Dara, Afganistan, 28 lipca 2026 r.

Fateha. Kopalnie płaciły mu regularny haracz i oddawały część wydobytego złota.

TALIBOWIE I WATAŻKA | Tamtego pamiętnego dnia Mohammed nie wiedział, że oddziały Fateha i talibów były w pobliżu. Kompletował narzędzia i przygotowywał się do zejścia do tunelu, do którego właśnie schodził jego brat. Nagle usłyszał strzały. Chwilę później rozległy się krzyki. Kopalnia była na linii ognia, nie mieli dokąd uciekać. Brat Mohammeda, Sandżi, dostał postrzał w nogę. Ich znajomy zginął na miejscu.

– Talibowie strzelali ze wszystkich stron – mówi mi Mohammed, siedząc na balkonie hotelu w Fajzabadzie, stolicy Badachszanu, którą od Nusaju dzieli 150 km. – Walki dotknęły wszystkich, ale najbardziej ucierpieli zwykli cywile. Niektórym grożono, innych upokarzano, a część ludzi w czasie tego konfliktu nie miała dostępu do żywności i przez wiele dni cierpiała głód.

Talibowie pomogli ewakuować brata Mohammeda do szpitala w Fajzabadzie. Przeżył, ale do dziś kontynuuje leczenie.

Mohammed mówi, że po zakończeniu walk w jego rodzinnym regionie wreszcie nastał spokój. Ludzie powoli wracają do siebie. Ale potrzeba czasu, by otrząsnąć się po rządach Dżumy Khana. Nie wiadomo też do końca, co przyjdzie po nich.

TADŻYCKA MNIEJSZOŚĆ | Dżuma Khan Fateh urodził się na wsi w Badachszanie, zamieszkanym głównie przez mniejszość tadżycką, w biednej tadżyckiej rodzinie. Prawdopodobnie w 1984 r., ale to nie jest pewne. Skończył szkołę, chwilę pomagał ojcu na roli, potem pracował w sklepie w Nusaju, czasem występował jako piosenkarz na wydarzeniach kulturalnych w okolicy. W 2009 r. dostał pracę w HALO Trust, organizacji humanitarnej zajmującej się usuwaniem min.

Jak na chłopca z biednej wiejskiej rodziny, była to obiecująca ścieżka kariery.

Ale w 2013 r. to się skończyło. Po nieudanej próbie zabójstwa swojego szefa z HALO Trust, Fateh musiał szukać schronienia. Prawdopodobnie wtedy dołączył do talibów, w jednym z niewielu przyczółków ich ruchu w Badachszanie. Tam miał otrzymać przygotowanie wojskowe. I choć w kolejnych latach afgańska policja aresztowała go trzykrotnie, za każdym razem był wypuszczany ze względu na szerokie kontakty w służbach.

W szeregach talibów tradycyjnie nie było wielu Tadżyków, a Badachszan zawsze był silnie związany z antytalibską opozycją. W czasach ich pierwszego emiratu (1996-2001) talibowie nigdy nie kontrolowali Badachszanu, który był domeną Ahmeda Szacha Masuda, tadżyckiego dowódcy Sojuszu Północnego.

NOWA KOLONIZACJA | Masud został zamordowany w 2001 r. przez agentów Al Kaidy, na parę dni przed atakiem na World Trade Centre. Wielu mieszkańców tego regionu do dziś widzi w nim swojego bohatera.

Radykalni talibowie – w większości etniczni Pasztuni – nie byli tutaj mile widziani. W pamięci regionu ciągle żywa jest kolonizacja północnego Afganistanu przez pasztuńskich osadników z południa w czasie rządów Abur Rahmana Chana, emira Afganistanu w ostatnim dwudziestoleciu XIX w. Pasztuni mieli zapewnić kontrolę nad północnymi regionami i tłumić potencjalną rebelię mniejszości etnicznych.

Po przyjściu talibów do władzy w 2021 r. historia zatoczyła koło.

– Dziś talibowie przenoszą nie tylko swoich bojowników z Kandaharu na strategiczne pozycje w Badachszanie, lecz przesiedlają tam także ludność. Przyznają Pasztunom ziemię w Badachszanie i innych północnych prowincjach – tak sytuację opisuje dr Mélanie Sadozaï, politolożka z Uniwersytetu w Ratyzbonie, która bada pogranicze tadżycko-afgańskie.

– Można to więc określić mianem kolonizacji demograficznej. Chodzi o narzucanie regionowi nowej struktury etnicznej. Dzięki takiemu posunięciu talibowie ↦

↦ mogą umocnić swoją władzę na obszarze, który historycznie stawiał im opór – ocenia Mélanie Sadozaï.

MAKOWE ZAGŁĘBIE | Z pomocą przyszedł im właśnie Dżuma Khan Fateh, a także inni tadżyccy talibowie. Krok po kroku budowali sieci kontaktów i lojalność miejscowych elit.

W grudniu 2024 r. Hibatullah Achundzada, emir Islamskiego Emiratu Afganistanu (taką nazwę nosi dziś państwo), powołał Fateha na funkcję dowódcy odpowiedzialnego za niszczenie pól maku, z którego lokalni rolnicy produkują heroinę na eksport, oraz na urząd gubernatora talibów w dystrykcie Nusaj. Fateh dostał prestiż, środki i ludzi.

Według danych Biura ONZ ds. Narkotyków i Przestępczości (UNODC), w latach 2022-25 powierzchnia upraw maku opiumowego w Afganistanie zmniejszyła się o ok. 96 procent. Jednak w Badachszanie likwidacja pól nie poszła tak łatwo. Protesty przeciw nowej polityce talibów wybuchały w 2024 i 2025 r., w ich wyniku zginęło kilkunastu rolników. Do dziś to właśnie Badachszan odpowiada za większość produkcji opium w kraju.

– Grupy przemycające narkotyki ukrywają haszysz, metamfetaminę i opium wśród innych towarów. Następnie przewożą je z Afganistanu do Tadżykistanu przez most, na którym w każdą sobotę odbywa się transgraniczny targ – mówi mi miejscowy dziennikarz, który chce pozostać anonimowy.

– Przemyt narkotyków i coraz intensywniejsze wydobycie złota musiały doprowadzić do napięć – dodaje rozmówca. – Dla ciebie walki przy granicy z Tadżykistanem może są czymś wyjątkowym, ale dla talibów są normą. Jeśli chcesz coś przemycić, zawsze znajdzie się jakiś wojskowy, który będzie chciał wymusić na tobie haracz. Tak może zacząć się konflikt.

WŁADCA PROWINCJI | Z czasem Dżuma Khan Fateh i jego stronnicy zaczęli gromadzić w swoich rękach ogromne wpływy. Kontrolowali lokalną ekonomię, ściągali haracze. W końcu położyli rękę na tym, co tutaj najcenniejsze: na złocie i przemycie opium do Tadżykistanu. Dżuma Khan ściągał haracze z kopalń złota, a czasem kazał oddawać sobie część wydobytego kruszcu. Kontrolował też przemyt heroiny.

Po 2021 r. talibowie radykalnie ograniczyli uprawy maku opiumowego. Ale w Badachszanie nie poszło to łatwo: dziś ten region odpowiada za większość produkcji opium w kraju.

Miejscowi szybko poznali też jego radykalne poglądy. Dżumagul, 29-letni nauczyciel wyznania ismailickiego (odłamu szyizmu), poznał je na własnej skórze. Na początku tego roku dostał pracę w szkole w Nusaju. Stracił ją jednak po czterech miesiącach.

– Lokalnym talibom nie podobało się, że mam za krótką brodę oraz że jestem ismailitą – mówi mi o powodach swego zwolnienia. – Talibowie zamykają nasze meczety i zmuszają nasze dzieci, by chodziły do ich szkół religijnych. Nie możemy już nosić naszych ubrań, wielu naszych ukrywa, jakiego jest wyznania. Talibowie chcą, żeby wszyscy wierzyli w to, co oni.

To także Fateh odpowiadał za zakładanie sunnickich szkół religijnych w Badachszanie, systemową marginalizację izmailitów i przymusowe konwersje. Jego wizyta w meczecie w Nusaju podczas jednej z takich konwersji obiegła media społecznościowe w lutym tego roku.

KONFLIKT NA NOWO | W marcu jednak coś się zmieniło. Dżuma Khan Fateh został powołany na funkcję zastępcy gubernatora prowincji Zabul, z dala od Badachszanu. Nominację odrzucił. W czerwcu talibowie ogłosili usunięcie go ze stanowiska. Nie otrzymał nowego. W powietrzu czuło się napięcie. Fateh od dawna siał chaos i strach w regionie, jego ludzie wdawali się w strzelaniny z innymi lokalnymi grupami, terroryzowali mieszkańców.

Ale prawdopodobnie nie to zadecydowało o jego upadku. Wiosną talibowie wprowadzili nowe prawo regulujące wydobycie złota, a wszelkie prace wydobywcze w Badachszanie i Tacharze (sąsiedniej prowincji) miały zostać wstrzymane. Odtąd potrzebne jest zezwolenie na wydobycie złota na państwowych terenach, a administracji ma przypadać 20 proc. uzyskanego kruszcu. Wprowadzono też zabezpieczenia środowiskowe i obowiązek rekultywacji terenów po zakończeniu wydobycia. Sporo mniejszych firm wydobywczych musiało się zamknąć.

To oczywiście stało w sprzeczności z interesami Dżumy Khana. Jednocześnie jego oddziały zaczęto demobilizować. Negocjacje nie pomogły. W sierpniu armia Fateha starła się z siłami talibów w Nusaju, walki trwały przez tydzień. To wtedy zbłąkana kula zabiła kobietę w Tadżykistanie. Przez cały ten czas Fateh zapewniał o lojalności wobec talibów, twierdząc, że jedyny konflikt to ten między nim a ludźmi z lokalnych służb specjalnych. W końcu w połowie sierpnia poddał się i został przewieziony do Kabulu, gdzie czeka na proces.

GORĄCA GRANICA | Dziś Badachszan pełen jest talibów, którzy dużym wysiłkiem ustanowili kontrolę nad całym krajem. I choć żadna grupa zbrojna nie zagraża już ich władzy, to Badachszan i jego okolice nadal stanowią największą bazę dla antytalibskich milicji – takich jak Narodowy Front Ahmada Masuda juniora czy Afgański Front Wolności (zrzesza byłych dowódców armii republiki). W regionie działa też ciągle Państwo Islamskie i ujgurski Islamski Ruch Wschodniego Turkiestanu.

Zabicie obywatelki Tadżykistanu i Chińczyków nie zostanie szybko zapomniane. Wprawdzie Tadżykistan nie wspiera już antytalibskiej opozycji (w latach 90. XX w. wspierał Masuda), ale z pomocą amerykańskich dronów i funduszy z Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym (zrzeszającej Rosję, Chiny i ich sojuszników) pracuje nad wzmocnieniem granicy.

Chiny inwestują w Badachszanie coraz więcej, m.in. w wydobycie złota. Ale większość tych inwestycji to strategiczne zabezpieczenie pozycji Chin, by ograniczyć możliwość przejęcia kontroli nad eksploatacją afgańskich bogactw przez inne kraje.

Kilka dni temu, 4 października, Afganistan otworzył nową drogę prowadzącą do granicy z Chinami. Przebiega przez tzw. korytarz wachański w Badachszanie. Na otwarciu, by świętować sukces, zjawiło się trzech ministrów z Kabulu i gubernator Badachszanu. Z Chin nie zjawił się nikt. Uczestnicy eventu mieli przed sobą mur z drutem kolczastym.

© AGNIESZKA PIKULICKA

TYGODNIK POWSZECHNY

Teraz też kurierem. Prosto pod Twoje drzwi.

InPost



Koniec z szukaniem „Tygodnika” w kiosku.
Teraz najlepszy tygodnik społeczno-kulturalny w Polsce
sam do Ciebie przychodzi – kurier zostawia go pod drzwiami,
zanim zdążysz pomyśleć, że czegoś Ci brakuje.

Zamów prenumeratę z dostawą kurierską!

- **Płacisz raz w roku** – bez rat, bez miesięcznych przypomnień.
- **Oszczędzasz ponad 40 zł** w porównaniu do zakupu w kiosku.
- Dostawa kurierem wliczona w cenę.
- Nowy numer „Tygodnika” w środę pod Twoimi drzwiami.

TygodnikPowszechny.pl/oferta-kurier-inpost

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



WIARA

LEKCJA KRUCHOŚCI

Stan zdrowia papieża stawia pod znakiem zapytania jego podróż do Peru – kraju, w którym Robert Prevost uczył się Kościoła. Doświadczenie kruchości, nabyte wśród biednych mieszkańców Chiclayo, dziś kształtuje jego pontyfikat.

O. KASPER MARIUSZ KAPROŃ OFM

Niespodziewana wiadomość o raku płuca i pilna operacja Leona XIV postawiły pod znakiem zapytania przygotowaną na listopad pielgrzymkę do Urugwaju, Argentyny i Peru. Nawet jeśli Watykan zapewnia, że zabieg przebiegł pomyślnie, rekonwalescencja papieża będzie wymagała czasu, a ocena jego zdolności do odbycia tak wyczerpującej podróży będzie zależała od wyników wielu kolejnych badań.

Nie wiemy też, czy jeśli pielgrzymka dojdzie w przyszłości do skutku, nie trzeba będzie zmienić jej programu. Dotychczasowy przewidywał wizytę m.in. w Cuzco, mieście położonym w peruwiańskich Andach na wysokości ok. 3400 metrów n.p.m.

Jedno jednak nie ulega wątpliwości: Leon XIV bardzo chciałby powrócić do ziemi, która ukształtowała jego kapłańskie i biskupie życie. Dał temu wyraz już w pierwszych chwilach pontyfikatu.

Cumbia Leona

Gdy nowo wybrany papież pojawił się na loggii Bazyliki św. Piotra, pozdrowił



SEBASTIAN CASTAÑEDA / REUTERS / FORUM

Mieszkańcy Chiclayo (Peru) na mszy dziękczynnej po wyborze ich biskupa, Roberta Prevosta, na papieża, 10 maja 2025 r.

po hiszpańsku „swoją ukochaną diecezję Chiclayo", której wierny lud „towarzyszył swojemu biskupowi i dzielił z nim wiarę". Peruwiańskie miasto odpowiedziało mu po swojemu: muzyk Donnie Yaipén nagrał piosenkę „La cumbia del Papa", której refren powtarzał dumne słowa: *el Papa es peruano, es chiclayano* (papież jest Peruwiańczykiem, papież jest Cziklajczykiem).

Można uznać to za sympatyczny gest, lokalny folklor. Ale warto spojrzeć głębiej. I zastanowić się, dlaczego po papieżu z Argentyny kardynałowie powierzyli urząd biskupa Rzymu człowiekowi także ukształtowanemu przez doświadczenie globalnego Południa. Bo choć Robert Prevost urodził się w Chicago, to przez znaczną część kapłańskiego życia uczył się Kościoła w Peru. To doświadczenie wniósł później do dykasterii, którą kierował w Rzymie, i do swojego pontyfikatu, który zaczął się 8 maja 2025 roku.

Południe bez mitów

Określenie „Kościół globalnego Południa" bywa mylące. Inny jest katolicyzm w kongijskiej wiosce, inny w brazylijskiej metropolii. Różnie wygląda na Filipinach i w peruwiańskich Andach. Zresztą sama Ameryka Łacińska nie jest jednolita: inaczej wierzy się w Buenos Aires, inaczej w Amazonii, jeszcze inaczej w nowych, szybko rozrastających się dzielnicach Limy.

„Południe" nie oznacza też Kościoła lepszego, bardziej ewangelicznego czy wolnego od problemów znanych Europie. Także tu można się spotkać z klerykalizmem, nadużywaniem władzy, kryzysem powołań, gwałtowną sekularyzacją wielkich miast, politycznym uwikłaniem duchownych i szybkim rozwojem nowych ruchów religijnych. Nie ma powodu tworzyć kolejnego mitu, tym razem o idealnych „peryferiach", które miałyby uratować zepsutą „Północ".

Istnieje jednak doświadczenie, które wiele tych Kościołów odróżnia od europejskiego katolicyzmu ostatnich dziesięcioleci. Funkcjonują pośród ogromnych nierówności ekonomicznych i społecznych, migracji, katastrof naturalnych, gospodarki nieformalnej i słabych instytucji państwa. Granica między tym, co „religijne", a tym, co „społeczne", jest tu dużo mniej wyraźna. Człowiek, który przychodzi do parafii, może potrzebować Eucharystii albo pracy i środków do życia. Może nie mieć żadnych dokumentów. I nie da się powiedzieć: tą pierwszą potrzebą zajmie się Kościół, resztą państwo. Takiego życia uczył się w Peru także Robert Prevost. Taka rzeczywistość zmieniła jego sposób patrzenia na Kościół.

Nowa geografia

Przez stulecia geografia misji wydawała się oczywista: chrześcijańska Europa, a później także Ameryka Północna, wysyłały misjonarzy do Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej, gdzie budowano kościoły, szkoły i szpitale. Mówiąc krótko: centrum dawało, peryferie otrzymywały. Dziś ta mapa coraz mniej odpowiada rzeczywistości. Dawne kraje misyjne wysyłają księży do Europy, społeczeństwa od stuleci chrześcijańskie same stają się terenem misyjnym, a migranci przenoszą wiarę z państwa do państwa, z kontynentu na kontynent. Może kierunek misji nie odwrócił się całkiem, ale ten dawny nie jest już ani jedynym, ani uprzywilejowanym.

Piszę to z doświadczenia ponad piętnastu lat pracy w Boliwii. Misjonarz z Europy zwykle jest przekonany, że ma coś dać: pracę, czas, siły. Na początku łatwo mierzyć owoce tym, co udało się zbudować. Ale po latach spojrzenie się zmienia: jeśli zostanie wystarczająco długo, odkryje, że sam też jest ewangelizowany przez ludzi, do których został posłany. Przyjeżdża mówić o Bogu, a spotyka Boga, który był tam przed nim i na niego czekał. Uczy się języka, żeby nauczać, a wraz z nim przyswaja inne sposoby patrzenia na świat, człowieka, rodzinę, święto i wiarę. To, co wydawało się lokalnym zwyczajem albo mniej uporządkowaną religijnością, odsłania własną teologiczną głębię. Misja przestaje być ruchem w jednym kierunku.

Szkoła bez podręczników

Tak można czytać peruwiańską biografię Prevosta. Do Peru przyjechał po raz pierwszy w 1985 r. Miał trzydzieści lat, od trzech był kapłanem w zakonie augustianów. Przez rok pracował na misji Chulucanas, w regionie Piura, potem wrócił do Chicago, by po dwóch latach znów pojawić się w Peru, tym razem na dłużej: przez kolejne dziesięć lat będzie pracował w Trujillo. To był czas kryzysu gospodarczego, wielkich nierówności i terroru komunistycznej partyzantki Świetlistego Szlaku (w 1991 r. bojownicy Sendero Luminoso zamordowali w Pariacoto polskich franciszkanów Zbigniewa Strzałkowskiego i Michała Tomaszka). Peruwiański Kościół szukał odpowiedzi, jak mówić o Bogu pośród biedy, przemocy i niesprawiedliwości. W przywożonych z Rzymu podręcznikach nie dało się jej znaleźć. Robert Prevost uczył się tego na miejscu.W 1999 r. został wybrany na przełożonego augustianów – najpierw prowincjalnego, potem generalnego. Najwyższą w zakonie funkcję pełnił przez dwanaście lat, tym razem patrząc na problemy Kościoła nie z perspektywy peryferii, ale centrum. W 2014 r. papież Franciszek wysłał go z powrotem do Peru: najpierw jako administratora apostolskiego Chiclayo, rok później jako biskupa tamtejszej diecezji.

Epoka misyjna

Od blisko dwóch lat misyjna biografia Roberta Prevosta określa program ↦

↦ pontyfikatu. W homilii podczas Jubileuszu Świata Misyjnego i Migrantów w październiku 2025 r. Leon XIV mówił o otwierającej się „nowej epoce misyjnej". O tym, że Europa potrzebuje dziś misjonarzy z Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej. O tym, czego Kościół europejski może się od tamtejszych Kościołów nauczyć.

Franciszek był pierwszym papieżem z Ameryki Łacińskiej, ale nie musiał jej „odkrywać": była jego językiem i środowiskiem. Prevost musiał do niej przyjechać, nauczyć się jej języka, kodów kulturowych i religijności. Pozwolić, by zmieniła jego rozumienie Kościoła.

W tym kluczu warto czytać słowa, które padły z loggii: o ludzie, który towarzyszył swojemu biskupowi i dzielił z nim wiarę. To opis relacji, w której biskup i wierni formują się nawzajem. Być może jedna z najważniejszych cech „nowej epoki misyjnej": głębiej otworzyć się na odmienność i pozwolić, by także ona nas kształtowała.

Biskup w kaloszach

W 2017 r. północne Peru dotknęło El Niño Costero. Wylały rzeki, drogi były nieprzejezdne, a całe miejscowości odcięte od świata. Zachowały się fotografie biskupa Prevosta w gumowych butach, stojącego w wodzie i błocie, docierającego do poszkodowanych.

Ten obraz mówi wiele o Kościele latynoamerykańskim. Tam, gdzie państwo jest słabe, parafia bywa czymś więcej niż miejscem sakramentów: podczas katastrofy staje się magazynem żywności, kuchnią i siecią pomocy. Proboszcz zna rodziny, siostry zakonne wiedzą, gdzie mieszkają najbiedniejsi, a Caritas dociera tam, gdzie urzędnik nie pojawi się nigdy. Biskup takiego Kościoła nie może być wyłącznie administratorem. Musi wiedzieć, czym żyją ludzie.Ta sama logika dotyczy życia publicznego. Posługa Prevosta przypadła na czas głębokiej niestabilności Peru: prezydenci tracili władzę, w protestach ginęli ludzie, a on jako członek kierownictwa episkopatu uczestniczył w apelach o dialog i pokój. Nie był to Kościół partyjny, ale też nie taki, który tak bardzo boi się zarzutu „mieszania się do polityki", że milczy, gdy naruszana jest godność człowieka.

Pandemia pokazała tę samą logikę jeszcze wyraźniej. Peru należało do krajów szczególnie dotkniętych covid-19,

Zostając Peruwiańczykiem, Prevost nie przestał być „gringo".

Należy do więcej niż jednego świata.

a zamknięcie gospodarki oznaczało dla żyjących z pracy nieformalnej utratę dochodu. Caritas diecezji Chiclayo uruchomiła program „Hambre Cero" (Zero Głodu), organizując pomoc żywnościową dla tysięcy rodzin.

Wiosną 2020 r. dostałem od znajomej z Peru, Claudii Alejandry Mory Abanto, zdjęcie przez nią zrobione. Z tamtego czasu właśnie je zapamiętałem najbardziej. Pusta ulica. Przed domami palą się świece, a na środku jezdni klęczy samotny, sześcioletni chłopiec w maseczce. Ma na imię Alen. Mieszkańcy modlili się wieczorami o koniec pandemii, każdy przed własnym domem. Alen wyszedł na ulicę, bo – jak powiedział fotografce – w domu było zbyt głośno i bał się, że Bóg go nie usłyszy. Prosił Go, by pandemia się skończyła, bo tęsknił za dziadkami.

Fotografia Alena dopełnia obraz biskupa w kaloszach. Kościół wchodzi w błoto katastrofy, a wiara wychodzi z zamkniętej świątyni na pustą ulicę. Człowiek głodny i człowiek modlący się nie są dwoma adresatami duszpasterstwa. To ten sam człowiek.

Papież migrantów

Kiedy kryzys w Wenezueli zmusił miliony ludzi do opuszczenia kraju, część trafiła do północnego Peru. W Chiclayo pojawiały się rodziny bez pieniędzy, dokumentów i możliwości legalnej pracy. Prevost powołał diecezjalną komisję zajmującą się migracją i walką z handlem ludźmi, a jego współpracownicy wspominają, że spotykał się z Wenezuelczykami osobiście. Sam był „imigrantem", choć przyjechał do Peru w warunkach nieporównywalnych z losem uchodźców. Wiedział jednak, czym jest wejście w obcy język i kulturę.

Dlatego jego dzisiejszy język o migracji nie pojawił się wraz z białą sutanną. W orędziu na Światowy Dzień Migranta i Uchodźcy 2025, którego temat wybrał jeszcze Franciszek, Leon XIV napisał, że migranci katolicy mogą stać się „misjonarzami nadziei" w krajach, które ich przyjmują. Powraca też do elementarnej prawdy, że człowiek przekraczający granicę nie zostawia po jej drugiej stronie swojej godności. W Europie nie zawsze znajduje to zrozumienie. Państwa mają prawo pytać o bezpieczeństwo granic, możliwości integracji i koszty społeczne – te pytania są realne i nie znikną pod wpływem moralnego apelu. Papież przypomina jednak o granicy bardziej podstawowej: człowiek, który nawet nielegalnie przekracza granicę państwa, nie przestaje być człowiekiem.

Kościele, osądź sam siebie

Doświadczenie Kościoła Południa nie jest jednak romantyczną opowieścią o biednych ludziach i biskupach chodzących po błocie. W biografii Prevosta z okresu Chiclayo znajdziemy też trudny rozdział.

W 2022 r. trzy kobiety zgłosiły, że przed laty, gdy były jeszcze dziećmi, zostały wykorzystane seksualnie przez dwóch księży. Biskup Prevost przyjął zgłoszenie, spotkał się z pokrzywdzonymi, rozpoczął dochodzenie i przekazał całą dokumentację do Dykasterii Nauki Wiary, która uznała zarzuty za niewystarczająco udowodnione. Pokrzywdzone kobiety twierdziły jednak, że postępowanie kanoniczne nie zostało dobrze przeprowadzone. Te zarzuty stały się jednym z argumentów podnoszonych przeciw kandydaturze Prevosta tuż przed konklawe (mimo że jego następca w Chiclayo zdecydowanie je dementował).

Nie wydaje się, by Robert Prevost odwracał wzrok od problemu nadużyć. Według sierpniowego zestawienia meksykańskiego badacza Rodolfa Soriano-Núñeza w pierwszych 15 miesiącach pontyfikatu Leona doszło do 21 przedwczesnych odejść biskupów lub innych decyzji kończących ich posługę, co oznacza tempo zwolnień szybsze niż za Franciszka. Autor raportu zauważa, że przyspieszenie zaczęło się już w latach 2023-2025, gdy Prevost kierował Dykasterią ds. Biskupów. Choć oczywiście zestawienie obejmuje też przypadki niezwiązane z przestępstwami seksualnymi (Stolica Apostolska nie zawsze ujawnia powody zmian w diecezjach).

Nie chodzi o hagiografię ani o formułowanie łatwych oskarżeń. Gra toczy się o coś ważniejszego: Kościół, by być wiary-

godnym, nie może mówić jedynie o niesprawiedliwości świata. Jeśli chce stawać po stronie skrzywdzonych – migrantów, ubogich i ofiar przemocy – musi nauczyć się stawać także po stronie tych, którzy skrzywdzeni zostali przez ludzi Kościoła.

Latynoski papież

W takim właśnie znaczeniu Leon XIV jest „latynoskim papieżem". Nie tylko dlatego, że ma peruwiański paszport – także dlatego, że został ukształtowany przez latynoamerykański sposób przeżywania Kościoła. W którym ubóstwo nie jest jednym z tematów duszpasterskich, migrant – kategorią administracyjną, religijność ludowa – gorszą odmianą chrześcijaństwa, a lokalna wspólnota – terenowym oddziałem rzymskiej centrali. Kościoła, w którym biskup ma nie tylko zarządzać, lecz być fizycznie obecny, a misjonarz nie tylko nauczać, ale uczyć się od ludzi, do których został posłany. To oczywiście obraz ideału, a nie każdej diecezji.

Trudno uznać za przypadek, że po Franciszku wybrano papieżem człowieka, który dobrze wie, czym są peryferie, a czym centrum. Którego biografia pokazuje, że przeciwstawienie ich sobie nie opisuje rzeczywistości Kościoła.

W świecie, który zamyka ludzi w kategoriach pochodzenia i narodowości, biografia Prevosta przypomina, że można zostać głęboko ukształtowanym przez kulturę, w której się nie urodziło. Tożsamość nie musi być wyłącznie dziedziczona – może być owocem spotkania. Zostając Peruwiańczykiem, Prevost nie przestał być „gringo". Należy do więcej niż jednego świata.

Pod znakiem zapytania

W listopadzie miał wrócić do Chiclayo nie jako *Monseñor Roberto*, lecz jako biskup Rzymu: z ochroną i dziennikarzami z całego świata. Nie wiadomo, czy tak się stanie. Ale tamtejsi wierni pamiętają o swoim biskupie, a on nie zapomina o ludzie, który „mu towarzyszył". Choroba papieża nadaje tej wzajemności nowy wymiar. Leon XIV, dotąd kojarzony ze sportową sprawnością, sam doświadcza kruchości, z którą mierzy się wielu mieszkańców ubogiego Południa. Pozostaje bliski ich doświadczeniu. Nawet wtedy, gdy będzie musiał odłożyć swą wizytę.

© O. KASPER MARIUSZ KAPROŃ OFM

Metapolityka ojca Ludwika

KS. ANDRZEJ BRONK

PORTRET | Ojciec Ludwik Wiśniewski, legendarny duszpasterz akademicki i kapelan Solidarności, kończy 90 lat. Od pół wieku jest jednym z najodważniejszych głosów polskiego Kościoła. Co dzisiaj chce nam powiedzieć?

Odwiedzam czasem o. Ludwika w jego lubelskiej Betanii – Domu Pomocy Społecznej, w którym mieszka od ponad roku. Chwali to miejsce. Mówi, że „doznaje tam wielkiego dobra", dodając, że na starość niczego lepszego nie można było wymyśleć. Spotykam go pogodzonego z własną starością, choć nie z niemocą – wciąż z zaangażowaniem i troską obserwuje, co dzieje się w Polsce i na świecie. Z żalem stwierdza, że na swoje dziewięćdziesiąte urodziny nie może zaprosić do siebie młodych ludzi. „Po prostu nie mam sił – to już nie jest mój czas" – mówi.

RODZINA | A jednak właśnie tu, w Betanii, ojciec Ludwik Wiśniewski OP napisał książkę pod przewrotnym tytułem „Moim wnukom i prawnukom" (Norbertinum 2026). Dedykowana jest najpierw własnej rodzinie – siostrzanym wnukom i prawnukom Autora – potem małżeństwom, których śluby kiedyś błogosławił, oraz uczestnikom prowadzonego przez siebie duszpasterstwa akademickiego. Ale jeśli ktoś z Czytelników zapragnie być jego wnukiem, Autor przyjmie z radością i jego do swej rodziny.

Ojciec Ludwik chciałby, żeby jego zapiski pomogły najbliższym – i wszystkim szukającym sensu – przeżyć życie po ludzku. Z książki przebija wdzięczność wobec Boga i ludzi, za dobro, jakiego doznał, i za kolejne przyjaźnie, jakie w swym życiu nawiązał. Optymistycznie przypomina „złotą myśl" papieża Franciszka, że z upływem lat charakter człowieka, niczym wino, albo dojrzewa, albo kwaśnieje.

DYSTANS | Książka ciepła i mądra, dająca wgląd w losy człowieka głęboko wierzącego, który wiele przeżył, przemyślał i przemodlił. Zawiera 152 migawkowe wspomnienia i refleksje, tak jak zapisały się w pamięci długoletniego duszpasterza akademickiego, najpierw w PRL, a potem w Trzeciej Rzeczypospolitej. Nie są uporządkowane chronologicznie czy tematycznie, nie mają też wprowadzenia oprócz wstępu prowincjała dominikanów. Lekturę ułatwia swobodny ton: Autor zachowuje wobec siebie dystans, przyznaje z pokorą, że może się mylić, i upomina samego siebie, by nie czuł się zbyt ważny.

Zaskakująco niewiele dowiemy się z niej o jego publicznej działalności – spotkaniach z politykami, utarczkach z UB, odznaczeniach – a chodzi przecież o kogoś, kto dzięki swoim publikacjom i listom odegrał, jako wieloletni duszpasterz akademicki w Gdańsku, Lublinie i Wrocławiu oraz kapelan Solidarności, zasadniczą rolę w polskim życiu politycznym czasów komunistycznych.

ZROZUMIENIE | Autor lubi ludzi i ma wiele współczucia dla ich doli i niedoli. Nie uważa siebie za kogoś lepszego, lecz za współuczestnika doczesnej pielgrzymki. Nie znosi fałszu, ale jest tolerancyjny i wyrozumiały dla ludzkich słabości – bo ludzie zachowują się czasem jak anioły, a czasem jak bestie, trzeba chodzić po ziemi i niczemu się nie dziwić. Zachowuje szacunek dla każdego, zwłaszcza ideowego przeciwnika, nikogo nie potępia i nieśmiało prosi tych, którzy odeszli od Kościoła, by powrócili. Uszanowanie ludzkiej godności jest bowiem papierkiem lakmusowym wskazującym, czy człowiek, społeczność i naród są moralnie zdrowi.

↦

↦ Życie pojmuje jako powołanie: „Mam być przydatny ludziom, mam budować w świecie dobro, budować Boże Królestwo nie na ziemi, lecz w ludzkich sercach”. A jeśli ktoś nie wie, co to znaczy, niech buduje świat Prawdy, Dobra i Miłości. Bóg mieszka w niebie, ale w szczególny sposób w ludziach, bo w każdym jest „Boża iskra”, która sprawia, że jest kimś bezcennym, niepowtarzalnym i posiada wielką godność.

ZAANGAŻOWANIE | Od młodości swe zadanie życiowe ojciec Wiśniewski upatruje w budowaniu lepszego świata, w myśl motta zaczerpniętego od Mariana Turskiego: nie bądź obojętny! Do dwóch głównych tematów swego życia zalicza Wolność i Sumienie. O swej działalności nie myśli w kategoriach skuteczności, lecz powinności: „powinienem to napisać, więc piszę; powinienem to powiedzieć, więc mówię”. Nie liczy na skuteczność, choć wie, że jakiś skutek jego działania jest. Sam żyje wiarą, która nie jest wolna od wątpliwości. Zauważa, że kiedyś nie potrafił powiedzieć „bądź wola Twoja”, dziś wie, że Pan Bóg kocha go bardziej niż on sam siebie.

Być chrześcijaninem to nadać sens swojemu życiu, ale każdy sam musi odkryć Boga – wiara jest rzuceniem się w Boże ramiona bez warunków wstępnych, bez pretensji i wymagań. Od dzieciństwa dominikanin ma poczucie, że Ktoś go prowadzi: nie dlatego, że widzi Pana Boga swoimi „koślawymi oczami”, lecz dlatego, że gdy czuje pustkę i woła: „Dotknij mnie, ukaż mi swoje Oblicze!” – Pan Bóg dotyka go przez drugiego człowieka.

Każdy sam musi odkryć Boga.
Wiara jest rzuceniem się w Boże ramiona bez warunków wstępnych, bez pretensji i wymagań.

KRZYWDA | Przeraża go obecny stan Kościoła rzymskokatolickiego. Wielu wydawało się, że jest święty, a tu brud, grzech, zdrada, cynizm... Przypomina słowa papieża Franciszka, że Kościół niszczą nie tyle ateiści, ile sami ludzie Kościoła. Wierzy, że mimo skandali, afer i mroków Kościół wciąż jest zdolny nadać znaczenie miłości, śmierci, przemijaniu i pytaniom o sens życia – ale chrześcijanie powinni zrezygnować z pretensji do posiadania prawdy absolutnej, gdyż żadna religia nie może do niej pretendować.

Smuci go odchodzenie od Kościoła ludzi, którzy już to się na nim zawiedli, już to zostali skrzywdzeni przez duchownych. Odchodzą najczęściej dlatego, że nigdy nie uważali Kościoła za matkę – był dla nich macochą, która jedynie wymaga wyrzeczeń. „Nie przeżyli piękna Kościoła, a myśmy nie potrafili tego piękna pokazać”. Bo polski Kościół nie rozmawia, lecz poucza, bywa sztywny, pilnujący nakazów i zakazów, chwilami jakby nieludzki.

W ciągu wieków Kościół najbardziej skrzywdził kobiety, uważane za mniej ważne – zakonnice traktowano jak służące, często pomiatane przez „panów”, księży i biskupów. Ojciec Wiśniewski dopuszcza myśl, że Kościół będzie udzielał święceń mężczyznom starszym, często żonatym, którzy zdali swój życiowy egzamin i są przysposobieni do sprawowania takiej funkcji: odczytywanie „znaków czasu” nie jest bowiem dostosowywaniem się do świata, lecz powracaniem do źródeł.

POSTAWA | Oprócz bycia księdzem poczuwa się do bycia obywatelem, którego ojczyzną jest Polska. Ale polskość rozumie w kategoriach uniwersalnych, a nie plemiennych. Zrośnięcie się katolicyzmu z polskością (Polak-katolik) oraz ciągle zagrażający nam narodowy katolicyzm uważa za nieszczęście. Podkreśla, że Kościół ze swej natury nie jest i nie może być polityczny, a jeśli w politykę wchodzi, gubi swoje powołanie – cele Kościoła i państwa są różne, a wplątywanie w jedno tego, co należy do drugiego, to rozsadzanie obu.

Do współczesnych polskich dramatów zalicza wrogość: „Można pluć, drwić, deptać ludzi, można bezpodstawnie oskarżać o niegodziwości, a nawet zbrodnie... i równocześnie powoływać się na Ewangelię, stroić się w piórka obrońcy chrześcijańskich wartości i Kościoła katolickiego, odbywać pielgrzymki i składać publicznie ręce do modlitwy”. Apeluje, by skończyć z nienawiścią, nienawistnym językiem, pogardą i bezpodstawnym oskarżaniem innych.

METAPOLITYKA | Jubilat stwierdza, że nigdy nie chciał prowadzić działalności politycznej ani wygłaszać politycznych kazań, lecz walczył z niesprawiedliwością dotykającą ludzi. Już w pierwszych latach kapłaństwa przyjął zasadę, że polityka to sztuka zdobywania władzy, jej utrwalania i rządzenia, natomiast metapolityka to stanie na straży wartości, bez których

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA” SPECJALNY DODATEK

GDAŃSK MIASTO DO NAPISANIA

A w nim:

- rozmowa z ELŻBIETĄ FOLTYNIAK o pierwszym roku Gdańska w sieci Miast Literatury UNESCO
- MARIA JANION i jej Gdańsk – o czytaniu, które zmienia spojrzenie na miasto, i grze, która zaprasza do rozmowy jej słowami
- pokój do pisania – co dają twórcom rezydencje literackie i podróże między Gdańskiem, Barceloną a Bremą
- kto napisze następny Gdańsk? Młodzi autorzy z Uniwersytetu Gdańskiego na drodze do pierwszej własnej książki

„TYGODNIK” Z DODATKIEM W SPRZEDAŻY OD ŚRODY 28 PAŹDZIERNIKA

nie ma sprawiedliwej polityki, a zarazem troska o każdego człowieka, zwłaszcza skrzywdzonego. Za klucz do uporządkowania problemów świata uważa dialog i kompromis – duszę życia społecznego, którego najwyższym uzasadnieniem jest miłość. Opowiada się za metodą walki *non-violence* Gandhiego: nie można pozwolić, aby panoszyło się zło, ale trzeba z nim walczyć bez przemocy.

ZALECENIA | Pomysł na dobre duszpasterstwo ma prosty: najważniejsze to być z ludźmi i mieć dla nich czas. A także – uczyć się od nich. Za Januszem Korczakiem klucz do wychowania dzieci i młodzieży upatruje w szacunku dla wychowanka: „Moje duszpasterstwo miało nie tylko otwierać młodych na Pana Boga, przygotowywać ich do małżeństwa i do uczestnictwa w życiu Kościoła, ale także przygotowywać ich do budowy sensownego społeczeństwa i wolnej Polski". Jest jednak realistą: działacz, a zwłaszcza kapłan, powinien pamiętać, że człowieka trzeba najpierw nakarmić i ubrać, a potem oczekiwać, że wybierze prawdę oraz dobro i zapragnie żyć w wolności.

Ojciec Ludwik swoim wnukom i prawnukom mówi: „Bądźcie sobą! Postępujcie tak, jak wam mówi sumienie. Nie czekajcie, żeby ktoś inny stworzył wam lepszy świat, Kościół, Polskę – sami go twórzcie!". Apeluje też do tych, którzy już najchętniej zaliczyliby się do babć i dziadków: „Poderwijcie się, bo jesteście wnukom bardzo potrzebni!".

© KS. ANDRZEJ BRONK

Strażnik rzeczy ważnych

NA 90. URODZINACH życzenia zakonnikowi składali osobiście Adam Michnik, Bogdan Borusewicz oraz Aleksander Hall. Nie jest to dziwne, gdyż wielu opozycjonistów z czasów PRL jest – jak się okazało – wychowankami słynnego duszpasterza akademickiego i rekolekcjonisty.

LUDWIK WIŚNIEWSKI urodził się 25 października 1936 r. w Skierbieszowie na Zamojszczyźnie. Do zakonu dominikanów wstąpił jako 16-latek. Po święceniach w 1961 r. otrzymał zadanie zorganizowania usuniętej w tamtym czasie ze szkół katechezy dla licealistów przy dominikańskiej parafii w Gdańsku. Tak rozpoczął się jego kontakt z młodzieżą i zarazem zainteresowanie jego osobą Służby Bezpieczeństwa. Był kolejno duszpasterzem akademickim w Gdańsku, Lublinie, Wrocławiu i Krakowie. Organizował spotkania z intelektualistami z niezależnych środowisk katolickich – m.in. z Tadeuszem Mazowieckim, Władysławem Bartoszewskim czy Józefą Hennelową. „W naszych relacjach najważniejsze było partnerstwo – to, że potraktował z powagą nas i nasze poglądy" – mówił „Tygodnikowi Powszechnemu" Aleksander Hall, gdański wychowanek o. Ludwika, jeden z założycieli Ruchu Młodej Polski.

PO WYDARZENIACH RADOMSKICH organizował z młodzieżą pomoc dla rodzin osób aresztowanych. Utrzymywał kontakty z Komitetem Obrony Robotników. Radio Wolna Europa wymieniało jego nazwisko wśród założycieli ruchu ROPCiO. Znalazł się na liście 60 opozycjonistów, którymi interesowała się NRD-owska Stasi.
W napiętej sytuacji stanu wojennego propagował ideę walki „bez przemocy". W latach 80. był inicjatorem słynnych Tygodni Społecznych – cyklu spotkań propagujących budowanie niezależnych struktur społecznych. W 1986 r. trafił na dobę do aresztu, gdy wraz z innymi opozycjonistami wziął udział w niemym proteście na rynku wrocławskim w obronie aresztowanego Władysława Frasyniuka. Po transformacji ustrojowej w latach 1990-1996 reaktywował w Sankt Petersburgu dominikańską parafię św. Katarzyny.
Głośne stały się jego listy otwarte. W 1976 r. upominał się u Edwarda Gierka o prześladowany Kościół. A w 2010 r. pisał do nuncjusza apostolskiego o kryzysie w polskim Kościele.



GRAŻYNA MAKARA

O. Ludwik Wiśniewski. DPS „Betania" w Lublinie, wrzesień 2024 r.

„TYGODNIK POWSZECHNY" w 2011 r. przyznał mu Medal św. Jerzego. W 2013 r. otrzymał nagrodę Grand Press w kategorii „publicystyka" za opublikowany na naszych łamach cykl „Gdzie my jesteśmy", poświęcony szkodliwemu wpływowi Radia Maryja na polski Kościół i życie społeczne. Swoje tezy rozwijał w kolejnych głośnych tekstach publikowanych w „TP", m.in. w „Oskarżam" z 2018 r., w którym ostrzegał: „W Polsce umiera chrześcijaństwo. Wykorzeniają je gorliwi członkowie Kościoła. Biskupi milczą, niestety".
Jest honorowym obywatelem Gdańska, Lublina i Wrocławia. Naszemu Autorowi i Przyjacielowi składamy serdeczne życzenia i gratulacje z okazji jubileuszu.

©℗ ARTUR SPORNIAK

O. WACŁAW

Oszajca: *Bliżej lewicy*



W drugiej księdze Pierwszego Przymierza Bóg mówi do Izraelitów: „Nie będziesz dręczył ani uciskał cudzoziemca, gdyż i wy byliście cudzoziemcami w ziemi egipskiej. Nie skrzywdzisz wdowy ani sieroty. Gdyby bowiem stała się im krzywda z twojego powodu i wezwaliby mojej pomocy, z pewnością wysłucham ich wołania. Zapałam wówczas gniewem i wytracę was mieczem, aby wasze żony stały się wdowami, a dzieci sierotami”. To ostatnie zdanie zostało opuszczone w czytaniach na trzydziestą niedzielę zwykłą. Niepotrzebnie. Niebezpiecznie jest przeczyć faktom. Na przykład podczas II wojny światowej zginęło od 60 do 85 mln ludzi, a w tej liczbie od 5,3 do 7 mln Niemców, którzy tę wojnę rozpętali. Dając się okłamać i zapominając o odpowiedzialności za poczynania tych, którym oddaje się władzę, sprowadzili na innych, ale w ostatecznym rozrachunku również na siebie, ten ogrom cierpienia.

Na przełomie I i II wieku Szymon ben Azzaj radził: „Spełniaj ochoczo dobre czyny, choćby najłatwiejsze, a uciekaj od grzechu, bo dobry czyn pociąga za sobą dobry czyn, a grzech pociąga za sobą grzech; nagrodą dobrego czynu jest dobry czyn, a karą za grzech jest sam grzech”. Bóg więc nie musi wymierzać kary; jeśli coś musi, to ratować nas przed nami samymi. To dlatego dzisiaj papież Leon o wojnie na Bliskim Wschodzie mówi tak: „Pamiętajmy przede wszystkim o niewinnych: dzieciach, osobach starszych, chorych – o tak wielu ludziach, którzy już stali się lub staną się ofiarami tej trwającej wojny. Przypominajmy wszystkim, że ataki na infrastrukturę cywilną są sprzeczne z prawem międzynarodowym, ale są też znakiem nienawiści, podziału i zniszczenia, do jakich zdolny jest człowiek”. Na co Donald Tramp, prezydent „wolnego świata”, odpowiada: „Leon powinien wziąć się w garść jako papież, kierować się zdrowym rozsądkiem, przestać ulegać radykalnej lewicy i skupić się na byciu Wielkim Papieżem, a nie politykiem. To bardzo mu szkodzi, a co ważniejsze, szkodzi Kościołowi katolickiemu!”.

Tymczasem jak na ironię znaleźliśmy się w sytuacji, w której to właśnie owej lewicy, w kwestii wojny i wielu innych spraw, bliżej jest do papieskiego nauczania, wywiedzionego z Biblii i Tradycji Kościoła, niż prawicy. U nas również. I byłoby śmieszno, gdyby nie było straszno. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Pokrewieństwo*



„Gdy Jezus mówił, jakaś kobieta z tłumu głośno zawołała do Niego: »Błogosławione łono, które Cię nosiło, i piersi, które ssałeś«. Lecz On rzekł: »Tak, błogosławieni są raczej ci, którzy słuchają słowa Bożego i go przestrzegają«” (Łk 11, 27-28). Liturgia ubiegłego tygodnia uczyniła nas świadkami tego wydarzenia. Jak interpretować takie zachowanie i takie słowa Jezusa? Czy nasz Pan ustawia się w jakimś – raczej zdumiewającym – dystansie do swojej Matki? Czy bierze w nawias wyjątkowość relacji, jaka Go z Nią łączy?

Przeciwnie: Pan Jezus w tych słowach odsłania największy sekret Maryi – Jej najgłębszą tajemnicę. Najgłębsze źródło Jej relacji z Bogiem i Jej błogosławieństwa/szczęścia. Ono nie bierze się w pierwszej kolejności z więzów „ciała i krwi” – wcale nie stąd, że fizycznie stała się Matką Pana – że ofiarowała Mu swoje łono i piersi. Ono się bierze najpierw i przede wszystkim z Jej relacji do Bożego Słowa.

Tak pięknie zauważył to św. Augustyn, mówiąc, iż Maryja najpierw przyjęła Słowa Boga w umyśle i sercu, a potem dopiero w łonie. I to, że przyjęła Je w umyśle i sercu, było ważniejsze od tego, że przyjęła Je w łonie. To Słowo – a nie więzy krwi – ustanawia prawdziwe pokrewieństwo między nami a Bogiem w Jezusie Chrystusie. To poddanie się Słowu czyni nas bliskimi Bogu – wewnętrznie do Niego podobnymi. To Słowo zasiewa w nas Boże życie – i kiedy tak się dzieje, możemy później, gdy w nas dojrzeje, dawać Mu ciało i rodzić Je dla świata.

Maryja – prawdziwa Uczennica i Służebnica Słowa – tego właśnie nas uczy. Błogosławieństwo wypowiedziane przez Jezusa do nieznanej kobiety – do Niej się odnosi w pierwszej kolejności. To ważna lekcja! Być może jest bowiem tak, że łatwo przegapiamy nasze największe szczęście w życiu. Leży ono w najbliższym zasięgu naszej ręki, na którejś półce w naszej domowej bibliotece: Pismo Święte. Wystarczy wyjąć je z półki i czytać.

Nie, nie po to, by się czegoś dowiedzieć. Raczej po to, by się stać błogosławionym krewnym Boga. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

ZUZANNA

Radzik: *Obrazki ze strajku*



Drugiego dnia strajk narodowy mnie jednak dopadł. Pierwszego dnia miałam zaś poczucie wygranej na loterii, bo nasz autobus do żłobka może jeździł rzadko, ale przynajmniej na tablicach informacyjnych widać było rozkład. Inne linie pojawiały się, kiedy chciały. Drugiego dnia reguła strajku się zmieniła, więc tym razem nasz autobus wypadł z rozkładu i połowę drogi pokonałyśmy innym autobusem, a resztę piechotą. W dodatku padało, co trochę psuło humor. Ulice były dość puste, za to nie brakowało rowerzystów. Tym, czego na nich nie widziałyśmy, była frustracja czy złość, mimo niedogodności. Na przystankach nikt nie pomstował, nie było zaciętych twarzy, czasem tylko dezorientacja turystów lub świeżych migrantów. W kraju, w którym 40 procent pracowników należy do związków zawodowych, nikt nie potrzebuje tłumaczeń, że spór z pracodawcą czy rządem, albo strajk, mają swoje miejsce i sens. Procent ten zresztą w ostatnich latach radykalnie spadł, bo kiedyś uzwiązkowiona była połowa pracowników. Teraz uzwiązkowienie redukują bardziej elastyczne formy zatrudnienia, zwłaszcza wśród młodszych. Wciąż jednak z reprezentacji związków korzystają jakoś wszyscy, niezależnie od przynależności.

Dlatego pewnie strajk w Belgii jest jak element społecznej codzienności albo zmiana pogody: znajomy, przećwiczony, umiarkowanie ekscytujący. Od roku zresztą jest ćwiczony co miesiąc, bo związki poszły na wojnę z nową koalicją rządzącą, zwaną koalicją Arizona i planującą od początku ostrą zmianę kursu w kierunku bardziej liberalnym. Te ostatnie dwa dni też miały związek z koalicyjnymi rozmowami o przyszłorocznym budżecie.

Owszem, strajk paraliżuje miasto i podstawowe publiczne usługi, zamyka biurowce (strajkują uzwiązkowieni ochroniarze), a nawet lotniska, ale choć związki zawodowe chcą wywołać paraliż i niepokój, to strajk jest tu rzeczywistością oswojoną.

Dla kogoś z Polski to wstrząs kulturowy. Brak tu znajomego oburzenia, traktowania związków zawodowych jako osobistej obrazy, lub czegoś, co uderza w organizację czy system. Brak wzdychania do etosu Solidarności, bez wyciągania wniosków z tego, że związki mają prawo do sporu. Nie, one tu po prostu są częścią dialogu społecznego. W efekcie też brak bardzo tanich usług, żerujących na słabości pracownika. Koszty uregulowanej pracy czuć, ale czuć też, że ta regulacja ma społeczny sens.

Nawigowałam więc drogę do żłobka w drugim dniu strajku pogodnie, przypominając sobie swoje oswajanie z tym fenomenem, jak również to, że regularnie ignoruję przychodzące pocztą zaproszenie do związku samozatrudnionych, żałując jednak kasy na składkę.

Pierwszy był strajk pracowników popularnego marketu. Trudno nie mieć sympatii do protestu pracowników wielkopowierzchniowego sklepu kontestujących warunki swojej pracy, ale ku mojemu zdziwieniu sklep był zamknięty ponad miesiąc. Nie doliczę się też, ile razy nadziewałam się na zamkniętą kratę w wejściu do metra lub pusty peron na stacji kolejowej, bo nie śledząc lokalnych mediów, trudno nadążyć za rytmem protestów. Zdarzyło mi się już też przekładać bilet na samolot, bo w dniu planowanego wylotu strajkował cały kraj, w tym główne lotnisko.

I tak, zaczęłam traktować to nie jak dramat, tylko jak cykl przyrody czy powracające zjawisko meteorologiczne. Nawet w duchu śmiałam się, że odkąd związki są w sporze z nową koalicją, strajki stały się uporządkowane. W końcu nie ma paraliżu flamandzkich autobusów tydzień po strajku komunikacji publicznej w Brukseli, czy trzy dni po proteście obsługi naziemnej lotniska. W końcu po prostu regularnie, raz w miesiącu stawał cały kraj. To zdecydowanie upraszcza życie.

Obywatele, czy są w związku, czy nie, wiedzą, że to dzięki ich naciskowi mają na etatach gwarantowane sensowne dni i godziny pracy, trzynastki, dodatek wakacyjny, automatyczną indeksację i widełki, w których muszą zarabiać zależnie od stanowiska i stażu. Czyli benefity coraz bardziej rzadkie. To dzięki sile związków prawo pracy jest jednym z tożsamościowych filarów Belgii, kraju podzielonego między trzy regiony i języki, ale spójnego w swoim stosunku do regulowania stosunków pracy.

Obok związków zawodowych istnieją bowiem stowarzyszenia pracodawców. Organizacje jednych i drugich co dwa lata siadają do negocjacji na szczeblu krajowym, dyskutując warunki wzrostu płac i warunków pracy, przenosząc potem szczegółowe ustalenia do komitetów branżowych. W efekcie, zbiorowe układy pracy obejmują 96 proc. belgijskich pracowników.

Stąd pewnie spokój, z jakim ulica – nawet stojąc w mżawce na przystankach w oczekiwaniu na autobusy widmo – przyjmuje strajk. A panie w żłobku proszą tylko, gdy odstawiam dziecko, żebym odebrała je możliwie wcześnie, tak żeby w godzinach szczytu w dniu strajku dały radę wrócić do domu. Gdzieś bowiem pod tym społecznym teatrem sporów i negocjacji chodzi przecież o to, że wszyscy chcemy dobrze i godnie żyć. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.



HISTORIA

CHŁOPIEC Z PLACU SZÉNA

70 lat temu, 23 października 1956 r., w Budapeszcie wybuchło powstanie przeciw Sowietom. Wśród tych, którzy chwycili za broń, był nastoletni Péter Mansfeld. To opowieść o nim.

GRZEGORZ ŁUBCZYK



GAMMA-KEYSTONE / GETTY IMAGES

Węgierscy powstańcy na zdobytym sowieckim czołgu przed budynkiem parlamentu w Budapeszcie, listopad 1956 r.

Stłumienie powstania węgierskiego przez armię sowiecką na początku listopada 1956 r. było nie tylko końcem marzenia. Był to też początek represji. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi zamknięto w więzieniach i obozach „reedukacyjnych". W latach 1957-1961 powieszono 350 powstańców. Jednym z nich był uczeń zawodówki Péter Mansfeld, najmłodsza ofiara.

– Każdy naród o zdrowym duchu potrzebuje legendy – powiedział mi pisarz Csaba Kósa, jego biograf. – Péter jako dzieciak, mając 15-16 lat, po stłumieniu w 1956 r. naszej walki o wolność i mimo stacjonującej tu obcej armii, próbował – wprawdzie z dziecięcą naiwnością – organizować ponownie powstanie. Czy to, że ktoś pragnie dokonać rzeczy niemożliwych, poświęcając życie, nie jest godne legendy? Jego historia nie jest jednak legendą, to historia prawdziwa.

Opowiedzmy ją.

Iskra z Polski

Wszystko zaczęło trochę wcześniej.

W 1953 r. Kreml usunął z funkcji premiera Węgier Mátyása Rákosiego; w lipcu 1956 r. pozbawiono go też funkcji lidera partii komunistycznej. Węgrów to nie uspokoiło. Na problemy codzienne (kraj wciąż podnosił się po zniszczeniach II wojny światowej) nakładały się represje. Pisarzy i naukowców dusiła cenzura, gehennę przeżywały Kościoły, ludzie żyli w strachu. Za Rákosiego, „najlepszego ucznia Stalina" (sam tak się określał), było tu trzy razy więcej więźniów politycznych niż w Polsce (przy trzykrotnie mniejszej liczbie ludności).

Nie brakowało więc powodów do buntu. Ale iskra przyszła z zewnątrz: z Warszawy.

To opinia powszechna nie tylko wśród historyków. Gdy w 2005 r. zbierałem dokumentację do filmu i książki o roku 1956 w Poznaniu i Budapeszcie, od Árpáda Göncza (skazanego na dożywocie powstańca, a po 1990 r. prezydenta) usłyszałem: – Nasza rewolucja wybuchła 23 października w Polsce. Tego dnia sprzedawcy gazet wykrzykiwali: „Polacy dali przykład!".

– Co prawda dzień wcześniej nasi studenci jako pierwsi na Węgrzech rzucili dyktaturze rękawicę i ogłosili długą listę postulatów, domagając się m.in. wolności obywatelskich, demokracji i niepodległości. Ale wydarzenia w Polsce zdecydowanie przyśpieszyły wybuch naszej rewolucji. Jaka wspaniała atmosfera zapanowała, gdy na wiec przed pomnikiem Józefa Bema, naszego wspólnego bohatera, przyszli studenci politechniki – wspominał Göncz.

„Tu jest naród"

Podobnie uważa prof. György Litván, wieloletni dyrektor Instytutu Historii Rewolucji Węgierskiej 1956 Roku. Do przyczyn wybuchu węgierskiego buntu zaliczył on krwawo stłumiony protest robotników Poznania oraz wybór Władysława Gomułki – wcześniej represjonowanego przez kolegów komunistów i postrzeganego jako zwolennik „odwilży" – na pierwszego sekretarza PZPR na głośnym VII Plenum w dniach 19-21 października.

Swoją rolę odegrał organ węgierskiej partii „Szábad Nép", który w wydaniu z 22 października poświęcił wydarzeniom z Warszawy cztery obszerne artykuły. Popularne wówczas hasło brzmiało: „Wszyscy Węgrzy chodźcie z nami, pójdziemy za Polakami!".

Następnego dnia, 23 października, tysiące demonstrantów ruszyły spod pomnika Bema pod parlament. Byli wśród nich 34-letni Árpád Göncz i 15-letni Péter Mansfeld.

Prof. Litván wspomina: – Gdy władzom sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli, z myślą o uspokojeniu tłumów ściągnięto do parlamentu zdymisjonowanego premiera Imrego Nagya. Ten zwrócił się do nas: „Drodzy towarzysze". Na co tłum powitał go gwizdami i okrzykami: „Tu nie ma żadnych towarzyszy!". Nagy poprawił się: „Drodzy młodzi przyjaciele", gdyż sądził, że Plac Kossutha wypełniła głównie młodzież studencka. Demonstranci odpowiedzieli: „Tu jest cały Budapeszt! Tu jest naród! Tu jest naród!".

23 października 1956

To skrótowy zapis wydarzeń tego dnia w Budapeszcie.

Przed południem zbiera się Biuro Polityczne Węgierskiej Partii Pracy i zakazuje demonstracji. Ale już o godzinie 14.30 zakaz zostaje odwołany. Na terenie politechniki i pod pomnikiem Sándora Petőfiego (przywódcy młodzieży w czasie Wiosny Ludów z 1848 r.) gromadzą się studenci i delegacje z innych miast.

Około 15.00 studenci ruszają na wiec przed pomnik Bema. Dwie godziny później demonstranci przenoszą się przed parlament; wkrótce gromadzi się tam kilkaset tysięcy ludzi.

Wieczorem część demonstrantów, głównie studentów, idzie pod siedzibę radia. Żądają odczytania na antenie 16 postulatów sformułowanych na politechnice. To się nie udaje. Za to o 20.00 radio emituje przemówienie I sekretarza partii ↦

↦ Ernö Gerö: potępia on demonstrację, nazywając ją „nacjonalistyczną".

Godzina 21.00: w tym samym czasie, gdy Imre Nagy przemawia na Placu Kossutha, oburzona wystąpieniem Gerö grupa demonstrantów wdziera się do gmachu radia. Ochrona strzela, są pierwsze ofiary. Starcia zbrojne obejmują błyskawicznie różne rejony miasta. O godzinie 21.37 w Parku Városliget pada na bruk pomnik Stalina (gigantycznych rozmiarów).

Przed północą w kierunku Budapesztu rusza ok. 6 tys. żołnierzy sowieckich, wspartych przez 200 czołgów. Trwają starcia, są kolejne ofiary.

Powstanie i interwencja

25 października „awosze", funkcjonariusze ÁVH (odpowiednik Urzędu Bezpieczeństwa w PRL), z dachów budynków wokół placu przed parlamentem otwierają ogień do pokojowych demonstrantów i zabijają około 100 osób.

Zaognia to jeszcze bardziej atmosferę, ale nie jest w stanie odwrócić dynamiki zdarzeń. 27 października Nagy zostaje premierem i tworzy niekomunistyczny rząd, a dwa dni później ogłasza koniec systemu jednopartyjnego. Sowieci pozornie akceptują nowe władze, wycofują wojska z Budapesztu. Z więzienia wychodzi kardynał József Mindszenty. Powstańcy wdzierają się do stołecznego komitetu partii i linczują ok. 30 obrońców budynku.

1 listopada Nagy ogłasza wystąpienie Węgier z Układu Warszawskiego i neutralność. To dla Moskwy za wiele. 3 listopada w mieście Szolnok (ok. 100 km od stolicy) powstaje – pod sowieckim parasolem – „rząd robotniczo-chłopski" z premierem Jánosem Kádárem. Następnego dnia 60 tys. żołnierzy sowieckich dostaje rozkaz stłumienia powstania.

4 listopada o godzinie 5.20 Nagy wygłasza przez radio dramatyczne przemówienie: informuje, że zaczęła się zbrojna interwencja Moskwy, po czym chroni się w ambasadzie Jugosławii.

Walki trwają do 12 listopada. W samym Budapeszcie ginie ok. 3 tys. powstańców, a kilkanaście tysięcy jest rannych. Po stronie sowieckiej ginie ok. 800 żołnierzy. Prawie 200 tys. Węgrów, w tym kwiat inteligencji, ucieka za granicę. Mocarstwa zachodnie, które wcześniej werbalnie zachęcały do powstania, zostawiają Węgrów samym sobie. Największej pomocy udziela im Polska: to krew dla rannych, leki i środki opatrunkowe, koce i żywność.

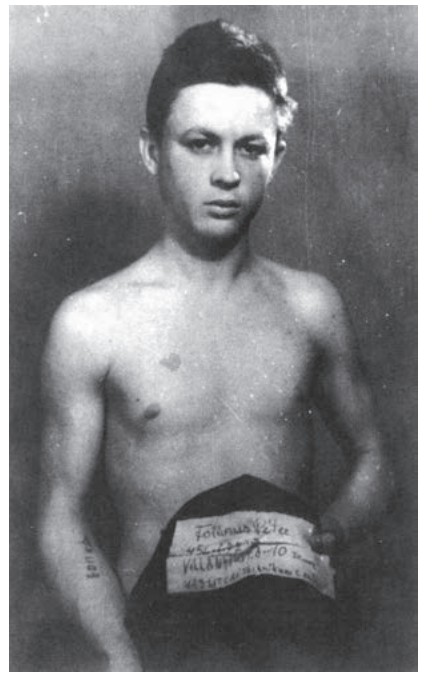

Péter Mansfeld, zdjęcie więzienne, 1958 r. Fotografia z książki G. Łubczyka i M. Maldisa „13 lat, 13 minut".

Reduta na Placu Széna

Wśród uczestników walk, w głównych punktach oporu w Budapeszcie, wyróżniali się ludzie młodzi. Árpád Göncz mówił mi: – W obronie naszej rewolucji najpiękniejsze karty zapisali nie krawaciarze, lecz dorosłe dzieci robotnicze, ci, którym się bardzo ciężko żyło. Studenci, młodzi inteligenci, oczywiście, też brali udział w powstaniu, wielu zginęło. Ale najwięcej strat było wśród młodzieży robotniczej.

Plac Széna już 24 października został zamieniony na jedną z najlepiej ufortyfikowanych powstańczych redut. Zasilili ją młodzi robotnicy i uczniowie z pobliskich zakładów i szkoły zawodowej. Wśród nich: 15-letni Péter Mansfeld. Jednak dowódca reduty, János Szabó, odmówił wydania mu broni, uznając, że jest za młody.

Gdy rozmawialiśmy w Budapeszcie ponad 20 lat temu, József Blaski, w 1956 r. 17-latek, wspominał: – Péter się nie zraził i w inny sposób nam pomagał. Jako łącznik między naszym oddziałem a podobnym w Pałacu Schmidta przewoził powstańcze materiały, ulotki, czasem granaty. Ze Szpitala Małgorzaty dostarczał leki i środki opatrunkowe. A pewnego dnia uprowadził samochód spod komendy milicji i został kierowcą naszego dowódcy Szabó.

„W marcu zaczynamy"

Dziadek i rodzice Pétera, urodzonego w 1941 r., byli fryzjerami. Jego młodszy brat László (także fryzjer) powiedział mi, że Péter nie chciał kontynuować rodzinnej tradycji, interesowała go technika. Był żywym dzieckiem, zmieniał szkoły. Na jego charakter zapewne miała wpływ sytuacja rodzinna: po powrocie z robót przymusowych w Rosji ojciec wpadł w alkoholizm i w 1951 r. matka z trójką dzieci została sama.

Jego biograf, pisarz Csaba Kósa: – Péter miał niemiecko-irlandzką krew, ale wielkie, węgierskie serce. Rodzina ze strony ojca pochodziła z Wiednia. Zaraz po wojnie dziadka, ojca i wujka Pétera Rosjanie wywieźli na roboty do Rosji, z której dziadek już nie wrócił. Gdy ten dowiedział się, co spotkało najbliższych i co musieli tam wycierpieć, nie mógł tego zrozumieć i ciągle pytał: dlaczego?

Po stłumieniu powstania Péter wraz z kolegą, Istvánem Holeczem, zaczęli zbierać broń z pobojowisk na terenie miasta. W kilka tygodni zgromadzili prawie 30 granatów, pięć karabinów i 15 magazynków z nabojami.

Gdy Blaski i Mansfeld dowiedzieli się, jak okrutnie traktuje się bojowników z Placu Széna – w styczniu 1957 r. powieszono ich dowódcę, „wujka Szabó" – postanowili działać. Dodatkową motywacją było hasło, które pojawiło się wtedy na murach Budapesztu: „W marcu znowu zaczynamy!".

Skąd marzec? Było to zapewne nawiązanie do 15 marca, święta narodowego, wtedy zakazanego – tego dnia w 1848 r. zaczęła się węgierska Wiosna Ludów.

Donos, wpadka, śledztwo

Skoro jednak w marcu nie zaczęło się, na początku 1958 r. Péter poprosił Józsefa, by pomógł mu uwolnić z więzienia szwagra. Z planem zapoznali kilku rówieśników: Rezső Bonę, László Furkę, Istvána Holecza i Attilę Egeia. Tylko Blaski miał ukończone 18 lat.

Chłopcy postanowili zdobyć kolejną broń. 17 lutego 1958 r. wsiedli do auta marki Warszawa (tego pozyskanego wcześniej przez Pétera) i podjechali pod austriacką ambasadę przy ulicy Árvácska. Obezwładnili pilnującego jej milicjanta Eleka Vekerdiego, zabrali mu pistolet i wciągnęli do auta. Gdy usłyszeli, że ma dwoje dzieci, dali mu papierosa i puścili.

Zabrakło im paliwa, więc zostawili auto z zamiarem, że po nie wrócą następnego dnia.

Najmłodszy z grupy, Attila Egei, po powrocie do domu wygadał się przed rodzicami. Ci, zdeklarowani komuniści, powiadomili władze – donosząc tym samym na własne dziecko.

Dwa dni później całą szóstkę aresztowano. Zamknięto ich w oddzielnych celach, przesłuchiwano w dzień i nocą. Śledczy z więzienia przy Gyorskocsi, nie mogąc złamać Pétera, trzymali go w celi bez światła.

Choć od pobytu w więzieniu minęło wtedy pół wieku, József Blaski opowiadał mi o tym tak, jakby to było wczoraj: – Wolę nie mówić, co z nami wyczyniali, byśmy się uznali za kontrrewolucjonistów, że naszym celem było zabijanie niewinnych ludzi. Stale prowokowali, ażebyśmy się wzajemnie oskarżali.

Proces

Po kilku miesiącach prokurator György Mácsik przedstawił całej szóstce akt oskarżenia. Główną winą Blaskiego i Mansfelda miało być: organizowanie działań mających na celu obalenie „ładu ludowo-demokratycznego"; gromadzenie i ukrywanie broni; uprowadzenie Vekerdiego z zamiarem jego zabójstwa. Ten jednak, ku zaskoczeniu oskarżycieli, na pierwszej rozprawie – toczącej się od 28 października do 17 listopada 1958 r. – oświadczył, że chłopcy nie mieli takiego zamiaru.

Na rozprawie Mansfeld – sądząc, że nieletnich nie skazuje się na śmierć – oświadczył, że to nie 18-letni Blaski, lecz on wymyślił napady na milicjantów i namówił kolegów, by zostali członkami grupy. To wystarczyło, by prokurator uznał nie Blaskiego, lecz Pétera za inspiratora „bandy terrorystycznej" – i zażądał dla obu kary śmierci. W swoim wystąpieniu prokurator przyznał, że „wszyscy oskarżeni są dziećmi proletariatu", ale zarazem „to zdrajcy klasowi i świadomi kontrrewolucjoniści".

Ku zaskoczeniu prokuratury, sędzia Béla Guidi nie przychylił się do jej wniosku, w czym poparł go ławnik (sędzia ludowy) István Menráth. Zapadł wyrok: Blaski dożywocie, Mansfeld dożywocie, Bóna 8 lat więzienia, Holecz 6 lat, Egei 4 lata, Furka 3 lata.

Prokuratura złożyła apelację do Sądu Najwyższego. Zmieniony skład sędziowski, na czele z Tiborem Vágó, uznał dożywocie dla Mansfelda za karę zbyt łagodną („w interesie ogólnej prewencji oraz obrony społeczeństwa już w pierwszej instancji uzasadnione było zastosowanie wobec niego najcięższej kary"). 19 marca 1959 r., dziewięć dni po ukończeniu 18 lat, Pétera skazano na śmierć. Prośba o ułaskawienie została odrzucona.

Trzynaście minut

Dwa dni po ogłoszeniu wyroku, 21 marca 1959 r., o dziewiątej rano Pétera wprowadzono do tej samej sali straceń więzienia przy ul. Kozma, w której 16 czerwca 1958 r. powieszono Nagya.

Realizując wraz z Markiem Maldisem film o Mansfeldzie i Romku Strzałkowskim (nastolatku zabitym w czerwcu 1956 r. w Poznaniu) pt. „13 lat, 13 minut", dotarliśmy do protokołu egzekucji Pétera. Po odczytaniu przez lekarza sądowego orzeczenia o stanie zdrowia skazanego i sentencji obu wyroków, o godzinie 9.22 kat przystąpił do pracy.

Umierał długo. Serce Pétera przestało bić dopiero po 13 minutach, co potwierdzili lekarze sądowy i więzienny. Csaba Kósa: – Moje śledztwo wykazało, że kat nie wykonał specjalnego ruchu, którym rozrywał kręgi szyjne ofiary. Trzynaście minut trwało więc to przerażające cierpienie na szubienicy.

Wieloletnie starania László Mansfelda o przywrócenie bratu dobrego imienia zakończyły się dopiero po upadku komunizmu: 20 kwietnia 1990 r. – już podczas pierwszej kadencji Göncza, pierwszego prezydenta wolnych Węgier – Sąd Najwyższy zrehabilitował chłopca, uznając wyrok z 1959 r. za nieważny.

Węgierska „Łączka"

Wtedy, w 1959 r., pochowano Pétera anonimowo w kwaterze 301 na Cmentarzu Rákoskeresztúri w Peszcie, obok innych straconych. Do tej kwatery, położonej w rogu cmentarza, aż do 1989 r. nie było dostępu. Dziś to miejsce ma podobny charakter co słynna „Łączka" na warszawskich Powązkach.

Podczas ekshumacji rozpoznano Pétera m.in. po złamaniu ręki, którego doznał po skoku podczas wizji lokalnej w 1958 r. Ujawniono wtedy jeszcze jedno okrucieństwo oprawców: chłopca pochowano na brzuchu, na wzór bałkański, by po śmierci nie oglądał słońca.

Péter Mansfeld spoczywa kilka metrów od Imrego Nagya. © GRZEGORZ ŁUBCZYK

Autor był w latach 1997-2001 ambasadorem RP w Budapeszcie. Wydał wiele książek o historii Węgier i relacjach polsko-węgierskich, m.in. „13 lat, 13 minut. 13 év, 13 perc" (współautor Marek Maldis), „Henryk Sławik: wielki zapomniany bohater Trzech Narodów", „Od Rubika do Rubika. W cztery oczy z ojcem i synem".

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA" SPECJALNY DODATEK



Portret Ignacego Daszyńskiego, autorstwa Stanisława Ignacego Witkiewicza, Bystra Śląska 1936 r.

IGNACY DASZYŃSKI:
człowiek lewicy, współtwórca Niepodległej

Jest jedną z najważniejszych postaci nowożytnej historii Polski: architekt polskiej lewicy demokratycznej, walkę o wolność łączył z walką o społeczną sprawiedliwość. W 1918 r. premier pierwszego rządu niepodległej Polski, marszałek Sejmu w latach 1928-30. Bronił demokracji parlamentarnej – gdy trzeba było, także przed Piłsudskim, wcześniej swym wieloletnim druhem. W tym roku przypadają jego rocznice: 160. urodzin i 90. śmierci.
Ignacy Daszyński na mocy uchwały Sejmu jest jednym z patronów 2026 r.

„TYGODNIK" Z DODATKIEM W SPRZEDAŻY OD ŚRODY 28 PAŹDZIERNIKA



© PARAFIA ARCHIKATEDRALNA ŚW. STANISŁAWA B.M. I ŚW. WACŁAWA M. / / KATEDRA NA WAWELU / FOT. ŁUKASZ MICHALAK

Wszystkie twarze królowej

Wystawa
„Anna Jagiellonka.
Wszystkie twarze królowej”
Zamek Królewski na Wawelu
23 października 2026 – 14 lutego 2027

Portret Anny Jagiellonki w stroju koronacyjnym, artysta nierozpoznany, Kraków (?), po 1576, Katedra na Wawelu



Portret Anny Jagiellonki, artysta nierozpoznany, 1594-1595, Zamek Królewski na Wawelu

JOANNA WINIEWICZ-WOLSKA

Jaka była Anna Jagiellonka? W powszechnej świadomości utrwaliły się dwa stereotypy.

Jeden to obraz bezwolnej, nieszczęśliwej małżonki Stefana Batorego, tkwiącej w cieniu zasłużonego dla Rzeczypospolitej króla-wojownika. Drugi – rozczarowanej Infantki, której jedynym celem życia było zamążpójście, i przeżywającej boleśnie rozczarowanie po ucieczce Henryka Walezego. W dawnej historiografii Anna, intelektem ustępująca starszej siostrze Zofii, a urodą młodszej Katarzynie, była przedstawiana jako osoba bierna, poddająca się zrządzeniom nieprzychylnego jej losu, któremu nie umiała – czy też nie chciała – się przeciwstawić. Zarzucano jej brak wizji politycznej, małostkowość i drażliwość. Zawiedziona i zgorzkniała uskarżała się nieustannie na szwankujące zdrowie, szukając pocieszenia w modlitwie i praktykach religijnych. „Obyczaj współczesny rozumiał ją tylko przy boku męża albo w klasztorze. Tymczasem smutna Jagiellońska tragedia rodzinna wyrzuciła ją na mieliznę, jak wyrzuca pustą muszlę morska fala, słabą i nieprzygotowaną do życia. Nie umiejąc ani żyć, ani walczyć, mogła i musiała jedynie cierpieć”. Ta charakterystyka, skreślona piórem Witolda Kamienieckiego, okazała się wyjątkowo trwała. Czy jest jednak prawdziwa?

Do utrwalenia takiego wyobrażenia o polskiej królowej przyczyniła się też ikonografia. Zbiorową wyobraźnią zawładnął portret namalowany u schyłku życia, ukazujący Annę jako sztywno upozowaną matronę o przenikliwym spojrzeniu zmęczonych oczu, w ciemnej sukni i długim, białym, półprzezroczystym welonie – w stroju zwanym niesłusznie „wdowim”. Stał się najbardziej rozpoznawalnym, ikonicznym wręcz konterfektem Jagiellonki – być może dlatego, że zachowało się łącznie aż pięć jego wersji, nieznacznie różniących się w szczegółach. Takie ujęcie korespondowało z jej obrazem utrwalonym w starszych opracowaniach historiograficznych, z powszechną opinią o braku nie tylko talentów politycznych, ale także o mankamentach urody. Infantka była „stara i rzeczywiście bardzo brzydka, tak, iż ani biednemu Batoremu, ani zepsutemu Andegaweńczykowi dziwić się po prostu nie sposób, że tam swych afektów umieścić nie potrafili” – pisał sarkastycznie Jerzy Mycielski, komentując portret zwany koronacyjnym. Anna wyglądała na nim „prawdziwie jak jakiś złocisty relikwiarz drogimi kamieniami sadzony” – zauważał nie bez pewnej złośliwości. W podobnym tonie ocenił jej urodę: „Czoło bez końca wysokie (...) oczy trochę kose (...), w górę ku skroniom podniesione; nos długi, nieco płaski; usta małe, ale broda spiczasta jeszcze więcej na przód wyszła (...) zmarszczki bardzo widoczne, pod oczami podbitymi, kresy koło ust wyraźne, broda w kulkę się kończy. Słowem biedna reginula, która na tym obrazie w 53. roku życia (...) wdzięków niewieścich nie ma ani trochę. Z dawnych lat białość cery tylko została”. W małżeństwach zawieranych z przyczyn politycznych „afekty” nie odgrywały przecież żadnej roli. Próby swatania Infantki kończyły się niepowodzeniem nie z powodu domniemanego braku jej urody, lecz dlatego, że podejmowane były zbyt późno i każdy potencjalny kandydat był młodszy o co najmniej dziesięć lat. Ani matka, ani później brat nie zadbali o jej korzystne zamążpójście.

Portret powstał po ślubie z Batorym i po koronacji. Ukazuje Annę w atłasowej sukni, gęsto haftowanej i „inkrustowanej” drogimi kamieniami w kunsztownych oprawach, a realistycznie odtworzone klejnoty świadczą o zasobności jagiellońskiego skarbca. Trudno oceniać urodę Anny na podstawie tego wizerunku – jego autor nie należał do artystów biegłych w swej sztuce. Skupił się na detalach stroju i insygniach władzy – twarz jest dość schematyczna, pozbawiona psychologicznej głębi, przy czym zniekształciły ją nieco także późniejsze przemalowania.

Jest oczywiste, że portret, upamiętniający najważniejsze wydarzenie w jej życiu, miał dla królowej duże znaczenie. Nie wiadomo, jakie było jego pierwotne przeznaczenie i dlaczego dziesięć lat po koronacji, jeszcze za życia Stefana Batorego, Anna postanowiła umieścić swój konterfekt w rodowym mauzoleum Jagiellonów w katedrze krakowskiej. „Ślemy obraz twarzy swojej” – pisała do proboszcza Kaplicy Zygmuntowskiej, Stanisława Zająca, w marcu 1586 r., polecając, by umieścił portret nieopodal ołtarza, „tam, gdzieśmy klękali”. Na jej życzenie domalowano u dołu tablicę inskrypcyjną, odnoszącą się do daty koronacji – dnia, w którym *talis apparuit* (tak się ukazała) – oraz dwa kartusze. Na jednym widnieje

biały Orzeł, którym się pieczętowała, na drugim Wąż – herb Sforzów. Zapewne w obawie, by portret w miejscu świętym nie stał się przedmiotem kultu, zastrzegła wykonanie zasłony, która miała obraz przykrywać, tak „iżby mu się nie kłaniano", a zdejmowanej tylko wtedy, gdy „kto bardzo się napierał go widzieć".

Najwcześniejszy z portretów ukazuje Annę jako królewnę, jedną z trzech młodszych sióstr króla Zygmunta Augusta. Jest to ostatni z dziesięciu oprawionych razem wizerunków rodziny Jagiellonów z warsztatu Łukasza Cranacha młodszego, datowanych na lata 1553-1555. Gdyby nie charakterystyczne klejnoty – zawieszenia w kunsztownej oprawie, z inicjałem imion królewien – trudno byłoby określić, który obraz przedstawia późniejszą królową Annę. Drobna twarz o wysokim czole i delikatnych rysach powtarza się także na innych portretach. Te cechy jej aparycji, przy niewysokiej sylwetce, odnotował wenecki poseł Hieronim Lippomano. Anna miała wówczas 53 lata – był to okres, kiedy wzrastała jej polityczna rola.

W jakim stopniu zachowane portrety oddają rzeczywisty wygląd Jagiellonki? Najdoskonalszy pod względem artystycznym jest wizerunek w zbiorach Zamku Królewskiego na Wawelu. To zapewne najwierniejszy portret królowej. Sugestywnie odtworzona, modelowana światłocieniem twarz o bladej cerze, z przeświturającymi przez skórę fioletowymi żyłkami, lekko zaróżowionymi policzkami, bystre, przenikliwe spojrzenie wypukłych oczu, otoczonych czerwoną obwódką i podkreślonych cieniem pod dolnymi powiekami, oraz wąskie, lekko zaciśnięte usta świadczą nie tylko o kunszcie portrecisty, lecz o nieprzeciętnym darze wnikliwej obserwacji. Stworzył fascynujący portret psychologiczny starzejącej się kobiety u schyłku jej życia. Kim był ten wybitny malarz? Obraz przypisano Marcinowi Koberowi. Atrybucja ta wydaje się jednak wątpliwa – zwłaszcza w zestawieniu z sygnowanym wizerunkiem Stefana Batorego z Muzeum Księży Misjonarzy w Krakowie oraz przypisanymi Koberowi portretami: Zygmunta III Wazy z kolekcji Kunsthistorisches Museum w Wiedniu i jego córki, królewny Anny Marii ze zbiorów Monasterio de las Descalzas Reales w Madrycie.

Okazją do porównania wspomnianych portretów będzie wystawa „Anna Jagiellonka. Wszystkie twarze królowej". Po gruntownych badaniach i konserwacji zobaczymy m.in. pięć jej portretów z ostatnich lat życia, namalowanych według jednego schematu kompozycyjnego, ale różnych pod względem malarskiego kunsztu. W ramach szeroko zakrojonego projektu badawczego, zainicjowanego i przeprowadzonego przez specjalistów z Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie i Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, uzyskano porównywalny komplet wyników badań fizyko-chemicznych, co pozwala na sformułowanie wniosków odnośnie do techniki i technologii oraz określenie wspólnych cech warsztatowych tej grupy obrazów. Na ostatnim etapie projektu dołączono do badań także portret Stefana Batorego.

Na wystawie zobaczymy nie tylko portrety Anny oraz osób z jej rodzinnego kręgu i politycznego otoczenia. Zgromadzone w kilku salach obiekty tworzą historyczną narrację, skupiając naszą uwagę na wielu aspektach z bogatego spektrum działalności fundacyjnej królowej. Z niebywałą konsekwencją dążyła bowiem do utrwalenia materialnego i duchowego dziedzictwa Jagiellonów, a zwieńczone sukcesem starania o osadzenie na tronie siostrzeńca nie były jedynym – jakkolwiek bardzo ważnym – celem jej działań. Z dzisiejszej perspektywy wiele sądów o Annie Jagiellonce wymaga weryfikacji. Systematyczna publikacja jej korespondencji przynosi informacje, które każą inaczej spojrzeć na sylwetkę i dokonania królowej. Czy rzeczywiście była osobą bierną i uległą, czy może – wykorzystując cały arsenał środków – w tym emocje, które często uzewnętrzniała – budowała umiejętnie swoją pozycję jako ostatnia z rodu, „wielkich królów żona, siostra, córka"? ©

DARIUSZ BŁAŻEWSKI

Ogólnopolska konferencja naukowa „Anny Jagiellonki – relacje kobiet i władzy" 27-29 października 2026

Konferencja stanowi naturalne dopełnienie wystawy „Anna Jagiellonka. Wszystkie twarze królowej" i jest próbą postawienia pytań o miejsce kobiet w historii, ich relacje z władzą oraz o to, w jaki sposób pamiętamy o nich dzisiaj.

Punktem wyjścia naszej refleksji są biografie czterech kobiet noszących miano Anny Jagiellonki. W ich życiorysach widzimy różnorodność doświadczeń kobiet w rodzinach panujących, a ich losy skłaniają do pytań, na czym polegała kobieca sprawczość: jakie możliwości dawały pochodzenie, małżeństwo czy macierzyństwo i gdzie przebiegały granice kobiecego wpływu. Co sprawia, że jedne kobiety obecne w kręgach władzy zostają zapamiętane jako władczynie, inne tylko jako żony lub matki, a jeszcze inne niemal całkowicie znikają z naszej pamięci? Jak zmieniały się sposoby opisywania kobiet i ich relacji z władzą?

Poza referatami i wykładami eksperckimi badaczy z całej Polski, ważnym punktem wydarzenia będzie debata popularnonaukowa poświęcona przedstawieniom kobiet władzy w kulturze i popkulturze. W ramach debaty przyjrzymy się mitom i stereotypom, które narosły wokół władczyń, by następnie zapytać, jak dawne narracje wpływają na współczesne postrzeganie kobiet u władzy. Zastanowimy się, dlaczego kobieca władza wciąż tak często widziana jest jako coś niezwykłego, podejrzanego lub wymagającego szczególnego uzasadnienia.

Obowiązują zapisy. Formularz zgłoszeniowy dostępny na stronie wydarzenia.

Uczestniczki i uczestnicy debaty

- dr hab. MAGDALENA BINIAŚ-SZKOPEK, prof. UAM (Wydział Historii UAM, dyrektorka Biblioteki Kórnickiej PAN)
- dr ANNA JANKOWIAK (*Wiedźma od Wiedzy*, wiceprezeska Fundacji Muzeum Historii Kobiet)
- dr AGNIESZKA JANKOWIAK-MAIK (*Babka od Histy*, prezeska Fundacji Muzeum Historii Kobiet)
- dr MICHAŁ SAWCZUK (badacz niezależny, współpracownik Pracowni Literatury Renesansu UJ)
- moderacja: dr JACEK STAWISKI (redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego")

Organizatorzy: Dział Edukacji, Zamek Królewski na Wawelu

MATERIAŁ PARTNERA

NAUKA

CO NAM W DUSZY GRA

MICHAEL SPITZER, MUZYKOLOG:

Gdy słuchamy muzyki, nasz mózg odbiera ją tak, jakby słyszał poruszające się, czujące ciało drugiego człowieka. Dźwięk imituje ludzkie gesty, wzdycha, pędzi, zastygają w nim nasze lęki i pragnienia.

KASPER KALINOWSKI: Swoją książkę „Muzyka. Wielka biografia" rozpoczyna Pan od misji sondy Voyager, na której pokładzie znalazła się płyta gramofonowa z utworami stworzonymi w różnych kulturach. Co mówi ona kosmitom o naszej muzyce?

MICHAEL SPITZER: Płyta Voyager Golden Record mówi o nas bardzo wiele, ale jednocześnie opiera się na milczących założeniach. Czy obca inteligencja zdoła zinterpretować zapis analogowy? Czy dźwięk, który rozchodzi się w powietrzu, będzie takim medium, które w ogóle mogą rozpoznać?

Pamięta pan film „Nowy początek" w reżyserii Denisa Villeneuve? Obcy, którzy w nim przybywają, to gigantyczne ośmiornice postrzegające czas cyklicznie. Całe ich doświadczenie jest pozbawione naszej ludzkiej, linearnej perspektywy czasowej. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość nie układają się dla nich w sekwencję „najpierw–potem".

Ludzka muzyka jest na każdym poziomie przesiąknięta poznawczymi kategoriami czasu, przestrzeni i przyczynowości, które przyjmujemy za absolutnie oczywiste. To one definiują nasze człowieczeństwo. Nie możemy zakładać, że pozaziemska inteligencja dzieli z nami te same ramy kognitywne. Choć komik Steve Martin zażartował kiedyś, że przechwycono pierwszą odpowiedź od kosmitów brzmiącą: „Przyślijcie więcej Chucka Berry'ego!", w rzeczywistości ten eksperyment myślowy z perspektywą międzygwiezdną uczy nas głębokiej pokory.

Pisze Pan też, że różnorodność naszych stylów muzycznych, utrwalona na płycie z Voyagera, pokazuje naszą „zmienność behawioralną". Zastanawiam się, co jest w sferze muzycznej u nas wrodzone, a co kulturowo wyuczone. Czy koreańskie niemowlę wychowane od urodzenia w Polsce odbierałoby polską muzykę tak samo jak polskie dziecko?

Jestem przekonany, że w przypadku muzyki od momentu narodzin niemal wszystko staje się kulturą. Dziecko z innego kraju czy grupy etnicznej, wychowane od pierwszego dnia w polskim otoczeniu dźwiękowym, otoczone polską mową i melodią, stanie się pod względem muzycznym w stu procentach Polakiem.

Pierwszym prototypem doświadczenia muzycznego jest relacja niemowlęcia z matką – to, co psychologowie nazywają mową matczyną oraz dostrojeniem emocjonalnym. Matka i dziecko prowadzą złożoną protokonwersację: są w niej wymiany uśmiechów, opadające i wznoszące się kontury mowy, pauzy i rytmiczne powtórzenia. W tej relacji nie ma jeszcze słów ani abstrakcyjnych pojęć, ale jest czysta muzyka: emocja, intonacja i puls. Ten międzyludzki mikrodramat – ewolucyjnie stary, pochodzi sprzed dwóch milionów lat – stał się prawdziwym fundamentem naszej muzykalności.

Czyli kiedy możemy mówić o ewolucyjnych narodzinach muzyki?

Nie ma jednego momentu narodzin. Muzyka powstała z wielu osobnych włókien, które stopniowo się ze sobą łączyły, tworząc współczesny splot.

Jednym z włókien jest rytm samego wszechświata. Rytmicznie wibruje gwiazda neutronowa, w rytmie krążą tarcze planet, zmieniają się pory roku, a nasz mózg generuje fale alfa i theta. Dopiero w toku ewolucji ten kosmiczny rytm skrystalizował się w dźwięk, tworząc to, co dzisiaj nazywamy muzyką.

Dźwięk nie pozostawia skamielin, ale możemy stosować ekstrapolację. Posiadamy bogaty zapis archeologiczny i anatomiczny. Australopitek – jak słynna Lucy sprzed 3,2 mln lat – poruszał się jeszcze na drzewach i ziemi, ale dwunożność *Homo ergaster* sprzed 1,5 mln lat dała nam dwutaktowy rytm chodu („lewa–prawa"), połączony z pulsem serca i oddechem. Wiemy też, kiedy wyewoluowała kość gnykowa – przynajmniej od ok. pół miliona lat ma ona współczesny kształt. A bez typowo ludzkiej kości gnykowej nie ma oparcia dla języka i spółgłosek – dlatego małpy człekokształtne potrafią jedynie wrzeszczeć, ale nie potrafią śpiewać. U ludzi obniżenie krtani i aparat mowy otworzyły drogę do śpiewu i precyzyjnej wokalizacji.

Muzyka wymaga także rozwiniętego mózgu. Około 40 tys. lat temu nasi przodkowie w jaskiniach Hohle Fels i Geißenklösterle w dzisiejszych Niemczech wykonali pierwsze flety z kości sępa i mamuta. Aby stworzyć narzędzie do wywoływania abstrakcyjnych dźwięków, potrzebna była elastyczność poznawcza – zdolność do połączenia przestrzeni narzędzi z przestrzenią dźwięku.

JEFF J. MITCHELL / GETTY IMAGES

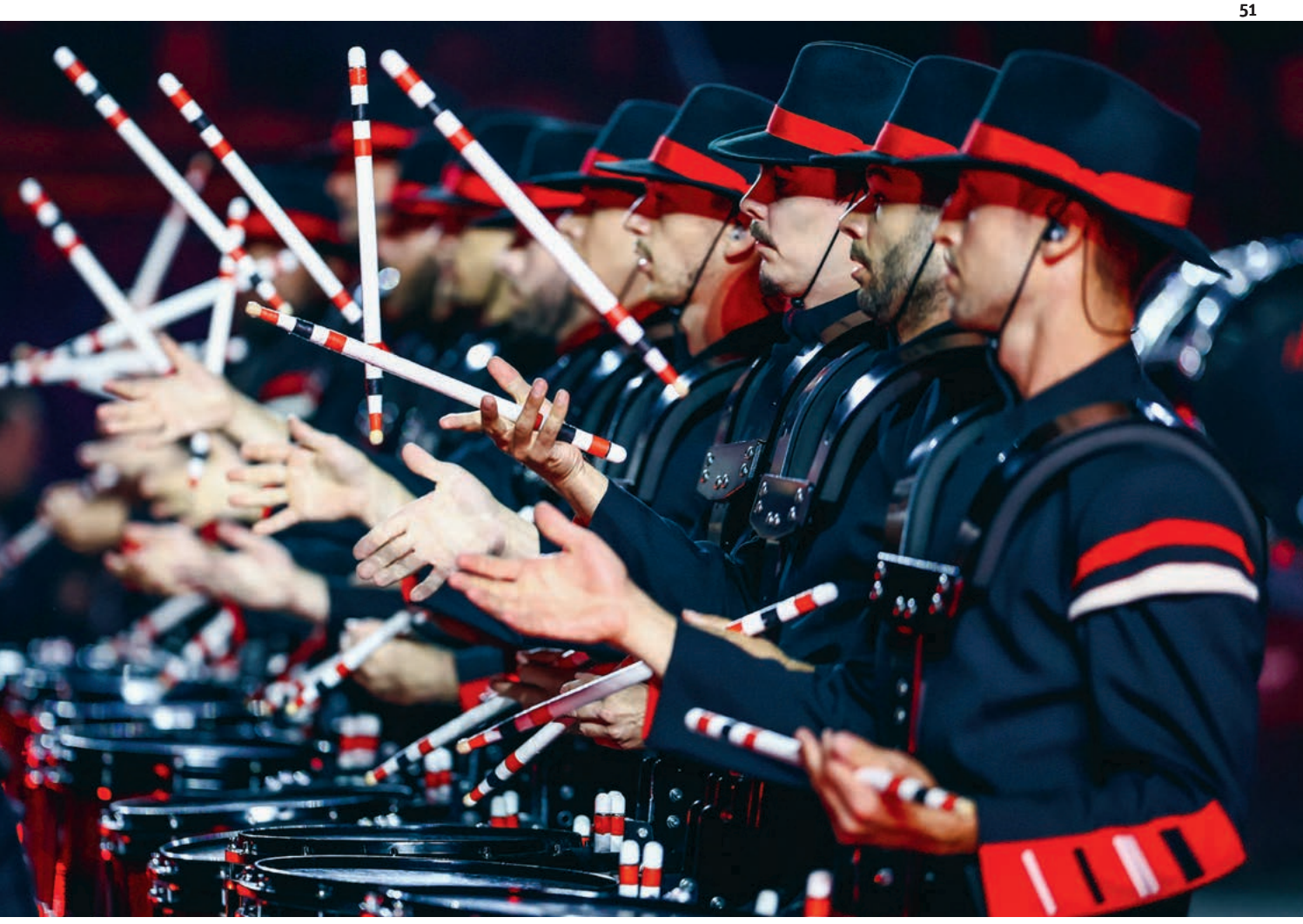

Odbywający się od 1949 roku Royal Edinburgh Military Tattoo to widowisko łączące muzykę, taniec, precyzję musztry oraz technologię. Na zdjęciu: zespół perkusyjny Majesticks Drum Corps. Edynburg, 1 sierpnia 2024 r.

W naszej ewolucyjnej historii przeszliśmy przez wielką zmianę: od grup zbieracko-łowieckich do osiadłych społeczności rolniczych. Jak ta zmiana wpłynęła na muzykę?

Przez 90 proc. historii nasz gatunek tworzyli koczowniczy łowcy-zbieracze. W takich grupach muzyka miała charakter wybitnie partycypacyjny, natychmiastowy i egalitarny. Nie robiono ciężkich instrumentów – wędrując przez tundrę czy lasy deszczowe, można było mieć przy sobie tylko lekki bagaż. Instrumentem było wówczas własne ciało, zderzane kamienie czy grzechotki z muszli. W muzyce łowiecko-zbierackiej nie było podziału na wykonawców i widownię – wszyscy śpiewali i tańczyli razem wokół ogniska.

Wraz z rewolucją neolityczną, ok. 12 tys. lat temu, człowiek osiedlił się w rejonie Żyznego Półksiężyca. Osiadły tryb życia przyniósł akumulację dóbr, podział pracy i uzależnienie od kalendarza pór roku. Muzyka stała się powtarzalnym rytuałem. Słowo „rytuał" wiąże się z kołem – stąd tańce w kręgu, procesje czy święta plonów. Wtedy też pojawiły się ciężkie instrumenty: bębny, dzwony z brązu, liry i harfy. Muzyka neolitu zapuściła korzenie w ziemi i stała się narzędziem państwowego oraz religijnego spektaklu.

Próbował Pan zrekonstruować brzmienie dawnej muzyki – np. z cywilizacji Mezopotamii czy Grecji. Na ile realnie możemy wiedzieć, jak ona brzmiała?

W dużej mierze jest to rekonstrukcja oparta na źródłach pisanych i ikonografii. Wiemy, że teatr grecki nie był deklamowany, lecz śpiewany – tragedie Eurypidesa czy Sofoklesa były odpowiednikiem opery, w której chór i aktorzy śpiewali przy akompaniamencie oboju o dwóch piszczałkach. Zachowały się nieliczne nuty z tego okresu, jak fragment z „Orestesa" Eurypidesa czy pieśń Seikilosa.

Z kolei w Mezopotamii pismo klinowe przechowało dla nas niezwykły skarbiec. To stamtąd pochodzi pierwsza znana z imienia kompozytorka i poetka w historii świata – sumeryjska księżniczka i arcykapłanka Enheduanna, żyjąca ok. 2300 r. p.n.e. Wznosiła ona hymny na szczycie zigguratu w Ur do boga księżyca Nanny i bogini Inany. Jej poezja i pieśni wywarły przemożny wpływ na późniejszą tradycję biblijną, w tym na Pieśń nad Pieśniami i psalmy Dawida. To interesujące, że pierwszą nazwaną z imienia autorką w dziejach muzyki była kobieta.

Inna duża zmiana w muzyce zaszła na Zachodzie: pisze Pan, że „oderwał się on od muzycznego szelfu kontynentalnego". Co to znaczy?

Zachód dokonał dwóch rewolucyjnych ruchów. Po pierwsze, około 1000 r. n.e. ↦

włoski mnich Gwidon z Arezzo wynalazł precyzyjną notację pięcioliniową. Z jednej strony był to genialny skok technologiczny, z drugiej – narzędzie surowej kontroli Kościoła. Notacja sprawiła, że muzyka stała się czymś abstrakcyjnym, zapisanym na karcie papieru.

Po drugie, notacja doprowadziła do podziału pracy: wyodrębniła się postać kompozytora oraz wykonawcy i słuchacza. W większości kultur świata muzyka jest żywym, improwizowanym wydarzeniem społecznym, w którym każdy uczestniczy. Na Zachodzie stworzyliśmy ideologię „geniuszu" kompozytora, którego dzieło jest nienaruszalnym zabytkiem, oraz opuściliśmy żelazną kurtynę między sceną a bierną publicznością. Zmieniliśmy aktywne uprawianie muzyki w jej bierną konsumpcję.

Dobrym przykładem takiego genialnego kompozytora jest Mozart, którego Pan nieco odczarowuje – odbiera mu Pan boski talent.

Kocham muzykę Mozarta, ale kult „bożego pomazańca" jest szkodliwy. Mozart nie tworzył z niczego. Od najmłodszych lat mieszkał z osobistym guru – ojcem Leopoldem, wybitnym pedagogiem. Miał za sobą tysiące godzin ciężkiej pracy.

Przede wszystkim jednak Mozart do perfekcji opanował język muzyczny swojej epoki – styl galant. Muzykolog Robert Gjerdingen wykazał, że klasyczne utwory Mozarta składają się ze skomplikowanego, ale powtarzalnego ciągu schematów harmonicznych, takich jak *romanesca*, *Prinner* czy *ponte*. Mozart operował nimi z taką łatwością, z jaką płynny mówca układa zdania z opanowanych frazeologizmów. Talent to nie mistyka, lecz połączenie predyspozycji, środowiska, motywacji i morderczego treningu. Niestety, zachodni kult geniuszu doprowadził do tego, że zwykły człowiek uwierzył, iż nie ma talentu i nie ma prawa uprawiać muzyki.

Historia muzyki splata się z historią ludzkości. Widać to choćby w czasach kolonializmu.

Podobnie jak język hiszpański czy angielski wypierały rdzenne języki w Ameryce i Afryce, tak zachodnia struktura tonalna i polifonia niszczyły lokalne tradycje. Kiedy po 1520 r. hiszpańscy misjonarze założyli katedrę w Meksyku, zaczęli



MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA ZNAK

MICHAEL SPITZER jest profesorem muzykologii na Uniwersytecie w Liverpoolu i pianistą. W swoich badaniach łączy muzykologię z filozofią, psychologią, antropologią i historią, pokazując muzykę jako uniwersalne doświadczenie człowieka.
Autor książek: „Metaphor and Musical Thought", „Music as Philosophy", „A History of Emotion in Western Music" oraz wydanej w Polsce „Muzyka. Biografia" (Znak 2026).

uczyć azteckich chłopców śpiewania hiszpańskiej polifonii. Doszło do zniszczenia dawnej kultury Azteków, ale jednocześnie wydarzyła się rzecz zdumiewająca: w ciągu jednego stulecia azteccy śpiewacy stali się wybitnymi kompozytorami renesansowej polifonii. Kiedy ziarno zachodniej muzyki padło na obcy grunt, rdzenni mieszkańcy przywłaszczyli je sobie i przekształcili w własny idiom. Kolonializm przyniósł zniszczenie, ale i nieoczekiwane, hybrydowe formy przetrwania.

Przejdźmy do królestwa przyrody. Większość z nas kojarzy muzykę w naturze ze śpiewem ptaków. Ale Pan uważa, że więcej o ewolucji kultury muzycznej mówią nam pieśni humbaków. Dlaczego?

Ptaki śpiewają zachwycająco, ale istnieje co do nich nieporozumienie. Ptaki w lesie nie śpiewają w chórze. Każdy śpiewa wyłącznie w ramach swojego gatunku, by zwabić samicę lub chronić terytorium. Nie ma tam zbiorowej, ewoluującej kultury muzycznej.

U humbaków jest inaczej. W danym sezonie cała populacja samców humbaka, licząca pięćdziesiąt lub więcej osobników, śpiewa dokładnie tę samą, skomplikowaną pieśń! Ta pieśń trwa kilkanaście minut, posiada rymy, akcenty i frazy przejściowe. Co więcej, w ciągu pięcioletniego cyklu ta pieśń płynnie ewoluuje: samce wprowadzają nowe motywy, modyfikują stare, aż po kilku latach cały repertuar ulega zmianie i proces zaczyna się od nowa. To jest prawdziwa, przekazywana pokoleniowo kultura muzyczna u ssaków! Badacze wielorybów mogą wręcz powiedzieć: „O, bardzo lubię pieśń humbaków z rocznika 1970". W przypadku ptaków nie ma tego rodzaju tradycji.

A co z naszymi najbliższymi krewnymi? Karol Darwin zauważył ze zdziwieniem, że małpy są zaskakująco niemuzykalne.

To prawda, większość ssaków nie posiada zdolności uczenia się wokalnego, czyli nabywania umiejętności emisji nowych dla nich dźwięków. Szympansy czy goryle wydają z siebie proste odgłosy emocjonalne. Ale małpy posiadają coś innego, co stało się kluczowe dla ludzi – fantastyczną inteligencję społeczną i bogaty język gestów.

Pojęcie gestu jest fundamentem muzyki. Czym zajmuje się dyrygent na podium? Dyrygent nie wydaje dźwięków – jest małpą wykonującą ekspresyjne gesty! Kiedy słuchamy słynnego motywu z V Symfonii Beethovena (da-da-da-dum), słyszymy czysty gest ruchowy. Człowiek stał się wielkim syntezatorem ewolucji – połączyliśmy dwunożny rytm ciała, ekspresyjne gesty dłoni małp oraz zdolności wokalne ptaków i wielorybów w jedną całość.

Dlaczego muzyka z taką siłą wywołuje w nas wspomnienia, nostalgię i myśli o przemijaniu? Wydaje się, że żadna inna sztuka nie działa na nas równie szybko.

Ponieważ muzyka wyrasta bezpośrednio z naszego biologicznego repertuaru krzyków i oddechu. Kiedy jesteśmy smutni – płaczemy i szlochamy; kiedy się boimy – wstrzymujemy oddech; kiedy jesteśmy wściekli – krzyczymy. Jak pokazał Karol Darwin w książce „O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt", emocje są ściśle powiązane z zachowaniem i reakcjami somatycznymi organizmu.

Gdy słuchamy muzyki, nasz mózg odbiera ją tak, jakby słyszał poruszające się,

czujące ciało drugiego człowieka. Muzyka ma ciało, chociaż jest niewidzialna. Dźwięk imituje ludzkie gesty, wzdycha, pędzi, zastygają w nim nasze lęki i pragnienia. Dzieło sztuki wizualnej istnieje w przestrzeni, natomiast dźwięk istnieje wyłącznie w czasie – znika w momencie, gdy powstaje. Ta ulotność dźwięku jest bezpośrednią analogią naszego własnego, śmiertelnego losu.

Muszę jeszcze zapytać o sztuczną inteligencję. W ostatnim rozdziale książki pisał Pan o technologii z pewną dozą optymizmu, ale niedawno przyznał w wywiadach, że nadeszły ciemne czasy. Czy AI doprowadzi do apokalipsy muzyki?

Kiedy pisałem jedenasty rozdział, byłem zbyt optymistyczny. Sądziłem, że AI będzie jedynie wygodnym narzędziem w rękach ludzkiego twórcy. Dziś widzę, że sytuacja jest znacznie bardziej niebezpieczna. Algorytmy potrafią wygenerować utwór popowy czy fałszywkę w stylu Bacha w kilka sekund. Najbardziej przygnębiające jest to, że większość ludzi nie dostrzega różnicy. To dowód na to, jak bardzo jako społeczeństwo zatraciliśmy naszą wrażliwość i edukację muzyczną.

Jednak AI posiada ogromną słabość. Algorytmy potrafią manipulować kliszami emocjonalnymi na odcinku kilku sekund, ale nie posiadają poczucia architektury, długofalowego argumentu muzycznego ani ciągłości uwagi. AI nie potrafi przespacerować się przez dwudziestominutowy krajobraz symfonii. Przede wszystkim jednak – AI nie posiada ciała, nie oddycha, nie cierpi i nie umiera.

Artysta taki jak Mozart czy Beethoven nie musi w trakcie komponowania odczuwać ciągłego bólu, ale jego twórczość wyrasta z doświadczenia ludzkiego ograniczenia i śmiertelności. Słuchamy muzyki nie dla samych cyfr, ale dlatego, że szukamy w niej drugiego człowieka. Nawet jeśli AI stworzy utwór idealnie imitujący Chopina, nie będę miał ochoty go słuchać. Sztuka bez ludzkiego serca, trudu i śmiertelności staje się po prostu cyfrowym szumem.

© Rozmawiał KASPER KALINOWSKI

Choroba cywilizacyjna

ŁUKASZ KWIATEK

DŻUMA | Badania paleogenetyczne sugerują, że dżuma towarzyszy nam już od czasu młodszej epoki kamienia. Podejrzewa się ją o spowodowanie zapaści demograficznej w świecie pierwszych rolników.

Jeśli weźmiemy pod uwagę wszystkich ludzi, którzy urodzili się na Ziemi (ich liczbę Population Reference Bureau odważnie oszacowało na ok. 117 mld), to śmierć „ze starości" trzeba uznać za rzadki przywilej, a masowe dożywanie przez ludzi sędziwego wieku – za stosunkowo nowy wynalazek. Nasi przodkowie umierali młodziej i znacznie częściej z powodu chorób – przede wszystkim zakaźnych.

Wśród najbardziej śmiercionośnych wymienia się malarię i gruźlicę (niektórzy autorzy łączną liczbę ich ofiar podają w miliardach), ale nawet one nie wywarły takiego wpływu na losy świata jak dżuma, której przynajmniej dwie pandemie doprowadziły do zapaści demograficznej.

Chorobę wywołuje pałeczka dżumy (*Yersinia pestis*) – roznoszona przez pchły bakteria, która potrafi zainfekować przeszło 200 gatunków zwierząt (głównie gryzoni). Część gatunków zdołała się na nią uodpornić. Wśród nich są psy, co prawdopodobnie jest efektem presji selekcyjnych – nie brakowało im okazji do zarażenia się dżumą od gryzoni czy... ludzi.

Dżuma dziś

U nas choroba pierwotnie może przybrać jedną z trzech opisanych postaci – dymieniczną (objawem są nabrzmiałe węzły chłonne), posocznicową (zakażenie rozwija się we krwi i powoduje martwicę różnych tkanek) oraz płucną (w jej przypadku przez krótki okres – ponieważ nieleczona infekcja szybko prowadzi do śmierci – możliwa jest bezpośrednia transmisja z człowieka na człowieka poprzez wdychane i wydychane aerozole).

Dobrze udokumentowane są trzy pandemie dżumy w ostatnich 1,5 tys. lat, ale istnieją też przesłanki za tym, że choroba panoszyła się już w czasach prehistorycznych. Ostatnia zaczęła się w 1772 r. w chińskim Dali, skąd powoli rozprzestrzeniała się po okolicy.

Pod koniec XIX w. dotarła do Hong Kongu, gdzie w 1894 r. wywołującą ją bakterię opisał mikrobiolog Alexandre Yersin z Instytutu Pasteura (po jego śmierci to jemu „zadedykowano" ten patogen, wcześniej nazywany *Pasteurella pestis*). Niedługo potem zaraza już szybko rozlała się po świecie, podążając za morskimi szlakami handlowymi i połączeniami kolejowymi.

Ostatnia pandemia dżumy zabiła kilkanaście milionów osób, głównie w Indiach i Chinach. Europa na zagrożenie zdążyła się przygotować. Ogniska choroby ograniczyły się do pojedynczych miast portowych – zachorowało mniej niż 2 tys. osób, zmarło kilkaset. W połowie XX w. większość ognisk dżumy wygasła, choć bakteria wywołująca ją przetrwała w populacjach zwierząt i nadal co roku notuje się na świecie do kilku tysięcy nowych przypadków oraz do kilkuset zgonów.

Niedawny głośny przypadek z Irkucka wyróżnia się więc przede wszystkim okolicznościami domniemanego zakażenia – zmarła na „nieokreśloną chorobę płuc" kobieta pracowała w laboratorium, w którym prowadzi się badania nad *Y. pestis*. Współczesna medycyna przed dżumą nie drży – standardy higieniczne utrudniają bakterii rozprzestrzenianie się, a szybko zastosowana terapia antybiotykowa daje dobre rokowania zarażonym.

Historyczne pandemie

Druga historyczna pandemia to przede wszystkim czarna śmierć, która spustoszyła Europę w latach 1346-1353, ↦



HERITAGE ART / BE&W

Ilustracja z przełomu XIX i XX w. dotycząca średniowiecznej epidemii dżumy (czarnej śmierci).

↦ ale ogniska tej zarazy pojawiały się jeszcze nawet w XIX w. Również i ta pandemia zaczęła się w Azji. W pobliżu jeziora Issyk-kul na terenie Kirgistanu znajdowało się kilka miejscowości, przez które w latach 1338-1339 przetoczyła się epidemia; inskrypcje na nagrobkach mówiły o tajemniczej „zarazie". Zespół Johannesa Krausego przebadał pochodzące z tych cmentarzy szkielety i – jak doniesiono w 2022 r. – odkrył na nich DNA *Y. pestis*.

Nie wiemy, czy właśnie tutaj zmarła pierwsza ofiara tej pandemii, ale badania sugerują, że do przeskoczenia patogenu na człowieka doszło w tym regionie. Te miejscowości znajdowały się zaś na jedwabnym szlaku, ich mieszkańcy utrzymywali relacje handlowe z odległymi zakątkami globu – co zadecydowało o losie nawet połowy ówczesnych Europejczyków (ok. 50 mln osób), głównie z zachodu kontynentu.

Na niektóre regiony – tereny współczesnej Polski czy Finlandii – czarna śmierć wywarła minimalny wpływ. Świadczą o tym zarówno źródła historyczne, jak i wyniki badań środowiskowych. W 2022 r. zespół Adama Izdebskiego przeanalizował skamieniałości pyłku roślin z wielu europejskich stanowisk i wykazał, że uprawa roli na wielu polach środkowej czy wschodniej Europy nie została w czasie pandemii zakłócona. Na zachodzie wiele wcześniejszych pól zarosły dzikie rośliny.

Według historyka Şevketa Pamuka, populacja Europy wróciła do stanu sprzed pandemii dopiero po ok. 200 latach (nie wszędzie stało się to w tym samym tempie – nawiedzana przez kolejne fale pandemii Anglia odbudowała populację dopiero na początku XVIII w.).

Czarna śmierć nie była pierwszą pandemią dżumy, która dotknęła Europę. W 542 r. w Konstantynopolu wybuchła epidemia choroby znanej jako dżuma Justyniana. Prawdopodobnie została ona zawleczona na statkach przewożących zboże z Egiptu, gdzie rok wcześniej zanotowano zachorowania, a jej korzenie również sięgają Azji. W Bizancjum zachorował sam cesarz, choć on wyzdrowiał. W tym czasie w stolicy przebywał historyk Prokopiusz z Cezarei, który relacjonował, że w szczycie epidemii każdego dnia w mieście umierało 10 tys. osób.

Peter Frankopan, historyk środowiskowy i badacz dziejów Bizancjum, przytacza szacunki, wedle których z powodu dżumy Justyniana zginęło kilkadziesiąt milionów osób – nawet połowa populacji zamieszkującej europejskie, azjatyckie i afrykańskie wybrzeże Morza Śródziemnego. Inne oszacowania są bardziej ostrożne, ale dżuma Justyniana była jednym z najważniejszych wydarzeń, które wpłynęły na kształt świata u progu średniowiecza. Co ciekawe, dopiero od niedawna dysponujemy dowodami na to, że spowodowała ją rzeczywiście *Y. pestis*. Wiemy już także, że zaraza dotarła do terenów położonych w centralnej Francji i Niemczech, bo DNA patogenu znaleziono na szkieletach pochowanych tam osób. Kolejne ogniska zachorowań pojawiały się aż do połowy VIII wieku.

Co się stało w neolicie

W ciągu ostatnich kilkunastu lat ślady dżumy znaleziono na szczątkach ludzi żyjących nawet przeszło 5 tys. lat temu, czyli jeszcze w epoce kamienia. Przykładowo: w 2024 r. Frederik Seersholm i współpracownicy opisali ślady *Y. pestis* na kilkunastu szkieletach neolitycznych rolników ze Skandynawii, reprezentujących sześć pokoleń (przebadano ponad 100 szczątków na ośmiu cmentarzach). W czerwcu tego roku Ruairidh Macleod i współpracownicy donieśli o epidemii sprzed 5,5 tys. lat, która dotknęła populację łowców-zbieraczy nad jeziorem Bajkał (bakterię znaleziono na czterech cmentarzach, występowała na ok. 40 proc. przebadanych szkieletów). A w lipcu Bing Sun i współpracownicy opisali ślady *Y. pestis* na szkielecie z Chin datowanym na przeszło 5 tys. lat i pokazali, że szczepy bakterii występujące w populacjach żyjących od Chin po Skandynawię były blisko spokrewnione – co sugeruje, że choroba już w epoce kamienia rozprzestrzeniała się na całym kontynencie.

Dlatego coraz częściej w literaturze naukowej mówi się o tym, że to właśnie dżuma była przyczyną załamania demograficznego, do którego doszło w neolicie między 5 i 6 tys. lat temu w Europie, choć ta hipoteza nadal jest dyskusyjna. Wiemy jednak, że najstarsze szczepy *Y. pestis* nie posiadały wszystkich adaptacji umożliwiających skuteczną transmisję przez pchły. Przystosowania te wykształciły się stopniowo, prawdopodobnie ponad 4 tys. lat temu. Jeśli więc faktycznie doszło do prehistorycznej pandemii dżumy, to jej mechanizm rozprzestrzeniania się, a może także postać choroby, mogły być inne niż w średniowieczu czy współcześnie.

Według wspomnianego już Johannesa Krausego, hipoteza prehistorycznej pandemii (lub serii niezależnych epidemii) dobrze wpisuje się jednak w scenariusz częściowej wymiany populacyjnej, do której doszło w Europie. Geny pierwszych europejskich rolników w dużej mierze zostały zastąpione genami migrantów z azjatyckich stepów (niemal całkowicie na północy kontynentu, w mniejszym stopniu na południu), będących hodowcami zwierząt. To także najprawdopodobniej oni sprowadzili na te tereny języki indoeuropejskie, podczas gdy reliktem mowy pierwszych rolników może być m.in. język baskijski. Być może nowi przybysze łatwo osiedlili się więc w Europie, ponieważ wcześniej populacje rolników zdziesiątkowała dżuma. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

ELIZA

Kącka:
Nie jesteśmy udomowieni



Pociąg do Krakowa, ludzi dużo, siedzę w centrum żywo nawijającej grupki dziewcząt. Siódemka licealistek. Moja sąsiadka patrzy mi namiętnie w ekran laptopa. Szatynka: „Ogólnie to ja uważam, że nie ma sensu rozmawiać o starych książkach bez retellingu". Sąsiadka: „Ej, ale raz mi powiedzcie, co to jest...?". Ruda: „Retelling? No weź. Że na nowo, z innej perspektywy opowiadasz historię". „Z jakiej?". „Wybierasz. Chodzi o to, że jakby masz gdzieś jakby co jakiś pisarz chciał jakby przekazać. Zabierasz mu jakby fabułę". Sąsiadka: „Ale to jeszcze ta sama fabuła?". Szatynka: „A co cię to obchodzi. Gadasz o Prusie ogólnie". Ruda: „I jakby super jest to, że nie musisz nic wiedzieć o historii jakby, bo mówisz: »Dla mnie to ma sens tylko z perspektywy kobiet«. No i jakby wybierasz jedną. Umówmy się, co byś nie powiedziała, będzie lepsze od »Lalki«". Szatynka: „Fakt". Ruda: „Mój chłopak jakby wziął na prezentację »Mistrza i Małgorzatę«". Sąsiadka: „O jaaa...". „No wiem, ale czymś się trzeba jakby zająć. I powiedział, że jakby jedyna rzecz, jaka ma sens w tej książce, to jest retelling Ewangelii, no nie?". Szatynka: „No tak". Sąsiadka: „A gdzie?". Ruda: „No Piłat. I ten Jezus jakby. Ale to jest przynajmniej o czymś". Szatynka: „No Biblia ogólnie jest o czymś". „No i mój powiedział, że ogólnie to ta książka jest już nie do czytania, ale motyw z Ewangelii można skomentować". Sąsiadka: „Ale co z retellingiem?". Ruda: „No po prostu ta książka to robi z Piłatem". „Ale po co?". „Mój chłop uważa, że ta powieść jest w sumie o tym, że zło jest głupie. I dlatego została tak źle napisana. Łapiecie? No i w kontraście jest ten Jezus jakby, który jest dobrem, wiadomo". Szatynka: „Mocne". Ruda na entuzjazmie: „Mocne. Teza jest konkretna. No i jakby nie musimy udawać, że fabuła nas obchodzi". Szatynka: „Retellingiem można każdego załatwić". „Otóż to".

Tramwaj 11, jazda ku Sielcom. „To pani jest ta pani od felietonów?". „Aha". Starsza kiele siedemdziesiątki przygląda się moim torbom. „Hm, to jest jakaś dieta szczególna?". „Felietonistki? E, nie". „Widzę kilka typów orzechów. Podobno można żywić się tylko orzechami". „Podobno. Tak czy owak, robią to wiewiórki". „Pani to kupuje dla wiewiórek?!". „A tak". „Powodzi się". „Zakumplonym wiewiórkom: owszem". „Przesada, proszę pani, to dzikie zwierzęta". No cóż, stawiam – potępiona – torbę z orzechami na podłodze tramwaju. Z pobliskiej niszy siedzeniowej uśmiecha się do mnie starszy gość: „Pani się nie przejmuje. Trudno się tłumaczyć, że karmimy wiewiórki, prawda?". „Ano". „To jest niby jakaś aberracja, no nie? Sąsiedzi mnie nie rozumieją, bo oni mają zwierzęta domowe, inwestują w nie. Kupują frykasy, żeby nie było. A ja finansuję gryzonie, które nigdy nie stworzą ze mną domu". „Haha, nie kumuluje pan kapitału! Trzeba żywić tylko swoich". „Co z tego, kocham je...". „No, przyznam, ja też". „Wiewiórki odwiedzają mnie od sześciu lat. Mam to szczęście, że mój parapet jest częścią nienaziemnej trakcji. One sobie biegają. I wpadają. Wie pani, ostatnio te moje zaczęły jeść migdały". Starsza: „Migdały!". Starszy: „Tak, rozumiem, we łbie się poprzewracało. Ale kotkowi to się drogie żarcie kupi". „Kot to nie wiewiórka!". „No to mamy spór, pszepani, wiewiórka nie jest wcale taka znowu głupsza od kota". „Eee, to dzikie zwierzę". „Każde wybiera, czy chce być udomowione". „Co też pan bredzi". „Nie bredzę". Mówię: „Grupka, którą wspieram orzechami, migdałów nie chce, nie udało się". „A biorą z ręki?". „Nie". „Ja codziennie stoję i czekam, czy wezmą, może kiedyś". Starsza: „Wariaci". Starszy: „A tak. Po śmierci mojego syna jestem już sam na świecie. Mógłbym tylko czekać na zgon albo wojnę". „To pieska by pan wziął, kotka". „Nie. Nie chcę nikogo przywiązywać do siebie. Nikogo adoptować. Dość już się nazajmowałem". „Dzisiaj ludzie tacy nieużyci...". On, przetrawiając wzruszenie czy złość, chyba jedno i drugie: „Proszę pani, kawał życia spędziłem na misjach humanitarnych, adoptowałem dziecko, wyciągałem z choroby żonę i syna, no cóż, mimo lat walki wręcz przeżyłem tylko ja. Zawsze byłem na poligonie. Proszę mi nie wygłaszać kazań bez znajomości frontu. Teraz karmię wiewiórki, niedługo odejdę. One też będą mogły odejść. Dobrze, że nie są udomowione. Też już nie jestem". Uśmiecham się: „Na tym świecie nie jesteśmy udomowieni". „Ano".

Jazda autobusem 116 na Mokotów. Tłumek, ścisk. Tuż za mną kobieta w moim wieku nadaje w komórkę na ekscytacji. Słucha cały autobus: „Dzięki, dzięki, normalnie życie mi zrobiłaś". Pauza. „Za co?!! Za cynk". Pauza. „Słuchaj, on mnie minął o ramię normalnie". Pauza. „Tak, Dorociński, matko, on jest piękny. On ma na żywo lepszą twarz niż w mediach". Pauza. „Jak nie kojarzysz, no Wokulski". Pauza. „Trzeba było iść ze mną. Zdjęcie bym miała". Pauza. „No stałam obok. I wiesz, ja bym tę lekturę inaczej napisała. Tak po tym spotkaniu myślę". Pauza. „Słuchaj, no jego nie można nie chcieć. Ma pieniądze, chce mu się, no nie, jest napalony. I wygląda jak Dorociński. To ja pytam: co poszło nie tak?". Pauza. „Nie no, po prostu »Lalkę« powinien napisać ktoś inny. Jak stałam przy Dorocińskim, to jakby mnie objawienie wzięło". Pauza. „Nie no, po prostu: on zasługuje na lepszego pisarza. Jakby rozumiem, że szanujemy Prusa, ale tę historię powinien dostać ktoś inny, łapiesz?". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).



Kto będzie leczył?

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Algorytm potrafi znaleźć ślady rzadkiej choroby w milionie kart pacjentów albo zauważyć podejrzaną zmianę poza głównym obszarem badania. Ale stosowany nieostrożnie może też podsunąć błędną diagnozę, której lekarz nie zakwestionuje. Sztuczna inteligencja coraz lepiej radzi sobie w medycynie. Teraz trzeba nauczyć się korzystać z niej bez nadmiernego zaufania.

Ponad 1,3 miliona pacjentów, 356 podejrzanych przypadków i 13 potwierdzonych rozpoznań. Tak wygląda bilans badania, w którym sztuczna inteligencja przeszukiwała dokumentację z 14 polskich placówek medycznych. Szukała śladów nocnej napadowej hemoglobinurii, rzadkiej choroby krwi, która może prowadzić do ciężkiej niedokrwistości i groźnych zakrzepów. Jej objawy bywają niespecyficzne, dlatego chorzy często długo czekają na rozpoznanie.

Wyniki opublikowano w lipcu 2026 r. w „npj Digital Medicine". Algorytm opracowała polska firma Saventic Health we współpracy z polskimi lekarzami i AstraZeneca. Jednym z autorów publikacji był Robert Dewor, dyrektor medyczny AstraZeneca Polska.

Algorytm analizował wyniki laboratoryjne, historię chorób i notatki lekarskie. Wypatrywał charakterystycznych kombinacji objawów, które mogły umknąć uwadze lekarzy. W nocnej napadowej hemoglobinurii czerwone krwinki są pozbawione białek chroniących je przed działaniem tzw. układu dopełniacza, części układu odpornościowego. W efekcie organizm niszczy własne krwinki, a chorzy mogą odczuwać zmęczenie, duszność czy bóle brzucha. Każdy z tych objawów występuje jednak również w znacznie częstszych schorzeniach.

„Żadne modele na dziś nie podają diagnozy i nie biorą za nią odpowiedzialności" – mówi Dewor. Lekarze oceniali wskazania algorytmu i decydowali o dalszych badaniach. Komputerowa aplikacja pomagała odnaleźć osoby wymagające uwagi. Wykrycie nieświadomych niczego chorych na rzadką i potencjalnie niebezpieczną chorobę to sukces, ale sam Dewor zastrzega, że podobne narzędzia należy stosować z rozwagą. „Możemy sobie wyobrazić, że tego typu, niewystarczająco precyzyjny model zacznie zalewać system opieki zdrowotnej fałszywymi potencjalnymi pacjentami i powodować niepotrzebne obciążenia" – zastrzega badacz.

To jeden z przykładów zastosowań AI, o których dyskutowano 3 października podczas panelu „Kto będzie leczył: człowiek czy AI?" na Festiwalu Przemiany w Centrum Nauki Kopernik. Uczestniczyli w nim prof. Łukasz Kołtowski, kardiolog z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, oraz Robert Dewor. O diagnostyce, nowych lekach i odpowiedzialności za decyzje podejmowane z pomocą algorytmów rozmawiali również w podkaście „Tygodnika Powszechnego".

DOKTOR CHAT NIE DOPYTA

Profesor Kołtowski nie ma nic przeciwko pacjentom, którzy przed wizytą konsultują swoje objawy z Chatem GPT. „Wcześniej był doktor Google, teraz doktor Chat, a w przyszłości będą jeszcze inni doktorzy. Tego nie przeskoczymy" – mówi. „Mam wrażenie, że dzisiaj pacjenci po prostu przygotowują się do wizyty i ta dyskusja później jest bardziej merytoryczna".

Problemem nie jest jednak sama wiedza modelu, lecz rozmowa z nim. Pokazało to badanie naukowców z Uniwersytetu Oksfordzkiego, opublikowane w lutym 2026 r. w „Nature Medicine". Kiedy modele językowe otrzymywały gotowe opisy przypadków, poprawnie wskazywały schorzenie w 94,9 proc. sytuacji. Gdy uczestnicy sami rozmawiali z modelami, odgrywając role osób z problemami zdrowotnymi, właściwe rozpoznanie pojawiało się w mniej niż 34,5 proc. przypadków. Korzystanie z AI nie dawało przewagi nad innymi źródłami informacji. W czym problem? Badacze wskazują, że uczestnicy nie zawsze umieli precyzyjnie opisać objawy, a modele nie zadawały odpowiednich pytań uzupełniających.

Profesor Kołtowski zaznacza, że powstają już wyspecjalizowane systemy uczone prowadzenia wywiadu lekarskiego. Rozpoznają potoczny język i potrafią dopytywać o objawy. Nadal jednak mają ograniczenia. „W trakcie spotkania z pacjentem »boli mnie« można powiedzieć na kilka różnych sposobów i jeden z nich będzie bardziej przeko-

nujący, drugi mniej. Mowa ciała i intonacja cały czas są w dużej mierze poza czatem, a my jako lekarze zwracamy na to uwagę" – wyjaśnia.

PATRZ NA RĘCE MASZYNY

Znacznie bardziej zaawansowane jest zastosowanie AI w diagnostyce obrazowej. Algorytmy wspomagają interpretację zdjęć rentgenowskich, tomografii komputerowej czy mammografii. Profesor Kołtowski podaje przykład badań serca. Lekarz skupia się na narządzie, którego dotyczy skierowanie, choć na obrazie widać również sąsiednie struktury. System może zwrócić uwagę na podejrzaną zmianę poza sercem, przekierowując uwagę opisującego badanie.

Skuteczność algorytmów zależy jednak od danych, na których zostały wytrenowane. Program działający bardzo dobrze w jednym szpitalu może osiągać znacznie gorsze wyniki w innym, gdzie używa się odmiennego sprzętu albo leczy pacjentów o innej charakterystyce. Profesor Kołtowski zwraca uwagę, że takie pogorszenie skuteczności jest dobrze znanym problemem medycznej sztucznej inteligencji.

Wraz ze wzrostem skuteczności sztucznej inteligencji pojawia się inny problem. Lekarze mogą stopniowo przyzwyczajać się do tego, że komputer zazwyczaj ma rację, i ograniczać kontrolowanie jego wskazań. „Jeżeli jakieś urządzenie często popełnia błąd, to my je sprawdzamy, bo nasz układ nagrody się aktywuje: »Złapałem go, znowu go złapię«" – tłumaczy prof. Kołtowski. „Ale jeżeli to jest jeden błąd na tysiąc, dziesięć tysięcy czy milion, to będę uśpiony".

Prawidłowo działający algorytm może natomiast poprawiać trafność rozpoznań, zwłaszcza u specjalistów z mniejszym doświadczeniem. „Młody specjalista, który normalnie radzi sobie gorzej niż doświadczony lekarz, wyposażony w taki model zaczyna osiągać wyniki zbliżone do doświadczonego specjalisty" – podkreśla Dewor.

Profesor Kołtowski porównuje nadzór nad algorytmami do kontroli innych wyrobów medycznych. Rozruszniki serca czy pompy infuzyjne muszą spełniać wymagania bezpieczeństwa, a po wprowadzeniu na rynek ich działanie nadal jest monitorowane i, gdy to potrzebne, poprawiane. Podobnie powinno być z systemami diagnostycznymi. „To jest normalna rzecz, trochę jak akcje serwisowe w samochodach" – mówi kardiolog. Jeśli narzędzie zaczyna działać gorzej albo pojawiają się niebezpieczne błędy, producent i odpowiednie instytucje muszą reagować.

Duże nadzieje wiążą się także z zastosowaniem narzędzi AI w tworzeniu nowych leków. Sztuczna inteligencja pomaga analizować dane biologiczne, projektować i wybierać cząsteczki, które warto poddać dalszym badaniom. „Im wcześniejsze etapy rozwoju, tym większy jest udział sztucznej inteligencji" – mówi Dewor. Analiza opublikowana w 2024 r. w „Drug Discovery Today" wskazywała, że związki odkryte z pomocą AI częściej przechodziły pierwszą fazę badań klinicznych. W drugiej fazie, kiedy ocenia się skuteczność terapii, odsetek powodzeń wynosił jednak około 40 proc., podobnie jak średnia dla wszystkich badanych terapii.

Algorytmy nie usuną wszystkich ograniczeń badań klinicznych. Rozwój nowych terapii wymaga rygorystycznego podejścia i często wieloletniej obserwacji pacjentów. AI może pomagać analizować wyniki, przygotowywać protokoły badań i dokumenty rejestracyjne, ale nie zastąpi sprawdzania skuteczności i bezpieczeństwa leków u ludzi. „Dla właściwej i rzetelnej oceny profilu skuteczności i bezpieczeństwa leku nie możemy sobie pozwalać na żadne kompromisy. Nie ma na nie miejsca tam, gdzie chodzi o życie i zdrowie ludzi " – zaznacza Dewor.

DLACZEGO SKUTECZNY ALGORYTM NIE TRAFIA DO SZPITALA?

Profesor Kołtowski przypomina doświadczenia z rozwojem telemedycyny w Polsce od około 2014 r. Powstały tysiące pomysłów na zdalne monitorowanie pacjentów, ale tylko nieliczne weszły do codziennej praktyki. Z AI może być podobnie. Firmy technologiczne potrafią udowodnić skuteczność rozwiązania, lecz jego wykorzystanie wymaga jeszcze decyzji organizacyjnych i finansowych.

„Krótkoterminowo to wszystko będzie zwiększało jakość, ale będzie też zwiększało wydatki na ochronę zdrowia. A mam wrażenie, że raczej wszyscy mają pomysł, jak te wydatki redukować, niż inwestować. Pamiętajmy, że w dłuższej perspektywie mówimy o oszczędnościach wynikających z lepszej alokacji zasobów" – zauważa Kołtowski.

Dodatkową trudnością jest rozdrobnienie technologii. Inny algorytm analizuje EKG, inny zdjęcia płuc, jeszcze inny wyszukuje pacjentów zagrożonych konkretną chorobą. Każdy wymaga osobnej oceny, wdrożenia i finansowania.

Profesor Kołtowski proponuje wykorzystanie istniejącej infrastruktury elektronicznej dokumentacji medycznej. Algorytmy mogłyby działać centralnie albo lokalnie w placówkach, bez konieczności przenoszenia danych osobowych. Jego pomysł „e-przesiewu" zakłada, że po wykryciu podejrzanego przypadku system przekazywałby informację lekarzowi wraz ze wskazaniem odpowiedniej ścieżki diagnostycznej. Lekarz mógłby następnie skontaktować się z pacjentem i wystawić skierowanie.

„Najtrudniejsze jest pokazanie, że to działa" – mówi prof. Kołtowski.

LEKARZ POZOSTANIE POTRZEBNY

Profesor Kołtowski nie spodziewa się, że w ciągu najbliższych pięciu lat sztuczna inteligencja całkowicie odmieni sposób leczenia. Jego zdaniem nadal będziemy dyskutować o refundacji, skuteczności i odpowiedzialności za błędy. W dłuższej perspektywie lekarze korzystający z dobrze sprawdzonych algorytmów mogą jednak osiągać lepsze wyniki niż ci, którzy z nich rezygnują.

Kardiolog dostrzega również zjawisko idące w przeciwnym kierunku. „Po okresie zachłyśnięcia się cyfryzacją coraz częściej słyszę od pacjentów, że chcą usiąść i porozmawiać".

Dewor wskazuje, że większość aktualnie dostępnych i rozwijanych systemów AI wykonuje wąsko określone zadania. Nie zastępują całościowego podejścia lekarza, który zbiera wywiad, bada pacjenta, interpretuje różne informacje i podejmuje decyzje terapeutyczne. Nadal daleko im do „diagnostycznej maszynki", która potrafiłaby samodzielnie ocenić stan zdrowia człowieka. Ale zwłaszcza tam, gdzie lekarze są nieliczni i przepracowani, mogą być niezastąpionym wsparciem. Tam, „gdzie rzeczywiście dostęp do lekarza jest bardzo trudny, rola sztucznej inteligencji może paradoksalnie być w pewnym momencie większa niż w wysoko rozwiniętych krajach takich jak Polska w poprawie dostępu do właściwej opieki medycznej" – mówi Dewor.

Profesor Kołtowski przewiduje również rozwój algorytmów, których zadaniem będzie kontrolowanie innych algorytmów. Mogłyby wykrywać błędy umykające uwadze człowieka przyzwyczajonego do poprawnych odpowiedzi. Odpowiedzialność za decyzje medyczne pozostaje jednak po stronie ludzi. ©



Robert Dewor – lekarz i menedżer, ekspert w obszarze innowacji i AI w medycynie.



Prof. dr hab. n. med. i n. o zdr. Łukasz Kołtowski – kardiolog interwencyjny, badacz AI i technologii cyfrowych w medycynie.

MATERIAŁ PARTNERA

NATALIA

de Barbaro:
O roztrzaskanych założeniach



Kiedy szliśmy tamtą ścieżką przez jesienne ściernisko, zobaczyliśmy nadchodzącą z naprzeciwka młodą kobietę, której towarzyszył czarny wilczur. Nasz Marley, niezwykle przyjazny światu retriever, zatrzymał się, warknął i zmarszczył nos. I to było nowe, bowiem dotąd na widok innych psów tylko merdał ogonem, a właściwie – całym tyłem ciała.

Ale nie byliśmy zaskoczeni. Kilka tygodni wcześniej, na rodzinnych wakacjach, pojechaliśmy z Marleyem do przydrożnej restauracji, na drzwiach której wisiał radosny napis „Zapraszamy z pieskami!". Kiedy jedliśmy swoje pierogi na tarasie, nagle zza płotu wyskoczył duży wilczur (jak się później okazało, pies właścicieli) i dosłownie rzucił się na Marleya. Szczegółów tego, co wydarzyło się potem, pozwól, Czytelniku, że Ci oszczędzę – ostatecznie wszystko zakończyło się dobrze, jeśli nie liczyć siedmiu szwów na ręce mojego męża. No i jeśli nie liczyć tego nowego, posttraumatycznego odruchu Marleya na widok wilczurów. Ile wilczurów spotkał wcześniej? Ile wcześniej domyślnie uznał za swoich przyjaciół?

Trauma rządzi się własną logiką. Lekceważy statystykę, proporcje, rachunek prawdopodobieństwa. Nie daje się przekonać, że coś wydarzyło się dawno i tylko raz. I u psów, i u *Homo sapiens*, podstawowym interesem, na straży którego stoi mózg, jest bezpieczeństwo i przetrwanie. Dlatego mózg nadaje doświadczeniom zagrażającym szczególną wagę, uznając, że lepiej dobrze zapamiętać jedno niebezpieczeństwo, niż przeoczyć je następnym razem. Dlatego jedno traumatyczne doświadczenie może ważyć więcej niż setki dobrych, które je poprzedziły, i kolejne setki, które po nim nastąpiły.

Ronnie Janoff-Bulman, amerykańska psycholożka społeczna, autorka książki, której tytuł można przetłumaczyć jako „Roztrzaskane założenia" („Shuttered assumptions"), dobitnie opisuje rządzące traumą mechanizmy. Według badaczki, zanim nastąpi trauma, opieramy się, niejako z automatu, na trzech założeniach: że świat jest zasadniczo życzliwy, że rządzi się zrozumiałymi regułami i że my sami jesteśmy wartościowi.

Kiedy w nasze życie wdziera się trauma, te założenia zostają roztrzaskane. Jak mam dalej wierzyć, że świat jest bezpieczny, skoro zostałem zaatakowany w biały dzień, na ulicy, którą chodziłem od lat? I jak mam wierzyć, że ludzie przychodzą sobie z pomocą, skoro podczas tamtej napaści przechodnie odwracali wzrok? Jak mam spokojnie zasypiać, skoro pewnej nocy obudził mnie ktoś, kto włamał się do mojego mieszkania? Jak wierzyć, że ostrożność chroni przed nieszczęściem, skoro jechałam zgodnie z przepisami, a pijany kierowca uderzył w mój samochód? Jak mam planować przyszłość, skoro jednego zwyczajnego ranka mój mąż wyszedł do pracy i już nigdy nie wrócił? Jak wierzyć, że moje ciało należy do mnie, skoro ktoś dotykał mnie wbrew mojej woli? Jak wierzyć, że mój głos ma znaczenie, skoro krzyczałam, żeby przestał, a on nie przestawał?

Siedzimy pośród odłamków roztrzaskanych założeń i chociaż nasze życie może toczyć się pozornie po staremu, mentalnie nie potrafimy zrobić ani ruchu.

Co leczy? Na pewno nie zagłuszanie. Leczy terapia, zwłaszcza te jej nurty, które specjalizują się w pracy z traumą i mają udokumentowane efekty. Ale też – codzienna obecność choćby jednego człowieka, przy którym nie musimy być dzielni, uśmiechnięci i zapewniający, że już lepiej, właściwie już całkiem dobrze. Leczy poszukiwanie i odzyskiwanie swojego wpływu. Leczy troska o ciało: sen, spacer, oddech – to wszystko, co ciału pozwala choć na chwilę wyjść ze stanu alarmu. Pomaga ostrożne wracanie do miejsc i sytuacji, których zaczęliśmy unikać (pod warunkiem, że są naprawdę bezpieczne i że możemy to robić we własnym tempie). Leczy mozolne i wytrwałe gromadzenie nowego materiału dowodowego – na to, że świat (na ogół) jest bezpieczny, że ludzie są (na ogół) życzliwi, że nasz głos (na ogół) ma znaczenie.

Bo po traumie nie da się zapomnieć, że świat potrafi być okrutny. Ale niechby okrucieństwo świata nie miało w naszych sercach ostatniego słowa.

©

Natalia de Barbaro jest psycholożką, poetką, prowadzi autorskie warsztaty dla kobiet. Autorka bestsellerowej „Czułej przewodniczki", „Przędzy" i „Przejść".

Książki z Państwowego Instytutu Wydawniczego
chronią przed słotą, zimnem i brakiem słońca.



Zapraszamy do księgarni PIW-u przy ul. Foksal 17 w Warszawie,
do księgarń kameralnych i na piw.pl.

Osiemdziesiąt lat
Państwowego Instytutu
Wydawniczego
1946-2026

REKLAMA

ŚWIATY ZAKLĘTE W PIŚMIE. SKARBY BIBLIOTEKI KÓRNICKIEJ

Sto ważnych obiektów, dwieście lat Biblioteki Kórnickiej, sześć stuleci Zamku w Kórniku – album zaprasza do odkrywania wyjątkowej kolekcji bibliotecznej, w której piękno spotyka się z wiedzą, siłą pisma oraz polską kulturą i myślą, w szerszym europejskim oraz światowym kontekście.

W starych murach Zamku w Kórniku kryje się jedna z ważniejszych polskich kolekcji bibliotecznych, której budowanie rozpoczął w 1826 roku Tytus Działyński. Biblioteka Kórnicka, funkcjonująca dziś w strukturach Polskiej Akademii Nauk, kontynuuje idee fundatora, będąc zarazem nowoczesnym i otwartym miejscem naukowo-badawczym.



Gdy Biblioteka obchodzi jubileusze, nie może nie wydać książki – o samej sobie, rzecz jasna. Prezentowany album to precyzyjnie zaplanowana mozaika zbudowana ze średniowiecznych iluminowanych rękopisów, unikatowych starodruków, pergaminowych dokumentów z królewskimi podpisami, autografów kanonicznych utworów literackich czy osobistych świadectw. Złożona z dzieł szczególnie cennych, reprezentatywnych lub symbolicznych dla dziejów Biblioteki Kórnickiej, zaprasza do swego świata, w którym „skarb" pojmowany jest wieloperspektywicznie. Znajdziemy tu opływające złotem manuskrypty, ale też skromne zapiski ważnych rąk, przeniesiemy się do IX wieku, ale nie zapominamy o współczesności, a tradycyjnemu pismu oraz drukowi towarzyszą inne formy zapisu: rysunkowe czy fotograficzne.

Przekaz albumu jest dwutorowy – przemawia graficznie, obrazem, któremu towarzyszą krótkie, acz kipiące treścią noty. Teksty, przygotowane w rygorze zwięzłości przez grono badaczy i kustoszy,



stanowić mają zachętę do zanurzenia się w świat kórnickiej książnicy. Publikacja łączy rzetelną wiedzę z wizualnością zabytkowych obiektów, pozwalając na nie spojrzeć nie tylko jak na bezcenne źródła historyczne, lecz także jak na materialne świadectwa świata, który pozostaje żywy dzięki pamięci i trosce kolejnych pokoleń. Każda nota opowiada o ludziach, ideach i wydarzeniach, a zarazem odsłania fascynujące dzieje książki, piśmiennictwa i samej Biblioteki Kórnickiej.

To zaproszenie do odwiedzenia światów zaklętych w piśmie, do spotkania z pięknem, wiedzą oraz dziedzictwem, w którym zaszyfrowano historię Polski, Europy i ludzkich doświadczeń.



Światy zaklęte w piśmie. Skarby Biblioteki Kórnickiej

Redakcja: Magdalena Biniaś-Szkopek, Małgorzata Cieliczko, Magdalena Marcinkowska

Wydawcy: PAN Biblioteka Kórnicka, Wydawnictwo Naukowe FNCE

Kórnik 2026

(publikacja planowana na grudzień 2026)

wielkopolska
wielka historia
wielka przygoda

Dofinansowano ze środków Wielkopolskiej Organizacji Turystycznej w ramach nagrody dla laureata Konkursu Na Najlepszy Produkt Turystyczny Wielkopolski 2025.

MATERIAŁ PARTNERA

TYGODNIK POWSZECHNY

KSIĄŻKI W TYGODNIKU
magazyn literacki
„TP” 43/2026

literatura fantastyczna

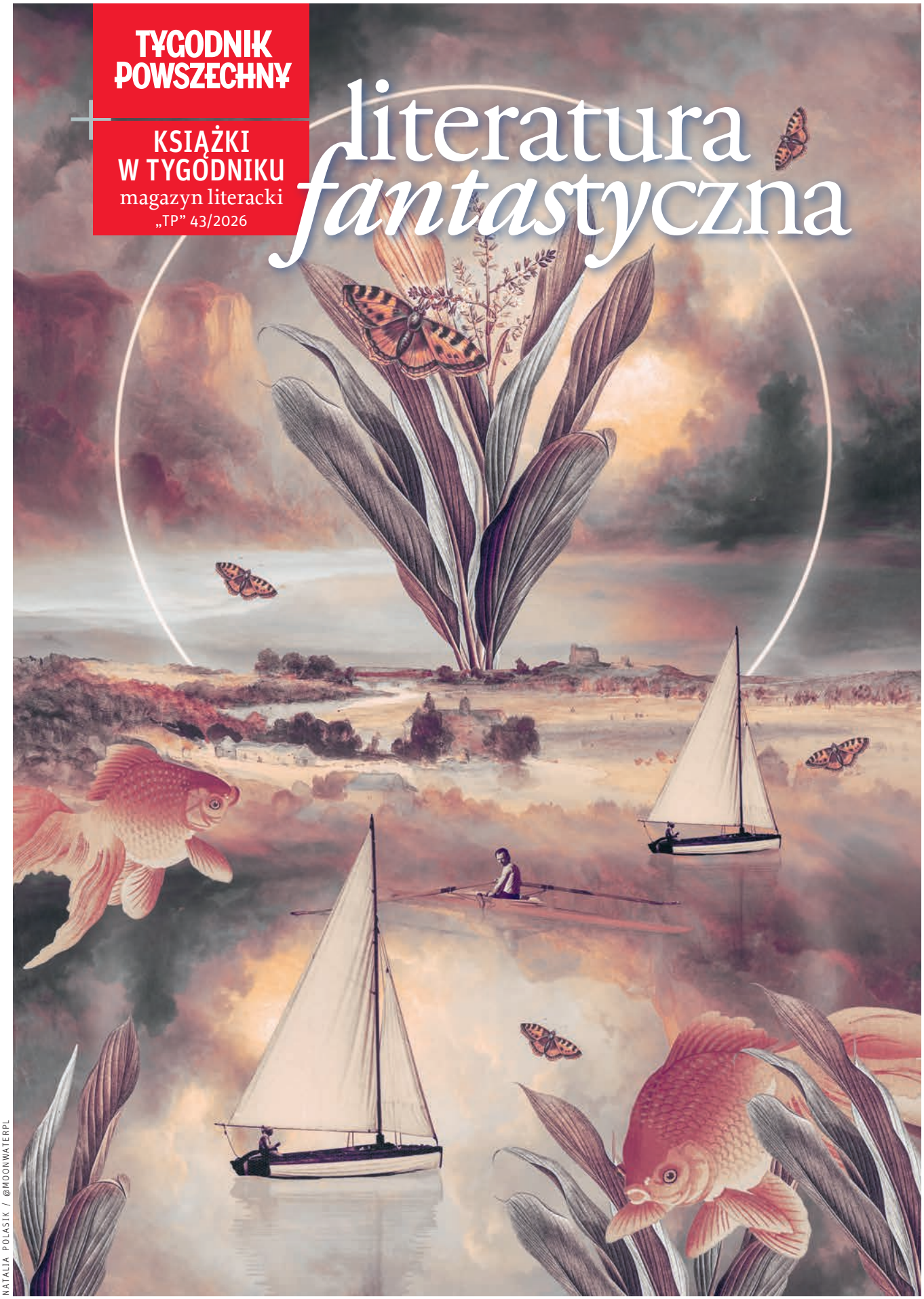

NATALIA POLASIK / @MOONWATERPL

Bez mapy

RADEK RAK

Polska literatura fantasy od początku swojego istnienia stała w poprzek światowych nurtów w gatunku. Spróbujmy zrozumieć, dlaczego tak jest.



Mnogość odmian literatury fantastycznej może przyprawić o zawrót głowy nawet kogoś, kto się na tym zaczarowanym archipelagu wychowywał, nie mówiąc o wędrowcu, który na te wody zapuszcza się rzadko lub przypadkowo.

Tym bardziej że wyspy te nieustannie zmieniają swoje linie brzegowe, dzielą się lub łączą w większe, nowe wynurzają się na powierzchnię, a inne giną w odmętach, prądy zaś są tu równie zmienne jak na innych literackich morzach.

Mylne jest przekonanie, że istnieją zasadniczo trzy krainy: *science fiction*, spoglądająca na sąsiadów trochę z góry; fantasy, któremu wszystko najlepiej się udaje, choć nie powinno, zupełnie jak najmłodszemu z trzech baśniowych braci; i horror, który jest trochę czarną owcą, a trochę udaje, że go nie ma.

Występują tu bowiem obszary sporne i kondominia, a także tereny, do których nikt się nie przyznaje, autonomie, enklawy i wolne miasta. Gdzie bowiem umieścimy „Inne pieśni" Jacka Dukaja czy liczne popularne do niedawna dystopie z „Opowieścią podręcznej" Margaret Atwood na czele, a także steampunk sprzed dekady, jest rzeczą bardzo umowną.

Liczenie smoków

Artykuły poświęcone fantastyce w prasie niefantastycznej bywają kuriozalne i w niezamierzony sposób zabawne. Niektóre doszukują się w niej tego, czego autor artykułu boi się najbardziej. Inne z kolei pisane są w (zapewne nieuświadomionym) duchu „biały człowiek odwiedza dzikusów"; szczęśliwie, o ile mi wiadomo, dzicy fantaści nie pożarli dotąd żadnego z tych dzielnych podróżników.

Mam nadzieję, że nie popełnię żadnego z tych nadużyć. Pisząc jednak o tak szerokim zjawisku, jakim jest fantastyka (choćby tylko fantasy i choćby wyłącznie polskie), nie sposób czegoś nie ominąć albo skrócić, a dobór przykładów zawsze będzie skażony subiektywnością. Mam nadzieję, że będzie mi to wybaczone.

Będę pisał głównie o fantasy, bo z całego tego archipelagu było mi zawsze najbliższe i uważam je za swój literacki dom. O *science fiction* napisano wiele w innych miejscach, a na horrorze się nie znam. Samo fantasy nie jest monolitem, jego podgatunki bywają do siebie podobne wyłącznie z wierzchu. Nie jest moim celem dzielić go teraz na odmiany *high, low, dark, heroic* czy jakieś tam jeszcze, bo przypomina to liczenie smoków na łebku od szpilki. Tym bardziej że polska literatura fantasy od samego początku swojego istnienia stała w poprzek światowych (czytaj anglosaskich) nurtów w gatunku. I zasadniczo tak ma do tej pory.

Aby zrozumieć, dlaczego tak jest, należałoby cofnąć się do początków fantasy w Polsce, a więc... do czasów raczej niedawnych. Oczywiście można wywodzić polskie fantasy od mistrzów romantyzmu, a każdy, kto w Polsce sięga dziś po ten gatunek, wchodzi w dialog ze Słowackim, choćby i nie chciał. Ale polska tradycja fantastyczna przez lata to niemal wyłącznie *science fiction* oraz trochę opowieści niesamowitych, jak opowiadania Stefana Grabińskiego, które można podciągać pod horror. Gatunkowe fantasy pojawia się w Polsce późno.

Brzydsza siostra

Za pierwszy taki tekst uznaje się powszechnie opowiadanie Jarosława Grzędowicza „Twierdza Trzech Studni" z wczesnych lat 80., ale niemal równocześnie pojawiają się opowiadania Jacka Piekary, Feliksa W. Kresa oraz innych twórców. Na opowiadania Andrzeja Sapkowskiego o wiedźminie poczekamy do 1986 r. Lata te są czasem świetności (a potem zmierzchu) polskiej socjologicznej fantastyki naukowej, na czele z Januszem A. Zajdlem, Edmundem Wnukiem-Lipińskim i Markiem Oramusem.

Fantasy nie pasuje do tego nurtu i niejako z marszu dostaje łatkę brzydszej (i głupszej) siostry w tej rodzinie. W tym czasie polscy czytelnicy znają już niektóre książki J.R.R. Tolkiena i Ursuli K. Le Guin, pojawiają się pierwsze tłumaczenia innych autorów, często klubowe, drukowane własnym sumptem, umykające cenzurze i dostępne niewielkiej liczbie osób. Wielu klasyków, jak Robert Howard, dopiero po 1989 r. utoruje sobie drogę do popularności w Polsce.

Inni, jak niesławna Marion Zimmer Bradley, nigdy szerzej nie zawładną sercami czytelników. Jeszcze inni, mimo że interesujący, doczekają się przekładów dopiero za wiele lat i w rezultacie dla polskiego czytelnika staną się raczej ciekawostką i nie wywrą nad Wisłą żad-



RYSZARD WOJTYŃSKI

nego wpływu. Jak Lord Dunsany, którego poważniejsza antologia ukazała się dopiero w 2023 r. w wybitnym przekładzie Macieja Płazy (wcześniej, bo w roku 2008, wydano u nas „Córkę króla Elfów"), a także trochę kuriozalny tom „Barbarzyńca i marzyciel", w którym prócz opowiadań Dunsany'ego znajduje się kilka przypadkowych tekstów Roberta Howarda; nic tu do niczego nie pasuje, ale też taki był urok wczesnych lat 90.

A są tacy, których do tej pory nie przełożono i nawet nie wiem, czy ma to jeszcze sens. Fantasy w Polsce ma już pozycje, które uważane są za klasyczne, i przełożenie teraz np. „The House of the Wolfings" Williama Morrisa, jednej z książek formacyjnych dla Tolkiena, niczego nie zmieni.

Po durszlak

W rezultacie polscy twórcy zawsze wchodzili do zaczarowanych krain z zupełnie innym bagażem kulturowym, a rodzime fantasy wyglądało inaczej niż na Zachodzie. Pierwszym, co rzuca się w oczy, jest jego nietolkienowskość, przynajmniej jeśli idzie o początki gatunku w Polsce. Owszem, powstawały powieści dziejące się w realiach przypominających europejskie średniowiecze, z mniej lub bardziej rozbudowaną historią świata, przeważnie bez mapy (gdy tworzenie map wydrwił Andrzej Sapkowski, niewielu miało odwagę zamieszczać je w swoich książkach), a występujące w nich konflikty etyczne były zupełnie odmienne od tych z „Władcy Pierścieni".

Od samego początku polskie fantasy było cięższe, mroczniejsze i bardziej przyziemne, a bohaterowie mniej oczywiści moralnie. Rodzime fantasy prędko skręciło w stronę „low" albo „dark". To bardzo ciemne baśnie, i czasami chyba wręcz celowo przyciemniane, jakby dla obrony przed zarzutami o infantylność (które zresztą padną i tak, zwłaszcza z ust tych, którzy czytali niewiele lub nic).

Ba, nawet przez samych twórców klasyczne fantasy bywało określane mianem „wyprawy garkotłuka po magiczny durszlak" (to barwne określenie przypisywane jest Annie Brzezińskiej). Niekiedy odnosi się wrażenie czytania raczej realistycznej powieści historycznej, tyle że rozgrywającej się w innym świecie – co prawda magicznym, lecz magia zwykle pojawia się w bardzo umiarkowanych ilościach. Awanturniczy duch Roberta Howarda mocno dominował nad baśniowością i epicką walką ze złem.

Warto zauważyć, że J.R.R. Tolkien nie nazywał powieściami fantasy „Hobbita" (wydany w 1937 r.) ani „Władcy Pierścieni" (wydany w latach 1954-1955). To określenie nie funkcjonowało zresztą w powszechnym obiegu aż do lat 60., a nawet później, choć sam gatunek istniał już przynajmniej pół wieku przed „Hobbitem" i miał się całkiem dobrze – na tyle, że w „Hobbicie" da się znaleźć miejsca, gdzie Tolkien subtelnie naśmiewa się z niego i wbija mu szpilkę.

Na słońce

Dopiero potężny sukces „Władcy Pierścieni" wymusił nadanie imienia temu fenomenowi literackiemu. Nie wiadomo dokładnie, kto pierwszy użył na jego określenie słowa „fantasy". Fritz Leiber (autor łotrzykowskich książek o Fafhrdzie i Szarym Kocurze) i Michael Moorcock (od m.in. antybohatera Elryka z Melnibone, który z pożerającym dusze mieczem wędruje po krainach będących tak naprawdę różnymi obszarami świadomości) zasugerowali znacznie w moim odczuciu trafniejsze *sword and sorcery*. Mianem tym określa się obecnie taki podgatunek fantasy, w którym zmieszczą się i historie o barbarzyńcy Conanie z Cymerii, i o wiedźminie Geralcie z Rivii, ale już z pewnością nie te o hobbitach palących fajki ani o szafach prowadzących do innych światów.

Sam Tolkien konsekwentnie używa tu słowa „baśń" (*fairy-story*). A czym dla niego one były, można przeczytać w jego eseju pod lapidarnym tytułem „O baśniach", opublikowanym w roku 1947, a wygłoszonym jako akademicki wykład jeszcze w marcu 1939 r. Celami baśni są według Tolkiena ucieczka, pocieszenie i uzdrowienie. Człowiek zostaje zatem dzięki baśni uleczony, a przy tym zyskuje szansę zajrzenia do innej rzeczywistości. ↦



RYSZARD WOJTYŃSKI

↦ Z tej krainy powraca on odmieniony, przewartościowuje swoje życie, a jego dotychczasowe więzienie przestaje mieć nad nim władzę. Zyskuje szerszy (a nade wszystko głębszy) ogląd swojego życia i staje się wewnętrznie silniejszy. W rezultacie jednak przestaje pasować do swojego dawnego życia, bo z Krainy Elfów nikt nie powraca nieodmienionym.

Dla Tolkiena najlepszą i największą z baśni była Ewangelia. Może to w pierwszej chwili dziwić, ale przestaje po uważnej lekturze jego książek. I baśnie, i wiarę brał Tolkien bardzo serio, a obie stanowiły igłę jego życiowego kompasu.

Wydaje mi się jednak, że takiego podejścia było w polskim fantasy niewiele. Łatwiej znaleźć w nim komentarz do rzeczywistości niż baśń. Paradoksalnie stało się o wiele bardziej realistyczne i przyziemne od *science fiction*, a nawet od tzw. literatury pięknej. Prościej znaleźć *science fiction*, które porywa się z rakietą na metafizyczne słońce – przykładem może być choćby powieść Istvana Vizvary'ego „Lagrange. Listy z Ziemi", laureatka Nagrody im. Janusza A. Zajdla z 2024 r. Fantasy raczej tego unika, mimo że pracuje na gołym micie i ma po temu lepsze narzędzia.

Oczywiście daje się znaleźć książki, starsze i nowsze, które są z ducha tolkienowskie, i to nawet jeśli nie czerpią z tolkienowskiego imaginarium i nie znajdziemy w nich smoków czy magicznych pierścieni. A może nawet zwłaszcza wtedy. Funkcjonują jednak przeważnie na obrzeżach fantastycznego głównego nurtu i wspomina się o nich rzadko.

„Gar'Ingawi Wyspa Szczęśliwa" Anny Borkowskiej (czyli Małgorzaty Borkowskiej OSB) wydana została w 1988 r., a więc rok po „Smokach Haldoru" Jacka Piekary, uważanej za pierwszą polską powieść fantasy. To opowieść o czekaniu na mesjasza albo kogoś bardzo do niego podobnego, o małych rękach poruszających historią świata, o wielkich, którzy zostają zapomniani, o dobru, które wydaje się małe i słabe, i o złu, które przytłacza i które w powszechnym mniemaniu (a zwłaszcza we własnym) wydaje się nie do poruszenia.

Co przepadnie, a co zostaje zachowane na Wyspie Szczęśliwej, której mieszkańcy niczemu się nie dziwią, na tym bowiem między innymi polega szczęście – okazuje się tu bardzo zaskakujące i często sprzeczne z ludzką perspektywą oraz widzeniem dziejów. Ale „Gar'Ingawi" to powieść, która nie wyrasta z porządku ludzkiego, tylko boskiego. Przy okazji, jak w każdej pełnoprawnej powieści fantasy, świat oprócz ludzi zasiedlają różne bardzo dziwne rasy, zupełnie przy tym nietolkienowskie i mnie osobiście przywodzące raczej na myśl ilustracje Daniela Mroza do książek Lema i nie tylko. Aha, są też tu piraci.

Baśń i mit

Tolkienowskie z ducha są najwcześniejsze książki Wita Szostaka o góralach, z nowszych zaś ten mitopeiczny ogień podtrzymuje „Daraena" Marty Kładź-Kocot, książka o tyle przewrotna, że cała rzeczywistość mityczna jest tu ciężarem przygniatającym człowieka, który pragnie tylko, aby bogowie dali mu spokój. Siły rządzące światem są bowiem człowiekowi obce i niezrozumiałe, sieją w jego życiu zamęt i spustoszenie, stanowią zagrożenie, przed którym należy się zabezpieczać i z którymi nie można nawiązać rozumianej po ludzku relacji.

Tym sposobem „Daraena" jest jednocześnie tolkienowska i antytolkienowska: po tolkienowsku rozumie baśń i mit, lecz nadaje im przeciwny wektor. Nie unieważnia ich, są bowiem czymś, co realnie istnieje i działa, a nie czymś, co daje się zbyć wzruszeniem ramion jako wytwór ludzkiej słabości, strachu, zacofania i niedostatku intelektualnego. A lekceważące podejście do siły mitu bywało (i bywa) jedną z głównych przewin fantasy.

Takie baśnie można więc znaleźć, jeśli wie się, gdzie szukać. Nie ulega wątpliwości, że znacznie większy wpływ na obraz polskiego fantasy wywrą teksty odmienne, z cyklem o wiedźminie na czele. A Wiedźmin pochodzi już z zupełnie innego porządku. © RADEK RAK

Kolejne odcinki tekstu Radka Raka o polskiej fantastyce w najbliższych wydaniach „Tygodnika Powszechnego".

REKLAMA

PREMIERY JESIENI

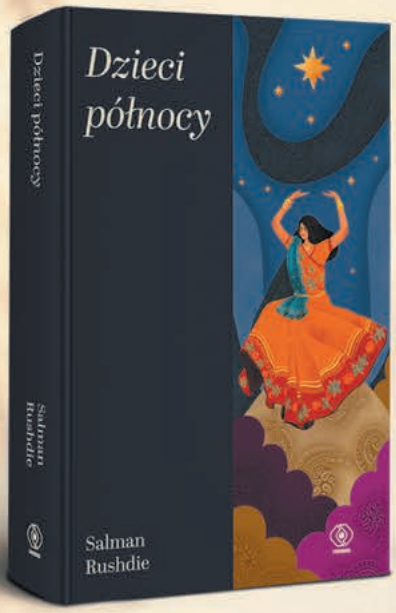

Booker Bookerów – obszerna, epicka opowieść będąca splotem rzeczywistości i imaginacji



Pełna magii literatura, w której przenikają się wiejski folklor i codzienność blokowisk

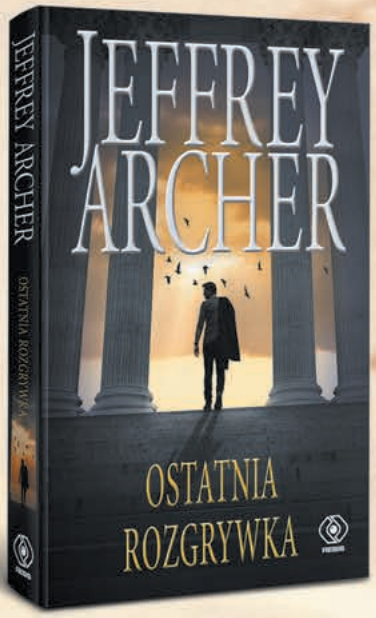

Między triumfem a katastrofą stoi jeden człowiek. Ostatni tom cyklu o Williamie Warwicku



Wolne, niezależne, wykształcone. Niezwykła historia o przezwyciężaniu przeciwności, odwadze i zwycięstwie

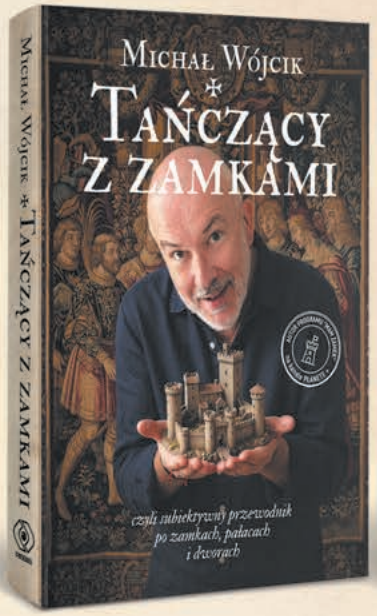

Subiektywny przewodnik po zamkach, dworach i pałacach – poznaj ich duszę i tajemnice

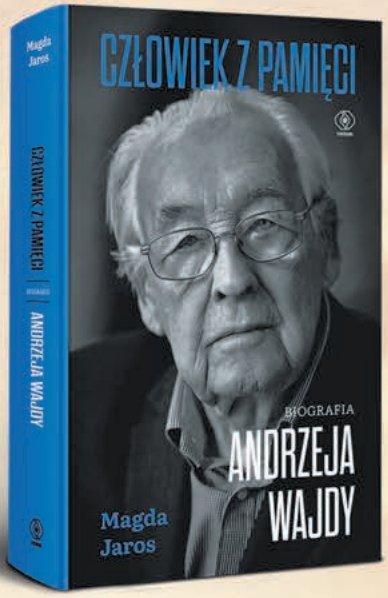

Fascynująca opowieść o artyście, który stworzył filmowy portret Polski i sam stał się częścią jej historii

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. www.rebis.com.pl

FB/DWREBIS @dom_wydawniczy_rebis

Odyseusz fantastyczny

ŁUKASZ MUSIAŁ

Jego powieścią zachwycali się Virginia Woolf, Jorge Luis Borges oraz Stanisław Lem. Ze wszystkich opinii biła pewność, że oto objawił się autor wyjątkowy.

Istnieje wiele dokładnych map historii literatury. Mapy zbyt dokładne bywają jednak całkiem do niczego. Zwłaszcza gdy poszukujemy szlaków, którymi wędrowali tak zwani twórcy osobni, zapraszający do podróży w nieznane. Na nic wtedy eleganckie wykresy, które dają przyjemne poczucie, że literacki kosmos rządzi się w pełni zrozumiałymi prawami. Przecież ten kosmos w rzeczywistości często zaprasza do gry na dezorientację. To dopiero jest przygoda!

Takie myśli przychodziły mi do głowy, gdy dosłownie zatopiłem się w lekturze powieści Olafa Stapledona „Twórca gwiazd". Wydano ją niedawno w nowym polskim przekładzie. Sam Arthur C. Clark reklamował ją kiedyś jako największe w dziejach literatury dokonanie ludzkiej wyobraźni. Wielu innych wytrawnych czytelników również było zachwyconych tą powieścią *science fiction*, choćby Virginia Woolf, Winston Churchill, Jorge Luis Borges, Doris Lessing czy Stanisław Lem.

Ze wszystkich opinii biła pewność, że oto objawił się autor wyjątkowy, który wymaga oddania się literaturze, jakby wcześniej niczego się jeszcze nie czytało.

Spokój i harmonia

Olaf Stapledon urodził się 10 maja 1886 r. nieopodal Liverpoolu. Z obszernego posłowia Macieja Świerkockiego, kongenialnego tłumacza „Twórcy gwiazd", dowiadujemy się, że wczesne dzieciństwo spędził w Egipcie, gdzie pracował jego ojciec. Anglia stała się jego domem dopiero wtedy, gdy zaczął chodzić do szkoły. Kilkanaście lat później skończył historię w Oxfordzie, po czym krótko wykonywał zawód nauczyciela, a następnie, też bez powodzenia, pracował w należącym do jego rodziny biurze spedycyjnym.

Powrócił do uczenia, tym razem w szkole dla dorosłych, a gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, został powołany do wojska. Będąc zdeklarowanym pacyfistą, uniknął skierowania w obszar bezpośrednich działań frontowych, jednak ustrzec się koszmarów wojny oczywiście nie mógł. Jako kierowca ambulansu wojskowego miał z nimi do czynienia na co dzień. Wojenne traumy będą go prześladować aż do śmierci.

W 1919 r. pisarz ożenił się ze swoją australijską kuzynką i wkrótce młodzi małżonkowie przeprowadzili się do własnego domu w West Kirby, gdzie spędzili następne dwie dekady. Tworząc, Stapledon był nieposkromionym ekscentrykiem, natomiast prywatnie cenił sobie nade wszystko rodzinną harmonię i spokój. Wiele uwagi poświęcał żonie i dzieciom, wytrwale pielęgnował przydomowy ogród. I właściwie to tyle.

Dopiero pod koniec życia zaczął częściej podróżować z wykładami i odczytami, również za granicę. Podczas swoich europejskich wojaży odwiedził nawet Polskę, podnoszącą się wówczas powoli z wojennych zgliszcz. Zmarł niespodziewanie na atak serca we wrześniu 1950 r.

Ku przestworzom

Dorobek pozostawił po sobie wcale znaczny, choć nieprzesadnie znany szerokiemu gronu odbiorców: kilkanaście książek prozatorskich, w większości zaliczanych do nurtu *science fiction*. Ponadto studia i eseje filozoficzne, pisma polityczne, trochę poezji. Jego powieściowy debiut, „Ostatni i pierwsi ludzie" (1930), trudno właściwie potraktować jako... powieść, skoro brak w niej dialogów, tradycyjnej fabuły czy rysunku psychologicznego postaci.

Na dodatek jest to czysta fantazja kontrhistoryczna: Stapledon opisuje dzieje ludzkości na przestrzeni, bagatela, 2 miliardów lat. Pisarza pociągały tylko wielkie rozmiary, a najbardziej cały wszechświat. Jeśli przypatrywał się nam, ludziom, to tak, jakby prowadził obserwacje przez ogromny teleskop wycelowany z odległej planety w kierunku Ziemi. Lub, jak kto woli, robił to beznamiętnym okiem Boga. Zresztą nie: nazywać tę istotę Bogiem prowadzi wyłącznie do nieporozumień. To raczej twórczy duch pojęty jako stworzyciel wszystkiego, co istnieje. Albo po prostu *Star Maker*, Twórca Gwiazd.

Krótkie streszczenie kilkusetstronicowej powieści o tym tytule (Stapledon opublikował ją w 1937 r.) zabrzmi teraz niczym kiepski żart z literatury. Pewnego wieczoru bohater wychodzi z domu i robi sobie przechadzkę po okolicznych wzgórzach. Kilka chwil później „opuszcza" własne ciało i w postaci czystej świadomości zaczyna szybować ku przestworom ciemnego nieba, po czym coraz szybciej oddala się od Ziemi, w kierunku odległych gwiazd, planet, galaktyk.

Dociera do nich z zadziwiającą prędkością, łamiąc wszelkie ograniczenia przestrzeni i czasu, a następnie oddaje się obserwacjom bogatego życia, które się tam rozwija i które opisuje później w swojej relacji z precyzją laboranta. Poznaje niezliczone cywilizacje, a ich szczegółowe opisy, jak również historia ich wzlotów i upadków, zajmują lwią część „Twórcy gwiazd".

Istota życia

Lektura tych obszernych partii powieści jednych czytelników wprawi w znużenie, innych w stan nieomal hipnotyczny. I każe im zgodzić się z opinią Arthura C. Clarke'a: nie ma w historii literatury dzieła zrodzonego przez wyobraźnię bardziej monumentalną, bardziej ekstrawagancką niż ta. Takiej właśnie trzeba, gdy chce się na przykład opowiadać o plane-



HOWARD COSTER / NATIONAL PORTRAIT GALLERY / FORUM

Olaf Stapledon, 1938 r.

cie, której mieszkańcy nie tyle modlą się do Boga, co smakują jego duchową obecność wyjątkowo wrażliwymi... stopami.

Czy ukazywać słońca, które pogrążają się w duchowej rozpaczy lub miłosne perypetie gwiazd, płynących przez kosmos jak ławice ryb. Z prawdziwym wzruszeniem wspominam również opisy czystej dziecięcej radości, której doświadcza podróżnik, kręcąc olbrzymie ósemki wokół gwiazd podwójnych, jakby jeździł na łyżwach pośród świateł wielkiego miasta.

Bohater przemierza metodycznie cały wszechświat, bada jego dzieje na przestrzeni miliardów lat. Przekształca swój jednostkowy umysł w umysł kosmiczny, pragnąc doświadczyć wszystkich rodzajów istnienia, ponieważ sądzi, że ograniczone ziemskie życie nie może być tym jedynym. Lecz mimo różnorodności kosmosu wszędzie napotyka cywilizacje, których historia rządzi się identycznymi regułami: wspaniałe osiągnięcia, a potem kryzysy, okresy jasności i niebywałych wzlotów, a później epidemia tępoty, degradacja moralna, powrót do cywilizacyjnego mroku.

Nadzieje zmieniają się w nadzieje stracone, by któregoś dnia, pod wpływem zagadkowego impulsu, znów odżyć. Bo przecież daremność życia nie może być wszystkim, co ma do zaoferowania swoim mieszkańcom wszechświat, prawda?

Odpowiedzi może udzielić jedynie tytułowy Twórca Gwiazd. Bohater Stapledona chce stanąć z nim oko w oko, zadać mu pytania proste i fundamentalne. Co można nazwać istotą życia? Skąd ta jego dokuczliwość? Dlaczego rodzimy się i umieramy? Skąd w całym wszechświecie i wśród wszystkich zamieszkujących go istot tyle absurdu, tyle ignorancji, tyle cierpienia? Czy istnieje skuteczny lek na nowotwór zła, toczący uniwersum jak długie i szerokie? A jeśli istnieje, jak go rozpoznać i skutecznie stosować? Ta ostatnia kwestia prowadzi do pytania najważniejszego ze wszystkich. Czy trwałe szczęście jest w ogóle możliwe? Odpowiedź wymaga jednak rozstrzygnięcia najpierw innej sprawy: czy za powstaniem wszechświata kryje się miłość, nienawiść, a może obojętność?

Wyprawa i strategia

Ludzi oczywiście zajmowały wszystkie te sprawy, odkąd w ogóle zaczęli świadomie myśleć. Jednak literacka forma, którą nadał owym kwestiom Stapledon, była dla wielu trudna do zaakceptowania. By nie powiedzieć, kuriozalna. Od czego byśmy nie chcieli zacząć, zamierzając omówić choćby tylko część dorobku pisarza, zdumieniom nie będzie końca. Pierwsze z nich: Stapledon zupełnie lekceważy prawie wszystkie osiągnięcia literackiego modernizmu.

A przypomnę, że ten nurt nie miał żadnej konkurencji przez całą pierwszą połowę XX w., bywają do niego zaliczani najważniejsi autorzy ostatnich stu kilkudziesięciu lat. Triumfy święcił zwłaszcza gatunek powieści. Jej forma, poddawana przez pisarzy oszałamiającym eksperymentom, umożliwiała dotarcie do nieodkrytych wcześniej kontynentów literatury. Nie tylko artystycznych, lecz także myślowych.

W ślad za nowatorską formą szły przecież nowatorskie koncepcje intelektualne, dzięki którym usiłowano lepiej wniknąć w naturę człowieka, jego postawy, przekonania, jego tożsamość, pamięć, nadzieje i rozczarowania. Była to epoka nieprawdopodobnie wprost obfitująca w geniuszy i arcydzieła. Lecz gatunkowi powieści przyszło zapłacić za to wysoką cenę: co na początku było wyprawą w nieznane, z czasem, również u autorów wybitnych, przeradzało się w precyzyjnie skalkulowaną strategię. ↦

A każda strategia zabija przygodę, zwłaszcza przygodę myśli.

W połowie XX w. powieść była już gatunkiem w pełni dojrzałym, solidnie przebadanym, osadzonym w świadomości czytelników, o wyrazistych konturach. Była też cenną „walutą kulturową", mogącą przynosić sławę, prestiż, bogactwo, wpływy. Dotarła na szczyt, a zarazem, w pewnym sensie, do swych granic. Później też oczywiście nie brakowało w literaturze arcydzieł. Ale żadne z nich nie przekroczyło horyzontu wyznaczonego przez modernizm.

Przygoda myśli

Olaf Stapledon? Nie chciał tworzyć literatury, lecz ustanowić *mit*. Pisał tak, jak gdyby sądził, że literatura rozwinęła się w oparciu o błędne przesłanki i wobec tego trzeba ustalić zasady na nowo. Toteż w „Twórcy gwiazd" nie znajdzie się niczego, po czym rozpoznaje się powieść modernizmu. Zamiast ironii śmiertelna powaga. Żadnych eksperymentów formalnych, język ciężki jak walec drogowy, niesłychanie wymagający dla czytelników. Szczątkowe tło historyczno-społeczne, które odnosiłoby się do naszej rzeczywistości. Fabuła szyta tak grubymi nićmi, że choćbyśmy dwoili się i troili, długo nie potrafimy zdusić naszego sceptycyzmu. I jeszcze ta irytująca pogarda dla psychologii!

Bohaterowie Stapledona są w pewnym sensie doskonale dwuwymiarowi. Niczym obiekty badane pod mikroskopem nie skrywają żadnych tajemnic, nie mają w sobie żadnej głębi. Co oczywiste, osobowości nie mają również. I to wszystko w stuleciu, na które największy wpływ wywarła właśnie psychologia! Czyżby autora ominęła lektura wspaniałych powieści psychologicznych XIX w.? Albo może przeoczył on Freuda?

Jacek Dukaj, inny wielbiciel Stapledona, napisał kiedyś słusznie, że u swojego zarania *science fiction* było wielką przygodą myśli. Rozwinąłbym to spostrzeżenie: taką przygodą była u swego zarania sama literatura. Gdy w XVIII w. gatunek powieści wciąż szukał dla siebie środków wyrazu, panowała w nim ogromna elastyczność, właściwie bliska anarchii. Niepowtarzalna wyobraźnia Stapledona sięga właśnie do tamtych pierwszych anarchicznych doświadczeń, jak gdyby dopiero badała możliwości nowego gatunku literackiego. Toteż błędem jest przytwierdzać do „Twórcy gwiazd" jakiekolwiek etykietki.

Stapledon portretuje Ziemię pogrążoną w kryzysie klimatycznym.

Przewiduje zanik fizycznych kontaktów między ludźmi. Pod płaszczykiem bez przerwy wykrzykiwanego pragnienia „bycia sobą" dostrzega kapitulację przed myśleniem „stadnym".

Owszem, ta powieść ostentacyjnie odwracała się od aktualnych prądów artystycznych. Owszem, otwarcie ignorowała perspektywę pojedynczego człowieka. Ale to nie znaczy, że znajdowała się również w całkowitej izolacji od świata i jego problemów. Brytyjski pisarz zgodziłby się na pewno z innym niezwykłym twórcą „osobnym", mistrzem literatury grozy, H. P. Lovecraftem, który w jednym z listów przyznawał, że nie potrafi pisać o „zwykłych ludziach", bo ci go w żadnym wypadku nie interesują. I nie pojmuje, jak można być tak krótkowzrocznym, by skupiać uwagę na Ziemi i jej mieszkańcach, a ignorować tło wszechświata. Jeśli taka postawa oznacza obojętność, tym lepiej. Aby przecież siebie zrozumieć, trzeba czasami oddalić się na dystans miliardów lat świetlnych. Radykalna separacja od ludzi, od współczesności, od świata często pozwala lepiej uchwycić to, ku czemu wszystko zmierza. A także lepiej uchwycić przyszłość.

Nad przepaścią

Może zatem Stapledon miał dużo racji, namawiając nas do zlekceważenia psychologii. Do porzucenia naszego małego, krzyczącego, ludzkiego ja. Chce, byśmy dali się wchłonąć już nawet nie rzeczywistości, lecz całemu wszechświatowi. Tracimy wtedy z oczu szczegóły, ale kto wie, czy to właśnie tam nie tkwił czasem diabeł, który wcześniej utrudniał nam racjonalny ogląd całości. Który uniemożliwiał nam zbudowanie wspólnoty myślenia z innymi ludźmi. Emocje są ważne, nikt temu nie zaprzeczy. W „Twórcy gwiazd" ich nie brakuje, są jednak konsekwentnie poddawane sile wiary w ludzki rozum. Wiary, która ma w sobie coś z monumentalnego mitu.

A mit ów narodził się przede wszystkim z chęci zrozumienia globalnego kryzysu duchowego, którego przyszłe skutki Stapledon opisywał w 1937 r. tak precyzyjnie, jakby był prorokiem większym od Franza Kafki. Ukazuje przyszłość „czarną od wzbierającej burzy szaleństwa naszego świata", „koszmar" kryjący się pomiędzy „naszymi czasami a przyszłością". Pisze o „epoce tytanicznego konfliktu", w której trzeba podejmować poważne decyzje, gdy „jeden kryzys następował za drugim i w której nie dało się stosować żadnych prostych i znanych z przeszłości zasad".

Tym ogólnym wizjom Ziemi zduszonej przez siły ciemności towarzyszą malowane z perspektywy kosmosu obrazy „mordowanych miast" w ogarniętej wtedy wojną domową Hiszpanii czy „placów katedralnych" w Niemczech, gdzie można było dostrzec „tysiące młodych mężczyzn stojących w szeregach, egzaltowanych, nawiedzonych, salutujących zalanemu światłem Führerowi".

Bohater, który wrócił właśnie ze swej kosmicznej podróży i zrozumiał, że cały wszechświat poddany jest ciśnieniu niewymownego cierpienia i bezrozumności, relacjonuje pod koniec: „Zobaczyłem w tej chwili całą planetę (...), rozpoczynały się przygotowania do wielkiego starcia naszej epoki (...) Wydawało się, że w nadciągającej burzy musi zginąć wszystko, co ludziom najdroższe (...) Jak spojrzeć w twarz takiej epoce?".

Ale ponieważ Stapledon jest prorokiem, spogląda w twarz epoce nie tylko własnej, także naszej, pierwszym dekadom XXI w. Portretuje Ziemię pogrążoną w kryzysie klimatycznym, dewastowaną przez ludzkie „szkodniki". Przewiduje współczesny zanik fizycznych kontaktów między ludźmi, dzięki nowoczesnej technologii pozornie utrzymującymi ze sobą nieprzerwany kontakt, w istocie samotnymi jak nigdy. Pod płaszczykiem bez przerwy wykrzykiwanego pragnienia „bycia sobą" dostrzega kapitulację przed myśleniem „stadnym", mentalność „plemienną".

Rozkłada na czynniki pierwsze intelektualne niechlujstwo, upadek zaintereso-

wania samowiedzą, głoszenie wielkich idei, których z braku wrażliwości nie jest się w stanie odpowiednio pojąć. Stapledon pisał o tym wszystkim prawie 90 lat temu, a jakby dopiero wczoraj. Wniosek: nie jest prawdą, że przyszłości nie można przewidzieć, robiono to już bardzo często. Przewidywanie przyszłości wcale nie jest trudne, trudno jedynie przekonać ludzi, że ta przyszłość dopadnie również ich samych.

„Twórca gwiazd" to książka, która chce poważnie przyjrzeć się światu nad przepaścią i nam ten świat dosłownie wcisnąć do ręki. Aby jednak do tego doszło, trzeba zawierzyć właśnie mitowi. A więc opowieści o człowieku przemierzającym kosmos w poszukiwaniu zrozumienia. I może jeszcze bardziej w poszukiwaniu wspólnoty, domu, w którym będzie szczęśliwy mimo absurdów i grozy życia.

Wielki mit

Wszyscy przecież znamy tak naprawdę ten mit od blisko trzech tysięcy lat. To historia Odyseusza: pośród burz świata odnaleźć swoją przystań, gdy wszystko sprzysięga się, byśmy pozostali bezdomni. Nie ma rady, Odyseusz rzuca się w świat, doświadczając go na wiele rozmaitych sposobów. Najwyraźniej tak właśnie musi wyglądać droga do własnego domu. Podobnie rzuca się we wszechświat bohater Stapledona, Odyseusz „fantastyczny". Jak wiadomo, mity to opowieści przede wszystkim o początkach czegoś, o praprzyczynie, stworzeniu, źródle.

Dzięki temu ludzie dawniej dochodzili do zrozumienia własnej sytuacji w szerszym kontekście metafizycznym. Czasami, jak w przypadku literatury modernistycznej, mity inspirowały do twórczych przetworzeń. Myślę tu przede wszystkim o „Ulissesie" Jamesa Joyce'a, utworze, który sięgał po historię Odyseusza, by po wirtuozersku nałożyć jej strukturę na współczesność i odkryć, że współczesność zawsze już była.

Olaf Stapledon z całą pewnością nie zostawił nam w spadku literatury artystycznie tak misternej jak „Ulisses", ale dał nam – śmiem twierdzić – literaturę od tamtej mądrzejszą. Myślowo zdecydowanie prostszą, a zarazem w pewnym sensie mocniejszą. Podjął ogromne ryzyko, chcąc opowiedzieć ludziom ich samych tak, jakby nic nie znaczyli. Ostatecznie jednak zdołał stworzyć wielki humanistyczny mit, który mimo kostiumu „fantastyki" pozwala poczuć ostry smak i zapach realnego życia.

Racja, powieść nie daje łatwych pocieszeń. Jakże by mogła, pod wieloma względami stanowi przecież drobiazgowy katalog kosmicznego holokaustu, którego również Twórca Gwiazd nie potrafi albo też nie chce wyjaśnić. Lecz ostatecznie jest to poruszająca historia powrotu do kruchego ciepła ludzkiej wspólnoty. A powrót ów nie byłby możliwy, gdyby po drodze dogłębnie się nie zrozumiało, że w całym ogromnym wszechświecie nie istnieje nic ważniejszego niż dom, w którym ktoś na nas czeka. Potrzeba wszystkich Stapledonów tego świata, by utrzymać takie stare prawdy przy życiu.

© ŁUKASZ MUSIAŁ

REKLAMA

WE WTOREK 27 PAŹDZIERNIKA W „WYBORCZEJ"

Wyjątkowy kalendarz astronomiczny na 2027 rok



Zaćmienie Słońca, Droga Mleczna, zorze polarne, roje meteorów, obłoki srebrzyste...

- Kalendarium obserwacji nieba
- Niezwykłe zjawiska i kosmiczne zdjęcia

GAZETA wyborcza



■ *Katherine Marsh*, **MIT O POTWORACH. MEDUZA**, *tłum. Magdalena Kleszczewska, Widnokrąg 2026*



■ *Katarzyna Jackowska-Enemuo*, **MIĘDZY SYTOŚCIĄ A WIECZNOŚCIĄ**, *Albus 2026*

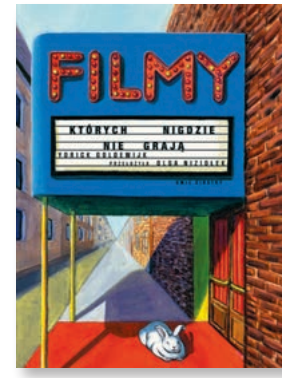

■ *Yorick Goldewijk*, **FILMY, KTÓRYCH NIGDZIE NIE GRAJĄ**, *tłum. Olga Niziołek, Dwie Siostry 2026*

Czwarty wymiar

BISERKA ČEJOVIĆ

W jaki sposób czytająca młodzież broni się przed zmęczeniem, kryzysami i wszechogarniającą frustracją? Znajduje schronienie w fantastyce.

Według badań Biblioteki Narodowej nastolatki w wieku 15-18 lat są najliczniej czytającą grupą wiekową w Polsce, a segment fantastyki jest jednym z najsilniej rosnących na naszym rynku książki.

Młodzież czyta literaturę obyczajową i romanse, ale takie gatunki jak *fantasy, romantasy, animal fantasy, paranormal fantasy* i dystopie są wyraźnie widoczne na listach bestellerów. Popularnością nadal cieszą się retellingi opowieści mitologicznych i baśni oraz fantastyka nawiązująca do kultur całego świata. Chętnie czyta się o magicznych szkołach z internatem, a relaksuje dzięki *cozy fantasy* – czyli tzw. fantastyce kojącej.

Czego młodzież może szukać w fantastyce? Na pewno odpoczynku i ucieczki, ale też poczucia sprawczości, którego wszystkim – nie tylko nastolatkom – brakuje w realnym świecie.

MITOLOGIE | Jude Duarte, bohaterka cyklu „Okrutny książę" Holly Black, śmiertelniczka w królestwie elfów, przeżywa wiele trudności w krainie, która jej nie akceptuje, poniża i próbuje zniszczyć. Ludzkie dziecko przekuwa słabości w źródło siły i zdobywa władzę w Elfhamie. Fandom skupiony wokół pisarki i jej fantastycznego świata wyrasta z potrzeby przynależenia do wspólnoty ludzi podobnie przeżywających literaturę, dzielących się emocjami, piszących fanfiki czy wcielających się w bohaterów sagi podczas cosplayowych spotkań. Nigdy nie widziałam tylu elfów w jednym miejscu, jak podczas spotkań Holly Black z polskimi czytelnikami przed paroma laty.

Fantastyka to również przestrzeń do bezpiecznego przeżywania emocji, często tych trudnych do nazwania czy zrozumienia. Jeśli najmłodsi czytelnicy uczą się akceptacji skomplikowanych uczuć dzięki opowiastce Maurice'a Sendaka „Tam, gdzie żyją dzikie stwory", tak starsi oswajają swoje „potwory" dzięki baśniowym i mitologicznym retellingom. Opowiedziane na nowo, przenoszone do współczesności opowieści o gorgonach, chimerach, cyklopach i minotaurach, to nie tylko okazja do powtórki z mitologii, ale również szansa na zupełnie nowe jej odczytanie.

Takiego zadania podjęła się Katherine Marsh (autorka „Chłopca znikąd" i „Straconego roku") w „Meduzie" – pozornie kolejnej powieści rozgrywającej się w akademii przeznaczonej dla magicznie uzdolnionych nastolatków, a tak naprawdę książce o odzyskiwaniu głosu i prawie do opowiadania własnej wersji historii. Ava, potomkini Meduzy, która trafia do weneckiej szkoły dla potworów po niemożliwym do okiełznania ataku gniewu, nie tylko odkrywa prawdę o swoim pochodzeniu, ale przede wszystkim rewiduje wyobrażenia o mitologicznych bohaterach i antybohaterach. Historia opowiadana przez zwycięzców zasługuje na odkłamanie, a szczególnej uwagi wymagają te opowieści, w których kobiety zamieniane są albo w istoty pozbawione głosu, albo w potwory.

Wielowątkowa i wielowymiarowa (choć jednocześnie przygodowa i rozrywkowa) „Meduza" zawiera jeszcze jeden ciekawy motyw mitologiczny – katabazę, zejście do świata zmarłych. Wątek ten powraca w książkach Katarzyny Jackowskiej-Enemuo, choćby w „Między światem a zaświatem" czy ostatniej – „Między sytością a wiecznością" (z ilustracjami Niki Jaworowskiej-Duchlińskiej).

Bohaterowie tych filozoficznych gawęd wędrują między światem żywych i umarłych, doświadczając całego spektrum emocji i przeżywając wiele przygód. Janek odkryje sens życia i wędrowania dopiero, gdy napije się wody z podziemnego źródła. Zośka przepłynie sine morze, by zejść do krainy bezkresnych zielonych pastwisk i poczęstować miodem dusze tych, którzy byli, i prosić ich o opiekę. Marijka uda się do piekła, żeby dowiedzieć się, jakie ono jest. Spotka strażnika bramy między tym a tamtym światem, Żmija, i znajdzie odpowiedzi na najważniejsze egzystencjalne pytania.

NIEPOKOJE | Kiedy córka mojego kolegi po nieobecności w szkole dowiadywała się, co ją ominęło na lekcjach języka polskiego, odpowiedź niemal zawsze



■ *Maja Lunde*, **KRÓLOWA PIORUNÓW**, *tłum. Milena Skoczko-Nakielska, Wydawnictwo Literackie 2026*



■ *Justyna Bednarek*, **SKARPETKI KONTRA NICOŚĆ, CZYLI KOSMICZNA MISJA OTULISTÓPEK**, *Poradnia K 2026*



■ *Maciej Kur*, **PŁOMYK, KTÓRY ZGASIŁ ŚWIECĘ**, *SQN 2026*

brzmiała tak samo: dzisiaj rozmawialiśmy o śmierci. Osobiste zainteresowania i obsesje polonistki to jedno, ale nie da się ukryć, że lektury – od pierwszych klas szkoły podstawowej aż do matury – przesiąknięte są duchem eschatologii. Bohaterowie, ludzcy i zwierzęcy, umierają na skutek wypadków, aktów przemocy, tortur, biedy, głodu, choroby (w tym epidemii), wiary w zabobony, z powodu zabójstwa i samobójstwa, giną w walce, zostają otruci, umierają indywidualnie i zbiorowo, zdarza się – co najmniej dwukrotnie – że uderza w nich piorun lub ulegają dekapitacji. Przykłady można mnożyć, podobnie jak idee stojące za tymi zabiegami fabularnymi.

Byłoby to nawet w jakimś sensie zabawne, bo taka kumulacja nabiera cech groteski, ale warto się chyba zastanowić, czy obecność śmierci w lekturach szkolnych pozwala dzieciom i młodzieży ją oswoić, czy po prostu czyni ją banalną. Można ubolewać nad losem bohaterów raz, drugi, trzeci, ale w końcu nawet najbardziej zaangażowani nauczyciele i uczniowie skapitulują wobec nadmiaru literackich zgonów.

A jednak w fantastyce śmierć jest stale obecnym motywem. Nabiera większego znaczenia wtedy, gdy wiąże się z autentycznym przeżywaniem historii, prawdziwymi emocjami oraz bohaterami, których się lubi, a nie darzy niechęcią lub – co gorsza – obojętnością. Przykładem takiej angażującej opowieści jest „Lis z Martwego Lasu" Aubrey Hartman (z ilustracjami Marcina Minora).

Ta książka na pewno zasługuje na więcej niż kilka zdań rekomendacji, ale uwierzcie mi na słowo: lis Bazyl jest bohaterem, którego pokochacie. Ten przewodnik w Zaświatach zajmuje się przeprowadzaniem dusz zwierząt do czterech wymiarów: Przyjemności, Postępu, Pokoju i Płaczu. Choć jest profesjonalistą w swoim zawodzie, zmaga się z rozmaitymi egzystencjalnymi problemami, w czym nawet nie przeszkadza fakt, że sam od jakiegoś czasu nie żyje.

Spotkanie z zabłąkaną między wymiarami borsuczycą Coniemiarą zburzy jego porządek życia po śmierci, ale też uświadomi, że nawet w zaświatach należy uporządkować swoje sprawy, wspomnienia, zrobić miejsce dla radości w sercu przepełnionym żalem, poczuciem odrzucenia i tęsknotą. Bazyl, ekscentryczny, cyniczny, wrażliwy jednooki martwy lis, handlujący grzybami uprawianymi we własnym ogrodzie, w zaskakujących okolicznościach dowie się, na czym polega prawdziwa przyjaźń i niespodziewanie uratuje jedno życie. A potem wreszcie odzyska spokój.

Niderlandzki pisarz, Yorick Goldewijk, używa realizmu magicznego, by opowiedzieć o żałobie i tęsknocie za bliskimi, których utraciliśmy, zanim ich poznaliśmy. Dwunastoletnia Cato, bohaterka „Filmów, których nigdzie nie grają", wychowuje się w domu, w którym brakuje zarówno matki, jak i ojca. Mama nie żyje, a ojciec, od lat pogrążony w apatii, praktycznie nie uczestniczy w życiu córki. Nie wie, ile traci.

Cato interesuje się kung-fu, zombie, opiekuje się królikiem, unika nachalnej sąsiadki i niespodziewanie znajduje zatrudnienie w kinie, które wyświetla specyficzny rodzaj filmów. Właścicielka kina, pani Kano, pokazuje ludziom ich przeszłość, a dziewczynce pozwala przeniknąć do filmowego świata i umożliwić spotkanie ze zmarłą mamą. Czy takie literackie podróże mają sens, zapytacie. Tak, bo pozwalają naprawić teraźniejszość bez zmieniania przeszłości. Intrygująca mozaika zdarzeń zostanie ułożona na ostatniej stronie książki i dopiero wtedy zorientujemy się, że każdy drobiazg ma w tej opowieści znaczenie.

ZNIKNIĘCIA | Fantazje o podróżowaniu w czasie snuje też Maja Lunde w najnowszej książce „Królowa Piorunów". Kiedy do pięknego jak z bajki, przykrytego październikowymi złotymi liśćmi miasteczka przybywają matka i córka, wydaje się, że w tej scenerii znajdą dom, którego długo szukały. Ale prędko orientujemy się, że wędrówka była raczej kolejną ucieczką niedojrzałej matki, a malownicza Dębowa Dolina to miejsce jej nieszczęśliwego dzieciństwa.

Mała Isabella liczy, że zatrzymają się w rodzinnych stronach na dłużej, ale problemy emocjonalne matki sprawiają, że dziewczynka kolejny raz staje w obliczu utraty domu. Spotkana w lesie tajemnicza staruszka staje się dla dziewczynki oparciem, podobnie jak wujek – brat mamy. Isabella znajduje w szkole przyjaciół oraz pomoc miłej nauczycielki. Niestety, zarówno matka, jak i córka nie radzą sobie z emocjami, złością, gwałtownym usposobieniem, co powoduje piętrzące się kryzysy. Połączenie magicznego realizmu z terapeutyczną rolą tekstu (oraz jedynymi w swoim rodzaju ilustracjami Lisy Aisato) pomaga nazwać trudne emocje, ale też zaskoczyć czytelnika fabularnymi rozwiązaniami.

Fantastyka młodzieżowa ma bardzo różne oblicza, oswaja z rozmaitymi problemami, pozwala też wyobrazić sobie najrozmaitsze życiowe scenariusze, również te katastroficzne i przepełnione lękiem. Tak dzieje się między innymi we wznowionej niedawno serii „Zniknięcia" Michaela Granta. Dystopijna wersja ↦

↦ „Władcy much”, w której na niewielkim obszarze znikają wszyscy ludzie powyżej piętnastego roku życia, pokazuje życie w dziecięcej społeczności pozbawionej zasad i autorytetów.

Dobrze znane miasto staje się w jednej chwili miejscem wyjętym z horroru, na dodatek odgrodzonym od reszty świata kopułą uniemożliwiającą ucieczkę. To nie jest nurt fantastyki przynoszącej uspokojenie, raczej wystawiający na próbę i konfrontujący z rzeczywistymi lękami czytelników. Jest to literatura budząca prawdziwe emocje uśpione niekiedy pod warstwą codzienności.

KOŁDERKI | Wolę jednak zakończyć ten krótki przegląd nowości lekturą książek przynoszących ukojenie w niespokojnych czasach. *Cozy fantasy*, przytulna fantastyka, nieprzypadkowo promowana jest instagramowymi zdjęciami ciepłych wnętrz, płonących świec, miękkich kocyków i gorących kubków kakao. Ma odrywać od czarnych myśli, rozśmieszać i dawać nadzieję. Taką fantastykę proponuje Justyna Bednarek, której najnowszy tom kultowej serii nosi znaczący tytuł „Skarpetki kontra nicość, czyli kosmiczna misja otulistópek” (oczywiście z ilustracjami Daniela de Latoura), jednoznacznie sygnalizując, że nawet najbardziej niebezpieczna przygoda musi znaleźć przytulne rozwiązanie.

Wspólne działanie kalesonów taty, dwóch marynarskich skarpetek, mysiej mamy wraz z córką, Pinkertona oraz żółtego beretu uratuje zaginioną w Nicości pasiastą skarpetkę! Inteligentny i absurdalny humor, podróże po kosmosie zasiedlonym przez pięciu brodaczy, Kołcza Snów czy agresywną Śnieżkę, to składniki ciepłej opowieści, której wszyscy po prostu potrzebujemy.

Niewykluczone, że czytelnicy, którzy powoli wyrastać będą z dziecięcych skarpetek, sięgną po awanturniczą powieść „Płomyk, który zgasił świecę” Macieja Kura. Sążnisty pierwszy tom nowej serii (wydany również w formie audiobooka) zadowoli nie tylko wielbicieli fantastyki przygodowej, ale też miłośników szybkiej akcji, absurdalnego humoru i rozwiązań rodem z powieści graficznych i filmów animowanych. Autor książki wykorzystuje w „Płomyku” swoje doświadczenie scenarzysty komiksów (między innymi kontynuacji przygód Kajka i Kokosza) oraz twórcy filmów animowanych, dlatego nie nudzimy się nawet przez sekundę.

Choć akcja książki rozgrywa się w krainie elfów, fantastyczna konwencja służy między innymi satyrycznemu spojrzeniu na współczesny świat celebrytów i obsesji na punkcie wizerunku. Główny bohater, niskorosły elf Płomyk, próbuje radzić sobie w kastowym społeczeństwie Mirasol, które nim gardzi. Pisanie opowiadań staje się dla niego ucieczką przed rzeczywistością, ale los wkrótce wciągnie go w wir przygód. Pozna też przyjaciół, którzy zaakceptują go takim, jaki jest.

Jeśli motyw drużynowej wyprawy po magiczny artefakt coś wam przypomina, to nastawcie się na więcej popkulturowych i przewrotnych nawiązań. Dla wielu czytelników będzie to kolejny powód, by sięgnąć po fantastykę, która nie odrywa całkiem od rzeczywistości, ale pomaga oswajać rozmaite lęki i pozwala po prostu odpocząć. © BISERKA ČEJOVIĆ

REKLAMA



Witaj w klubie Problem

MACIEJ SZKLARCZYK

Dobrze opowiedziane historie pozwalają zajrzeć w świat nastolatków, lepiej zrozumieć ich emocje i dylematy, a czasem odnaleźć nadzieję.

Literatura dla nastolatków albo zapewnia ucieczkę od rzeczywistości w sferę fantastyki, albo próbuje się mierzyć z jej najciemniejszymi stronami. Od wieku i potrzeb odbiorcy zależy, co zobaczy w tym „zwierciadle przechadzającym się po osiedlu". Aby cokolwiek jednak dostrzegł, opowieść musi go porwać. Mocnym punktem wielu książek są bohaterowie (pierwszoosobowa narracja!), a jednym z głównych tematów – samotność, odrzucenie, poszukiwanie tożsamości. Czasem happy endy bywają mało prawdopodobne, ale ten rodzaj literatury nie może przecież odbierać nadziei (często wydawcy podają też, gdzie czytelnik może szukać wsparcia).

Ósmoklasistka Marika, tytułowa bohaterka **„Złodziejki" Katarzyny Wasilkowskiej (Literatura 2025)**, ma kiepski kontakt z rodzicami. Ojciec-dresiarz, właściciel osiedlowego sklepiku z anabolikami, nie wykazuje nią zainteresowania, a matka, ekspielęgniarka, zarabiająca na „ciucholajwach", chce tylko świętego spokoju. Mary nie ma przyjaciół, a ludzi trzyma na dystans: zarówno klasową „celebrytkę" i jej uboższą kopię, jak outsajderów w typie „oazowiczki" Miłki (która jednak okaże się wierzyć nie tylko w Jezusa, ale i w relacje międzyludzkie).

Mary swoją samotność chowa pod kapturem, słuchawkami i zjadliwą ironią. Ma również sekret: wyrywa się z zaniedbanego (emocjonalnie i technicznie) domu i tworzy bezpieczny kąt, zakradając się do domu po zmarłej podopiecznej matki (której podwędziła nieużywane już klucze). Proceder kontynuuje nawet wtedy, gdy wprowadzają się tam spadkobiercy: małżeństwo z dwójką synów i psem. Podgląda tę rodzinę, tak inną niż jej własna, żyjąc zastępczym życiem. Gdy starszy z braci okazuje się jej nowym klasowym kolegą, zaprzyjaźnia się z nim. Ale czy to prawdziwa przyjaźń, skoro dzieli ich sekret i kradzież prywatności?



■ *Regina Golińska-Barancewicz*
TĘCZA W KAŁUŻACH
Literatura 2026



■ *Roksana Jędrzejewska-Wróbel*
MAGNEZJA
Wydawnictwo Literackie 2026

Mary staje przed trudną decyzją: zerwać znajomość czy skończyć z voyeryzmem? Jak to zrobić? Jakie poniesie konsekwencje? Nie będzie łatwo to naprawić. Narracja, prowadzona naprzemiennie przez Mary i Tymona, pozwala przyjrzeć się ich relacji z obu perspektyw i poznać bohaterów również przez język, jakim się posługują. Książkę uzupełnia playlista słuchanych przez Mary utworów.

Podobny temat poruszyła **Agnieszka Dąbrowska** w powieści **„Choćby na księżyc" (Agora 2025)**. 14-letniego Radka, „niedostosowanego" do szkoły, ale chcącego się uczyć i wyrwać z rozwalającego się domu (skrajna bieda, alkoholizm), zawodzą rodzice, system szkolny, pomoc społeczna, a na koniec sąsiedzka (w tym dotychczasowi przyjaciele). Niesłusznie oskarżonemu o kradzież pomogą za to zbuntowana 12-latka Gaja, która ma się wprowadzić do budowanego niedaleko osiedla, i romski chłopak Harman, którego rodzinę gmina wyrzuci z zajmowanego gospodarstwa, a przyczynią się do tego rodzice Gai. To przekonujący portret zaniedbanego dziecka plus inkluzywnie przedstawiony wątek romski.

Katarzyna Ryrych (której powieści dla młodzieży ukazują się też w serii Plus Minus 16 wydawnictwa Literatura), swoje nowsze tytuły publikuje w imprincie wydawnictwa Ibis. To właściwie minipowieści – rozmiar, któremu każdy da radę. **„Hate story" (Butterfly 2024)** opowiada historię przyjaźni dwu chłopców, która przetrwa zdarzenia poważniejsze niż koniec podstawówki.

Hubert i Bartek idą razem do liceum, ale o ile ten pierwszy wpada w oko najładniejszej dziewczynie w szkole, o tyle ten drugi, genialny matematyk i szachista, spotyka się z hejtem i drwinami. Znosi to, nikomu się nie przyznając. Od zawsze miał towarzysko pod górkę z powodu wyglądu i wydaje się, że po nim to spływa. Kiedy więc trafia do szpitala po próbie ↦

↦ samobójczej, nie tylko jego rodzice są zaskoczeni. Dopiero z notesu znalezionego w jego biurku dowiedzieć się można o spotykających go upokorzeniach.

Hubert nie zamierza porzucać przyjaciela, a w dodatku odnosi się życzliwie do nowej koleżanki, Mady. Narazi go to na gniew i zazdrość jego dziewczyny. Ta zagnie na niego parol. Rzuca go, a jednocześnie oskarża o napaść w szkolnej szatni. Ostracyzm, zawieszenie w prawach ucznia, śledztwo – to nie wszystko, co spotyka Huberta. W internecie ktoś rozpętuje hejt. Całkiem przypadkiem okaże się, że posty pisano z tych samych profili, których właścicielki gnębiły Bartka. W sieci jednak – na złe i dobre – nic nie ginie.

Jeszcze zanim sprawy przybiorą pomyślniejszy obrót, sprawdzi się w praktyce przysłowie o prawdziwych przyjaciołach. Dla chłopców okazują się nimi zarówno rówieśnicy, jak i rodzice. Rodzice są tu zresztą ważnym i różnorodnym tłem: empatyczni, niepełnosprawni, nieznani lub nieżyjący. Dorośli nie wybawią swego dziecka ze wszystkich kłopotów, mają własne. Ale niektórzy mogą mimo wszystko dać wsparcie.

Choć może razić tu natłok „trudnych spraw", autorce udaje się w pigułce (100 stron!) skonstruować całkiem przekonującą historię. Książkę uzupełnia też tekst „Okiem psychologa" (szkoda, że niepodpisany nazwiskiem), który odwołując się do fabuły, porządkuje wiedzę na temat bullyingu, hejtu, przemocy off- i online oraz daje wskazówki, jak sobie radzić, gdy kogoś to spotyka.

Trudno sobie wyobrazić, jak wygląda życie rodziny z ciężko chorym dzieckiem, ale literatura i tu może przyjść z pomocą. **Regina Golińska-Barancewicz** opowiada w **„Pierwszym dniu wiosny"** i jego kontynuacji **„Tęczy w kałużach" (Literatura 2025, 2026)** o chorej na białaczkę Agnieszce, jej rodzicach i rodzeństwie. Akcja obu książek rozgrywa się na przestrzeni roku (począwszy od wiosny). W pierwszej dane są nam dwie perspektywy narracyjne: onkowojowniczki oraz jej niewiele starszej siostry Natalii. Czyli wzlotów i upadków w chorobie i nadziei wyzdrowienia – oraz poczucia osamotnienia i związanej z tym burzy emocjonalnej u zdrowego rodzeństwa.

W kontynuacji perspektywę zdrowiejącej rekonwalescentki dopełniają listy jej mamy do zaprzyjaźnionej matki innego małego pacjenta. W ten sposób poznajemy z pierwszej ręki różne elementy skomplikowanej logistycznie, emocjonalnie i finansowo układanki, jaką jest rodzina chorego na raka dziecka. Nie jest to bynajmniej obraz jednostronny. Agnieszka przechodzi od buntu, przez nadzieję do depresji i z powrotem, mierzy się też z zagrożeniem śmiercią.

Z kolei Natalia buntuje się przeciw losowi, ale i przeciw bliskim. Nawet fakt, że otaczają ją przychylne osoby, nie zmieni tego, że czuje się skrzywdzona. Pozostali członkowie rodziny też ukazani są w chwilach słabości, aczkolwiek widać ślady inspiracji słynną familią Borejków. Autorka kilkakrotnie dokonuje „lokowania produktu", czyli organizacji NGO zajmujących się chorymi i ich bliskimi.

Jeśli nasz młody czytelnik ma wprawę w czytaniu nie tylko lektur czy bryków i podoła dłuższej lekturze, warto podsunąć mu **„Magnezję" (Wydawnictwo Literackie 2026) Roksany Jędrzejewskiej-Wróbel**. To *sui generis* powieść epistolarna, a dokładniej potrójny „monolog", przeplatający się ciąg „listów do siebie samego" trojga nieznających się z początku bohaterów: licealistów Igora i Laury oraz ucznia technikum Filipa. Każdy z nich prowadzi swe zapiski w inny, podkreślony też typograficznie sposób. Ich język autorka stylizuje na mowę młodzieżową. Jednocześnie szpikuje tekst odniesieniami m.in. do Marka Aureliusza, pesymistycznej filozofii Emila Ciorana i humanistycznej Viktora Frankla. Stają się oni przewodnikami nastolatków, którzy zmagają się z rodzicami, depresją, szkołą, relacjami przyjacielskimi i romantycznymi, a pisanie traktują, nie całkiem świadomie, jako rodzaj autoterapii. Nikt nie jest tu schwarzcharakterem, choć zdarza się, że ludzie krzywdzą się nawzajem.

Igor poczucie bycia „przegrywem" odkrywa etapami. Zaczyna od odwyku cyfrowego, ale niebawem dowie się o psychosomatycznej, mocno uciążliwej chorobie. Nie wspiera go dobrze na pozór prosperująca rodzina. Wobec reszty świata również chciałby stać się niewidzialny. Wkurzają go nadmierne oczekiwania oraz łatka „pokolenia płatków śniegu". Zrozumienie oraz lekcję życia odbiera w nieoczywistych sytuacjach: od współpacjentów w szpitalu, od podejmującego błędne decyzje w relacjach z dziewczynami przyjaciela, czy od ojca – choć nie wtedy, gdy ten próbuje go wychowywać, lecz gdy gra z nim na gitarze. Także od samego siebie, gdy mimo strachu stanie w obronie ciemnoskórego kolegi zaatakowanego przez kiboli. Złamany nos to znośna cena za odzyskanie widzialności i zdobycie kumpli.

Laura w mailach do zmarłego niedawno ojca oswaja nieznany sobie wcześniej stan żałoby. Targają nią trudne uczucia, a ona nie daje innym dostępu do siebie. Długo zajmie powrót do normalności po stracie i odbudowywanie relacji z mamą, siostrą, babcią. Pewne rzeczy natomiast popsuły się nieodwracalnie, jak relacja między nią, jej chłopakiem i przyjaciółką. Dziewczyna zaczyna żmudnie budować swój świat „po", twórczo wykorzystując również ból i to, co zostało w niej po ojcu. Kiedyś trzeba wreszcie rozebrać zeszłoroczną choinkę.

Konkretny umysł Filipa mądrość filozofów metodycznie konfrontuje zaś z życiem. Jego rodzice tkwią w finansowym dołku i ciągle się kłócą, a rzadkie chwile wytchnienia nie odsuwają widma rozwodu. Zamożny kumpel maskę pewnego siebie wzmacnia używkami i pogrąża się w nałogu. Filip będzie musiał podjąć decyzję, czy go uratować, ryzykując zerwanie przyjaźni. Właściwa decyzja wcale nie musi przynieść ulgi. Chłopak aktywnie przyjmuje wyzwania rzucane przez los: na własnej skórze doświadcza, jak się zarabia na wymarzone słuchawki i jak trudno jest poderwać interesującą dziewczynę.

Drogi całej trójki piszących skrzyżują się w klubie wspinaczkowym o znaczącej nazwie Problem (masz problem i musisz rozkminić, jak go przejść). Filip załapie się na pracę w tamtejszej kawiarni. Tam opatrzy pobitych w pobliżu przez kiboli chłopaków. Koleżanka wciągnie do swej spotykającej się tam paczki Laurę, w której Igor rozpozna dziewczynę, która wcześniej wpadła mu w oko. W Problemie spróbują wytyczyć własną drogę i dowiedzą się, do czego służy magnezja. „Droga powstaje, gdy zaczynasz iść", nabazgrał ktoś sprejem na tyłach garaży koło bloku Igora.

©℗ MACIEJ SZKLARCZYK

REKLAMA

Już wkrótce w sprzedaży kolejna książka Chavy Rosenfarb

— wybitnej autorki piszącej w języku jidysz, która stworzyła jeden z najbardziej poruszających portretów pokolenia Ocalałych z Zagłady.



Książki dostępne w siedzibie Centrum Dialogu im. Marka Edelmana w Łodzi i u wybranych dystrybutorów.



www.centrumdialogu.com
tel. +48 42 636 38 21, | +48 506 155 911
biuro@centrumdialogu.com

CENTRUM DIALOGU im. Marka Edelmana w Łodzi
BIBLIOTEKA CENTRUM DIALOGU
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.
ŁÓDŹ
Zadanie jest współfinansowane z dotacji Miasta Łodzi.

29. Międzynarodowe
TARGI KSIĄŻKI
w Krakowie

TYGODNIK POWSZECHNY

Warsztaty recenzenckie dla licealistów
poprowadzi krytyk literacki
Adam Woźniak

Recenzja to nie streszczenie fabuły, tylko twoje zdanie o książce, i to takie, które umiesz uzasadnić. Pokażemy, jak z pierwszego „podobało mi się" albo „nie podobało" zrobić przemyślaną opinię: co z książki wybrać, jak przekonać czytelnika, jak poukładać tekst i wymyślić tytuł, który zachęci do lektury. A przede wszystkim, jak pisać po swojemu, żeby ktoś po przeczytaniu twojej recenzji sięgnął po książkę.

▪ **22 oraz 23 października, godz. 11.**
sala Praga B.

Czytanie ma znaczenie. Zacznijmy od dzieci
Zapraszamy na **debatę** o tym, dlaczego czytanie od najmłodszych lat ma znaczenie dla rozwoju dziecka, jego wyobraźni, języka i samodzielnego myślenia oraz jak wspólnie budować kulturę czytania wśród dzieci i młodzieży.

▪ **23 października, godz. 15.**
Scena w Hali Dunaj

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Na oślep

MACIEJ MIŁKOWSKI

Rozumiem potrzebę napisania tych stron. Nie całkiem jednak rozumiem potrzebę ich rychłego publikowania. Dlaczego żałoba ma być przeżywana publicznie?

Nie mam na półce wszystkich wydanych po polsku książek Paula Austera – nie jestem i nigdy nie byłem jego szczególnym wielbicielem – ale na okładce żadnej z kilkunastu, które zdjąłem z regału albo przejrzałem w pobliskiej bibliotece, nie poinformowano polskiego czytelnika, że Auster to mąż Siri Hustvedt. Z kolei na okładkach książek samej Hustvedt, które stoją u mnie w komplecie, bo od lat niezwykle ją cenię, regularnie się ten związek małżeński odnotowuje. „Żona znanego pisarza Paula Austera". „Wraz z mężem, znanym pisarzem Paulem Austerem i dwojgiem dzieci mieszka w Nowym Jorku". „Mieszka na Brooklynie wraz z mężem – Paulem Austerem, jednym z najsłynniejszych współczesnych pisarzy".

W ten sposób polscy wydawcy niejako Hustvedt legitymizują, przekonują, że w ogóle warto po jej książki sięgnąć. Ciekawe, że przy okazji w tych notkach komplementuje się raczej samego Austera. To on jest pisarzem „znanym" i „jednym z najsłynniejszych". Hustvedt zaś jest wyłącznie jego żoną. Dopiero na „Wspomnieniach przyszłości", siódmej wydanej po polsku książce Hustvedt, wydawca małżeństwo z Austerem pomija, w notce biograficznej zwyczajnie wyliczając nagrody i publikacje autorki.

Bez wątpienia Auster stał się bardzo znany – po „Trylogii nowojorskiej", a zwłaszcza po filmach, które współreżyserował i do których pisał scenariusze: „Dymie", „Brooklyn Boogie" i „Lulu na moście". Podobnej sławy Hustvedt nigdy nie osiągnęła, mimo kilku międzynarodowych bestsellerów, nominacji do Bookera, Nagrody Księżniczki Asturii. Jeśli jednak chodzi o wartość czysto literacką, to jej twórczość wydaje mi się sięgać znacznie dalej i znacznie głębiej niż powieści Austera. Zdaję sobie sprawę, że takie zestawienia i rankingi są dość bezsensowne i całkowicie subiektywne, ale dla mnie Hustvedt jest jedną z najlepszych żyjących osób piszących – może i najlepszą po prostu – autorką co najmniej dwóch prawdziwych arcydzieł: „Co kochałem" oraz „Świata w płomieniach".

A chociaż literacka sława jest często dziełem zwyczajnego przypadku, nie sposób nie zauważyć, jak wielkie znaczenie ma tu płeć. Świat zupełnie inaczej odbiera twórczość mężczyzn niż kobiet. Nawet największe sukcesy Siri Hustvedt nigdy by Austerowi nie zaszkodziły. Nigdy nie groziła mu redukcja do roli „męża Hustvedt". Nie ma tutaj żadnej symetrii.

O życiu w cieniu sławy męża Hustvedt pisze sporo w najnowszej książce. Ale już w jej wcześniejszych książkach beletrystycznych często przewija się wątek kobiet, których twórczość pozostaje niedostatecznie uznana za względu na to, że jest właśnie twórczością kobiety. Marginalnie wątek ten pojawia się w „Co kochałem", pierwszoplanowo we „Wspomnieniach przyszłości", opowiadających o kobiecie, której Marcel Duchamp ukradł „swój" słynny pisuar. A dla „Świata w płomieniach" jest w zasadzie głównym tematem.

Bohaterką tej powieści jest zapomniana artystka Harriet Burden, przez lata żyjąca w cieniu sławnego męża, a wreszcie wpadająca na pomysł zaprezentowania swoich dzieł za pośrednictwem fasadowych rzekomych twórców – mężczyzn. Kiedy tylko jej dzieła przedstawione są światu jako dzieła mężczyzny (troskliwie przy tym dobranego) odnoszą natychmiastowy sukces. Zaburzona recepcja dzieł kobiet jest też tematem wielu esejów Hustvedt o sztukach plastycznych, nadal czekających na polski przekład.

Bez wątpienia temat represji kobiecej twórczości, temat artystki sparaliżowanej „uwikłaniem w płeć", temat kobiety relegowanej w cień jakiegoś „wielkiego mężczyzny" jest jednym z najważniejszych w twórczości Hustvedt, a jej własne doświadczenie stanowi kolejny rozdział w długiej historii nierówności i lekceważenia.

Bardzo się więc obawiałem nowej książki Hustvedt, odkąd dowiedziałem się, o czym ma traktować. Obawiałem się, że „Księga duchów" – wspomnienie zmarłego Austera i zapis żałoby po nim – na zawsze już zabetonuje wizerunek Hustvedt jako niegdyś żony, a później wdowy po Austerze. Obawiałem się też tej książki z powodów bardziej prozaicznych. Czy zaledwie kilka miesięcy po śmierci osoby, z którą przeżyło się czterdzieści trzy lata, można napisać o niej książkę? Czy taka książka nie będzie skażona nieprzepracowanym bagażem emocjonalnym? Czy może mieć jakąkolwiek wartość poza autoterapeutyczną? Czy nie stanie się boleśnie nieszczera w swojej nadmiernej fasadowej „szczerości"? O ile trzeba będzie poczekać, aby się przekonać, jak „Księga duchów" wpłynie na wizerunek Hustvedt i odbiór jej twórczości, o tyle pozostałe obawy potwierdziły się niestety w całej rozciągłości.

Przede wszystkim jest to książka chaotyczna. Złożona z krótkich, nieraz parozdaniowych akapitów, w druku co chwila przedzielanych światłem. Chociaż momentami narrację na kilka stron opanowuje jakiś temat nadrzędny – historia poznania Siri i Paula, dramatyczne dzieje jego syna z pierwszego małżeństwa, bieżąca sytuacja polityczna – to jednak najczęściej kolejne dwuzdaniowe myśli są bardzo luźno powiązane z poprzednimi. Można oczywiście argumentować, że tak pracuje umysł osoby w żałobie – poszczególne motywy czy momenty dawnego życia przypominają się bez określonego ładu – ale jednak książce przydałaby się solidna redakcja. Zapewne jednak do jej zrobienia potrzeba sporego dystansu czasowego od opisywanych przeżyć.

Być może to zresztą jedna z przyczyn słabości tej książki: autorka napisała ją

zbyt szybko. Zazwyczaj dopiero po kilku latach po przeżytej tragedii możemy próbować nadać jej sens, na nowo ją sobie opowiedzieć, a tym samym – jeśli rzecz spisujemy – odsiać materiał zbędny. Żałoba, trwająca ledwie przez kilka miesięcy na kartach książki, z pewnością nie jest tu w żaden sposób zakończona.

Wiele myśli powtarza się tu w tym samym brzmieniu więcej niż raz. Czasem są to zresztą myśli niezasługujące na takie powtórzenie. Ta refreniczność nie jest jednak raczej świadomym zabiegiem literackim, a zwyczajnym niedopatrzeniem w pośpiechu chaotycznego pisania. A chociaż Hustvedt zdarzają się spostrzeżenia niebanalne i nieoczywiste, to niestety wiele obserwacji i wiele przywoływanych scen nie ma żadnej wartości uniwersalnej.

Życie i śmierć Paula Austera, człowieka jednak wyjątkowego, sprowadzone jest tu do kalejdoskopu klisz i banałów. Możemy się na przykład dowiedzieć, że Paul kupował sobie bokserki w trzypakach – zielone, niebieskie i czerwone – ale tych czerwonych nie lubił. Bardzo za to lubił farsz w indyku na Święto Dziękczynienia, czemu poświęconych jest kilka kolejnych akapitów.

Rozumiem potrzebę napisania tych stron. Nie całkiem jednak rozumiem potrzebę ich rychłego publikowania. Nie wiem, dlaczego żałoba ma być przeżywana publicznie. Hustvedt narzeka, że światowe media rzuciły się na śmierć Austera – tak jak wcześniej na tragiczną śmierć jego wnuczki, a później syna – niejako zawłaszczając żałobę po nim, pozbawiając najbliższą rodzinę wyjątkowości i prywatności swego przeżycia. Niestety swoją książką Hustvedt robi dokładnie to samo. W czasach, gdy wielu ludziom trudno postawić granicę między tym co prywatne, a tym co publiczne, taka książka budzi tym większe zastrzeżenia.

Zamysł publikacji tych pozornie „prywatnych" zapisków jest widoczny od samego początku. Książka Hustvedt nie jest więc w żadnym sensie szczera – jest obliczona na wywołanie określonego efektu. Autorka nie chce dotrzeć do żadnej prawdy o Austerze, a raczej przedstawić go światu w ściśle określonym świetle. Wielokrotnie na przykład podkreśla, że Paul był dla swojego tragicznie zmarłego syna znakomitym ojcem – i w żaden sposób nie jest odpowiedzialny za jego nałóg i śmierć.

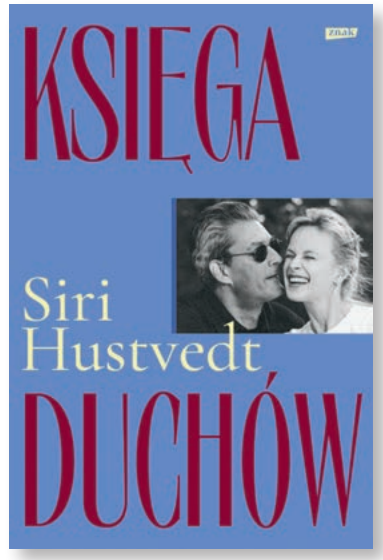

■ *Siri Hustvedt,* **KSIĘGA DUCHÓW**, *tłum. Jerzy Kozłowski, Znak 2026*

Zapewnia też, że mąż nic nie wiedział o nikczemnych praktykach Harveya Weinsteina, z którym współpracował przy swoich filmach. Kryształowo czysty jest nie tylko Auster, ale i wszyscy bliżsi i dalsi członkowie rodzin Austerów i Hustvedtów. Wszyscy są tu ciepli, mądrzy, życzliwi, wyrozumiali i kochający. Wszystkie dzieci od pierwszych dni życia ujawniają niepospolite talenty. Powtarzający się refren: nauczycielka śpiewu czy rysunku zapewnia, że nigdy wcześniej nie spotkała dziecka tak wielce utalentowanego w tak wczesnym wieku. Czytelnikowi trudno oczywiście te wizje odrzucić, bo przez cały czas czuje się emocjonalnie zaszantażowany. Nie można dyskutować z pisarką o tym, co napisała. Jej umarł mąż, a ty się czepiasz?

Niezrozumiałe jest też dla mnie włączenie do książki niektórych materiałów. Hustvedt zdecydowała się na przykład umieścić w niej dwanaście maili, które wysyłała do bliskich przyjaciół swoich i Paula. Informowała w nich o zmiennym stanie zdrowia męża, dzieliła się nadziejami i niepokojami, przekazywała czasem dobre, czasem niedobre nowiny. Dlaczego ten akt bliskości, zaufania i wsparcia między przyjaciółmi ma się stać własnością publiczną? Dlaczego te maile mają być czytane przez kogoś innego poza ich adresatami? Czy w ten sposób nie unieważnia się poniekąd tamtej bliskości, tamtego zaufania?

Jeszcze większy opór budzi włączenie do książki listów, które umierający Paul pisał do swego świeżo narodzonego wnuka. Opisuje w nim rozmaite historie rodzinne, mając nadzieję, że wnuk przeczyta je za kilkadziesiąt lat, a te listy pozwolą mu nawiązać kontakt z dziadkiem, którego nie mógł poznać. Wyobrażam sobie, że taki dar faktycznie może być czymś wspaniałym dla dorastającego chłopaka. Czy jednak rozczarowujące dla niego nie będzie odkrycie, że te intymne listy, przeznaczone tylko dla niego, już kilkanaście lat temu w książce babci przeczytał cały świat?

Zresztą zamiast czytać spisane na łożu śmierci listy do wnuka Austera, pewnie lepiej prywatnie uczcić jego pamięć, wracając do „Trylogii nowojorskiej" albo do „Muzyki przypadku". W wypadku Hustvedt jest tak samo. Zamiast czytać jej pospiesznie spisane i pochopnie opublikowane zapiski, znacznie lepiej jest wrócić do jej powieści. Co ciekawe, temat śmierci bliskiej osoby pojawia się w bardzo wielu jej wcześniejszych książkach. Jak mało kto potrafiła opisać, co dzieje się z człowiekiem, gdy z jego życia znika drugi człowiek, będący wcześniej całym światem. W „Na oślep" pojawia się wątek nieporadnego rekonstruowania życia osoby zmarłej przez pozostawione po niej przedmioty. Żałobę po synu przeżywa narrator „Co kochałem", żałobę po mężu przeżywa inna bohaterka tej samej powieści. Śmierć ojca jest punktem wyjścia „Amerykańskich smutków", zawieszonej żałobie poświęcone jest „Lato bez mężczyzn". Dotyczące żałoby partie powieści Hustvedt należą do najpiękniejszych i najmądrzejszych fragmentów jej twórczości.

Proza Hustvedt jest zarazem niezwykle intelektualna i emocjonalna. Pisarka chętnie zwraca uwagę na elementy irracjonalne w naszym życiu, ale bada je na sposób naukowy, chociażby wykorzystując psychoanalizę. Najlepsza jest jednak w archeologii emocjonalnej, w rekonstruowaniu z okruchów życia, którego już nie ma. Przejmująco potrafi też pisać o samym umieraniu. W „Świecie w płomieniach" jest rozdzierająca scena, gdy Harriet Burden we własnym domu, w otoczeniu najbliższych umiera na nowotwór. W „Księdze duchów" jest scena, gdy we własnym domu, w otoczeniu najbliższych na nowotwór umiera Paul Auster. Ta prawdziwa przecież scena nie ma ani ćwierci tej siły poruszania czytelnika, co scena wymyślona i wyobrażona. Może na tym polega siła literatury pięknej. ©



MATERIAŁY PRASOWE

Wole Soyinka w filmie „Amazing Grace: YorubaWorlds", SpiraH

Podróż w drugą stronę

MARIA BIARDZKA

Ten film nie jest tylko o Jorubie i jej pisarzu. Jest o wszystkich, którzy chcą odnaleźć łączność z własną kulturą i dziedzictwem.

Nie ma odwrotu – tymi słowami Wole Soyinka przywitał Raynalda Leconte, gdy ten przyjechał kręcić o nim film. Był 2 lipca 2021 r., szczyt pandemii, nikt nie podróżował. Haitańsko-amerykański reżyser zdobył jednak pieniądze na pierwsze zdjęcia i ruszył do Abeokuty w zachodniej Nigerii, żeby spotkać jednego z ostatnich żyjących gigantów światowej literatury.

Przed spotkaniem obaj wybrali stare jorubańskie przysłowie, które stało się punktem wyjścia i tezą filmu: „Rzeka, która traci swoje źródło, wysycha". Soyinka ma zwyczaj mówić w ten sposób: prostymi metaforami, obrazami wody, lasu, energii.

– Zawsze używa bardzo podstawowych jorubańskich przenośni, żeby z tobą nawiązać kontakt, żeby upewnić się, że rozumiesz, czym jest kultura Joruba wokół niego i wokół nas – mówi Leconte. To zdanie o rzece i źródle stało się osią rozmowy, która trwała pięć lat.

Spotkałam Raynalda Leconte w Cannes, gdzie jego dokument „Amazing Grace: YorubaWorlds", film, którego Soyinka jest współscenarzystą, bohaterem i przewodnikiem, pokazywano w ramach Pavillon Afronova. Sam Soyinka do Cannes nie dotarł. Ale przez godzinę rozmowy reżyser odmalował mi jego portret z bliska, z czułością i precyzją kogoś, kto naprawdę go poznał.

Obraz domu

Akinwande Oluwole Babatunde Soyinka urodził się 13 lipca 1934 r. w Abeokucie. Dramaturg, poeta, eseista, powieściopisarz, w roku 1986 jako pierwszy Afrykanin otrzymał literacką Nagrodę Nobla. Ale zanim przyszedł Nobel, była cela.

Podczas wojny domowej w Nigerii w 1967 r. Soyinka opublikował apel o zawieszenie broni. Oskarżony o spisek z secesjonistyczną Biafrą został aresztowany bez procesu i osadzony. Spędził dwadzieścia dwa miesiące w izolatce. Pisał na skrawkach papieru, papierze toaletowym, opakowaniach po papierosach; te zapiski stały się później jednym z najważniejszych więziennych dzienników XX w. To biografia, którą polski czytelnik rozpozna instynktownie: pisarz jako sumienie, literatura jako forma oporu, słowo jako rzecz, za którą państwo potrafi człowieka zamknąć.

Ale Leconte, pytany o to, kim Soyinka jest, gdy nikt nie patrzy, maluje obraz zupełnie nie pomnikowy.

– To bardzo cichy człowiek. Bardzo skromny. Nie chce być wynoszony na piedestał – mówi reżyser. Człowiek, który zasiadał obok Mandeli, najczęściej pro-

szony o głos, a jednak najmniej go szukający. Nie szuka chwały, nie szuka uwagi. Ale wie, kiedy się do ciebie zbliżyć. Człowiek niewielu słów, który mówi, jak jest, i robi to, co postanowił. Leconte uważa to za cechę głęboko jorubańską.

Najbardziej w jego świadectwie zostaje obraz domu. Soyinka mieszka w Abeokucie w domu otoczonym lasem. To oaza zieleni pośród, jak mówi Leconte, stu kilometrów zaniedbania: – To magiczny moment, kiedy wjeżdżasz w tę bramę. Wjeżdżasz w inny świat.

Las nie jest przypadkiem. Wczesne sztuki Soyinki były zapowiedzią katastrofy ekologicznej, która spadła na Nigerię, gdy zaczęto wydobywać ropę w delcie Nigru: bagno zamieniające się w ropę, ziemia zabijana ludzką ręką.

– On jest tym, kim jest, bo to miejsce go zakotwicza – dodaje reżyser. – Trzyma go blisko ziemi i blisko bóstw.

Dwa brzegi

Joruba to jeden z największych ludów Afryki. Kilkadziesiąt milionów osób zamieszkujących głównie południowo-zachodnią Nigerię, a także Benin i Togo. To zarazem nazwa ludu, języka i całej cywilizacji: z własną mitologią, sztuką, muzyką i religią, której korzenie sięgają setek lat wstecz. Gdy w czasach handlu niewolnikami miliony Jorubów wywieziono za Atlantyk, ich wierzenia popłynęły razem z nimi i przetrwały w Brazylii, na Kubie, na Haiti, wrastając w lokalne kultury candomblé, santerii i vodou. To dlatego film Leconte'a rozgrywa się na dwóch brzegach oceanu naraz.

Tu dochodzimy do serca filmu i do tego, co najtrudniej przełożyć na europejski język. W kulturze Joruba bóstwa, oriszowie, nie są figurami z podręcznika antropologii. Są obecnością. Ogun, bóg żelaza i wojny, stoi w centrum mitologii Soyinki, tak jak Zeus czy Atena stali w centrum mitologii greckiej. Człowiek może po śmierci, przechodząc do innego świata, stać się oriszą: bóstwem najwyższego rzędu.

Kiedy zapytałam Leconte'a, czy praca z Soyinką wewnątrz tej kosmologii zmieniła jego rozumienie tego, czym w ogóle jest istnienie, odpowiedział, że dla niego nie było to nic obcego. Leconte urodził się na Haiti, gdzie żywa jest własna mitologia: vodou, religia o uderzających podobieństwach do wierzeń Joruba. Ogun, Oszun, Szango, te same bóstwa, ta sama struktura panteonu z bóstwami męskimi, żeńskimi, a czasem jednym i drugim naraz: – To piękno tego wszystkiego. To nie jest jedna grupa ludzi, ale wszyscy oni mają ze sobą łączność, gdzieś sprzed trzystu, czterystu lat.

To właśnie pozwala stwierdzić rzecz pozornie paradoksalną: że kultura Joruba bywa silniejsza poza Afryką niż w samej Nigerii. Filmując w Brazylii i na Kubie, Leconte zobaczył ją wszędzie: w jedzeniu, w muzyce, w śpiewie i tańcu, w sposobach leczenia, w filozofii. W brazylijski Nowy Rok wszyscy idą nad morze, by prosić o pomyślność boginię Iemanję. Tymczasem w samej Nigerii, przyznaje, wiele młodszych pokoleń odeszło ku islamowi i chrześcijaństwu. Pamięć, jak rzeka, popłynęła tam, gdzie znalazła ujście.

Do korzeni

Leconte przyjechał do Abeokuty z pewnym planem. Chciał nakręcić albo biografię Soyinki, albo film o jego kulturze. Ale Soyinka pokierował go gdzie indziej. Stał się współscenarzystą filmu. Odwrócił uwagę reżysera od własnego portretu ku idei, która okazała się większa od pierwotnego planu: ku powrotowi.

To jest marzenie Soyinki, marzenie, jak je nazywa Leconte, o „podróży w drugą stronę". Przez stulecia Afrykanie byli wywożeni przez Atlantyk, sprzedawani, także, jak gorzko zauważa Soyinka, przez własnych ludzi, i osadzani w obu Amerykach. Ale rzeka ma źródło. Marzeniem pisarza jest, by potomkowie tamtych ludzi mogli odbyć drogę powrotną: nie tylko po to, by świętować to, że przetrwali, lecz by świętować razem z braćmi i siostrami w ojczyźnie.

I to właśnie Soyinka uczynił warunkiem. Powiedział: musisz być w tym filmie. Musisz opowiedzieć o swoim osobistym doświadczeniu przyjścia do mnie. W tym momencie opowieść przestaje być wyłącznie afrykańska. Bo pytanie, które Soyinka postawił Leconte, jest pytaniem dostępnym każdemu, kto kiedykolwiek próbował dotrzeć do korzeni. Słuchając, jak reżyser opisuje powrót, rozpoznanie miejsca, którego się nie znało, pomyślałam o wschodniej Polsce, o wsi, ↦

REKLAMA

TYGODNIK POWSZECHNY

Sklep „Tygodnika Powszechnego"



DO CZYTANIA | DO NOSZENIA | DO KUPIENIA

SPRAWDŹ
sklep.TygodnikPowszechny.pl

↦ z której pochodził mój dziadek, a której ani ja, ani moja matka, ani babka nigdy nie zamieszkiwałyśmy.

XX wiek przesunął granice, wysiedlił ludzi, kazał zaczynać od nowa gdzie indziej; wielu z nas zna swoje pochodzenie raczej z opowieści niż z doświadczenia. A jednak, stojąc tam, miałam dziwne uczucie, że znam miejsce, którego nigdy nie widziałam. Kiedy wspomniałam o tym mojemu rozmówcy, odpowiedział od razu: – Właśnie o to chodzi. Dlatego ten film nie jest tylko o Jorubie. Jest o wszystkich, którzy chcą odnaleźć łączność z własną kulturą i dziedzictwem.

Opór jest faktem

Jest jeszcze inny Soyinka, ten, którego polski czytelnik pozna może najszybciej. Mistrz satyry. Jego najnowsza powieść, „Chronicles from the Land of the Happiest People on Earth" (Kroniki z krainy najszczęśliwszych ludzi na świecie), pierwsza, którą napisał od niemal pół wieku, to jadowicie ironiczny portret współczesnej Nigerii, i, szerzej, świata, w którym język władzy, wiary i rynku zlewa się w jeden wielki spektakl.

Pod warstwą absurdu, groteski i czarnego humoru kryje się tam jednak coś poważnego: pytanie o to, jak społeczeństwo opowiada sobie kłamstwa, by przetrwać. To pisarstwo, które bawi i kąsa jednocześnie. Soyinka woli ironię od kazania. Nie wytyka palcem; pokazuje ci obraz i zostawia z nim.

Ta sama postawa rządzi jego życiem. Soyinka napotykał opór, odkąd jako młody człowiek zaczął głośno mówić: więzienie, wygnanie, groźby dyktatorów. Spotyka go to do dziś: w zeszłym roku, gdy miał dziewięćdziesiąt jeden lat, odebrano mu amerykańską wizę, kilka lat po tym, jak z właściwą sobie brawurą pociął zieloną kartę. Ale, i to jest sedno tego, co mówi o nim reżyser, Soyinka się tym nie przejmuje. Nie żyje uniesieniem ani urazą. Jest ponad to. Opór jest faktem jego biografii, nie jej osią. Pisarz traktuje go jak coś, co należy znieść z humorem i iść dalej.



MARIA BIARDZKA

Reżyser Raynalda Leconte

I tu dochodzimy do decyzji, która mówi o Soyince najwięcej. Mając przed sobą perspektywę filmu o samym sobie, pokusę, której niewielu artystów potrafi się oprzeć, świadomie odsunął od siebie kamerę. Mógł opowiedzieć o więzieniu, ucieczce przed dyktatorami, własnej legendzie. Soyinka wolał skierować uwagę gdzie indziej: ku kulturze swojego ludu i ku idei powrotu.

– Kiedy patrzysz na takiego człowieka, nie chcesz w niego wnikać, chyba że sam ci coś ofiaruje. A on miał swoją misję. Chciał mówić o rzeczy dla niego najważniejszej: o podróży powrotnej, którą pragnie zobaczyć, zanim odejdzie.

To samo widać w momencie, w którym, jak wspomina Leconte, Soyinka naprawdę tracił panowanie nad sobą. Nie chodziło o niego samego ani o krzywdy mu wyrządzone, lecz o niszczenie świątyń. Nie tylko jorubańskich. Wszystkich. Soyinka, który kolekcjonuje sztukę i traktuje trzystuletnie rzeźby jak żywe istoty, wpada w gniew, gdy ktoś, w imię nacjonalizmu albo religijnego zapału, burzy cudze miejsca święte. Niszczenie sanktuariów, gdziekolwiek i czyjekolwiek by były, jest niszczeniem pamięci. Polski czytelnik wie, co to znaczy. I tu znów Soyinka kieruje uwagę poza siebie: bardziej niż własna krzywda obchodzi go cudza świętość.

W filmie Leconte ujął tę postawę obrazem: po słowach o Ogunie, bogu żelaza, pierwszym protagoniście, bóstwie, które nie milczy, pokazał Soyinkę w tłumie, z białą czupryną, z ludźmi za plecami. „Powiedziałem mu: jesteś Ogunem". Ale Ogun Soyinki nie krzyczy o sobie. Użycza głosu sprawie. I dlatego, mówi reżyser, ten głos wciąż się liczy.

Rozkaz marszu

„Amazing Grace: YorubaWorlds" to dopiero pierwsza część serii. Leconte planuje ciąg dalszy, o tych, którzy przez wieki podtrzymywali kulturę w Ameryce, a teraz chcą wrócić, by świętować ją u źródła. I, jak podkreśla, ostatecznie nie chodzi tylko o Jorubę: chodzi o wszystkie afrykańskie ludy, a w dalszej perspektywie o każdego, kto wraca do swoich.

Soyinka dał mu na to błogosławieństwo i, jak mówi reżyser z czułością, „rozkaz marszu". Ludzie tacy jak on nie angażują się już w szczegóły. Dali ci mądrość; resztę masz odnaleźć sam.

Bo to, co zaczyna się jako film o jednym dziewięćdziesięciolatku w oazie pod skałą, kończy się jako pytanie skierowane do każdego widza. Gilberto Gil, brazylijski muzyk i były minister kultury, mówi w finale zdanie, które Leconte uznał za klucz całości: „Masz w sobie wszystkie Afryki". Można je odczytać szerzej. Każdy z nas nosi w sobie miejsce, z którego pochodzi, nawet jeśli nigdy w nim nie mieszkał. Pytanie tylko, czy znajdziemy drogę powrotną do źródła, zanim rzeka wyschnie.

Raynald Leconte jest haitańsko-amerykańskim reżyserem i producentem. Jego dokument „Amazing Grace: YorubaWorlds", którego współscenarzystą jest Wole Soyinka, zdobył w tym roku Programmers' Award dla najlepszego pełnometrażowego filmu dokumentalnego na Pan African Film Festival w Los Angeles. Więcej o twórczości Leconte'a na amazinggraceyw.film i spiralh.com.

© MARIA BIARDZKA

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 43/2026
REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
OPIEKA WYDAWNICZA: Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Janusz Sieńko | SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
FOTOEDYCJA: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara
Na okładce: Natalia Polasik, „Między światami", 2023 r.

PARTNER DODATKU:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

Wiecznie obca

ADAM WOŹNIAK

Ta książka zaczyna się jak klasyczna powieść, ale z czasem staje się jasne, że opowiada historię zbyt skomplikowaną, by dało się ją zmyślić.

Powieść reporterska? Reportaż powieściowy? A może osobny gatunek stworzony na użytek tej jednej wyjątkowej historii? Kilkanaście miesięcy temu takie wątpliwości towarzyszyły z pewnością wielu czytelnikom „Lasu duchów" Andrzeja Dybczaka – książki będącej wiernym zapisem rzeczywistego wyjazdu naukowego do tundry, a jednocześnie opowieścią bardzo mocno zanurzoną w schematach, które znamy z literatury gatunkowej. Podobną konfuzję może wywoływać wydana niedawno książka Agnieszki Dauksza, związanej z Uniwersytetem Jagiellońskim antropolożki literatury, eseistki i biografki dwukrotnie nominowanej do Nagrody Literackiej Nike.

„Niedaleko pada granat od jabłoni" zaczyna się jak klasyczna powieść. Z czasem do narracji przedostają się jednak pierwsze znane z życia publicznego postaci, zaczynamy kojarzyć fakty, aż wreszcie staje się jasne, że ta historia jest zbyt skomplikowana i zbyt poruszająca, by dało się ją po prostu zmyślić. Że jesteśmy świadkami poszukiwania historycznej prawdy – jakkolwiek wydawałaby się ona niedostępna i do prawdy niepodobna.

Autorka swoim zwyczajem bierze na warsztat postać „wielokrotnie złożoną" i pomijaną przez wielką historię. Główna bohaterka, Lina Fischman, to Żydówka urodzona w latach 20. w okolicach Lwowa. W młodości dziewczyna doświadcza głodu i antysemityzmu, ale też szybko uczy się sobie radzić – zarabia już jako nastolatka, potem z rozsądku wychodzi za bogatego, zakochanego w niej mężczyznę, rodzi dziecko i... cóż, jakiś czas później los konfrontuje ją z czymś zbyt trudnym nawet dla tak twardej kobiety.

W trakcie II wojny światowej Lina, już jako wdowa, idzie w tłumie ludzi prowadzonych na śmierć przez niemieckich żołnierzy. Na rękach trzyma malutką Ewę. W pewnym momencie, chcąc ratować



■ *Agnieszka Dauksza*, **NIEDALEKO PADA GRANAT OD JABŁONI**, *Karakter 2026*

dziewczynkę, wrzuca ją przez płot do mijanego właśnie ogrodu. Sama idzie zaś dalej i ostatecznie przeżywa wojnę, choć w pewnym sensie zostaje na zawsze uwięziona w tej tragicznej chwili – nigdy nie przestanie szukać dziecka i, co najważniejsze, nigdy nie będzie mogła mieć pewności, czy je znalazła. Czy mała Ewa to kilkuletnia dziewczynka adoptowana przez Juliana i Irenę Tuwimów? A może ma teraz na imię Irma i mieszka tam, gdzie ją porzucono – w ukraińskim Samborze?

Mamy więc do czynienia z wykraczającymi poza skalę tragizmu dylematami, a jednocześnie, co tu kryć, z sensacyjnym, hollywoodzkim wręcz materiałem. Trzeba przyznać, że Dauksza traktuje ten materiał z należnym szacunkiem. Autorka znakomicie zarządza uwagą czytelnika – stopniowo odkrywa przed nim warstwy tej historii, wprowadza nowe głosy i kolejnych świadków, którzy radykalnie zmieniają optykę. Książka ma więc swoją dramaturgię. Ani przez chwilę nie odnosimy jednak wrażenia, że ktoś sprzedaje tu tanią sensację, na siłę wyciska z oczu łzy albo czyni swe postaci prostymi symbolami tego czy owego.

Pewnie dlatego podczas lektury tak łatwo się wzruszyć, a warstwa symboliczna tej książki może wybrzmieć czysto i głęboko. Dauksza nie nawiązuje do mitologii i – w ogóle – stroni od erudycyjnych popisów. Nie sposób jednak uciec od wrażenia, że jej historia zawstydza wszystkich archetypicznych nieszczęśników. Że wiecznie obca, beznadziejnie poszukująca córki Lina mogłaby pozazdrościć Demeter, która wiedziała przynajmniej, kim jest Kora. I Odysowi, bo ten miał cel – odległą, ale jednak swoją Itakę. W tym sensie, jako postać bezdomna, niejednoznaczna i bezlitośnie więziona w koleinach losu, Lina może być uosobieniem dziwnego, XX-wiecznego tragizmu, który zamiast oczyszczenia oferuje zderzenie z twardym, bezsensownym konkretem.

Jednocześnie książka Daukszy jest po prostu znakomitym źródłem wiedzy na temat powojennych losów polskich Żydów i Żydówek. Przez pryzmat historii Liny i jej bliskich przyglądamy się rozliczeniom osób współodpowiedzialnych za Holokaust, strategiom przetrwania w czasach stalinizmu i wczesnego Gomułki, fali prześladowania Żydów w latach 60. czy losom żydowskich emigrantów w Szwecji, a od czasu do czasu przez uchyloną firankę zaglądamy też do salonu państwa Tuwimów.

Z tej perspektywy „Niedaleko pada granat od jabłoni" może stanowić uzupełnienie znakomitych „Oskarżam Auschwitz" czy „Księgi wyjścia" Mikołaja Grynberga, z których także, trochę mimochodem, można było dowiedzieć się wiele na temat powojennej i emigracyjnej codzienności. U Daukszy znajdziemy trochę mniej anegdot, a trochę więcej teorii i wstawek eseistycznych niż u autora „Rejwachu", ale w gruncie rzeczy mamy do czynienia z tą samą próbą uchwycenia tego, co przez lata wydawało się niemożliwe do poznania czy wypowiedzenia. ©

Zbig na wojnach

MARK BRZEZINSKI:

Gdy rozpadł się Związek Sowiecki, ojciec powtarzał, że Zachód powinien wspierać niepodległość Ukrainy, bo bez niej Rosja przestaje być mocarstwem.



ARCHIWUM PRYWATNE RODZINY BRZEZIŃSKICH / E. LUCE „ZBIG" WYDAWNICTWO AGORA 2026 X3

Zbigniew Brzeziński i prezydent Jimmy Carter żartują w Gabinecie Owalnym, 1978 r.

JACEK STAWISKI: W biografii autorstwa Edwarda Luce'a, której polski przekład ukazał się niedawno, Pana ojciec określany jest jako prorok czasów zimnej wojny: przewidział, że imperium sowieckie upadnie na skutek napięć narodowościowych. Pan urodził się w roku 1965. Czy polityka była tematem w Waszym domu?

MARK BRZEZINSKI: Ojciec był urodzonym nauczycielem. Uczył i studentów, i własne dzieci. Od najmłodszych lat rozmawiał z nami – ze mną, moją siostrą Miką i bratem Ianem – także na poważne tematy.

Gdy w latach 70. XX w. był doradcą prezydenta USA ds. bezpieczeństwa, uczynił podejście do kwestii narodowościowych w Związku Sowieckim elementem polityki USA. Zresztą wbrew oporowi Departamentu Stanu, który zakładał, że Kreml zdołał stworzyć „człowieka sowieckiego" i „sowiecki naród". Ojciec twierdził, że jest to niezgodne z realiami, że w obrębie bloku sowieckiego wciąż istnieją odrębne narody, które pragną wolności. To była fundamentalna słabość Związku Sowieckiego. Często o tym rozmawialiśmy.

Już w swojej książce „Between Two Ages: America's Role in the Technetronic Era" z 1970 r. ojciec zwracał uwagę na znaczenie Ukrainy. Zdolność ojca do wybiegania wzrokiem poza najbliższe wzgórze, jego umiejętność stawiania prognoz stanowiła jego unikalny atut.

Takie podejście bywa jednak sprzeczne z naturą polityki.

Waszyngtońska polityka skupia się na „tu i teraz", nie na perspektywie 10 czy 20 lat. To jej słabość, która hamuje planowanie strategiczne. Tymczasem ojciec miał dar wybiegania w przyszłość. Zajmował stanowiska oparte na rzetelnych analizach, także np. w kwestii Bliskiego Wschodu, Chin, Tajwanu. Ale wiele z tych opinii nie cieszyło się popularnością.

Pamiętam, jak po zamachach z 11 września 2001 r., gdy administracja Busha szykowała się do wojny z Irakiem, ojciec mówił: „Idziemy na wojnę w oparciu o fałszywe przesłanki", za co był w Waszyngtonie obiektem ostrych ataków. Zarzucano mu, że nie jest patriotą i prawdziwym Amerykaninem.

Jak to przyjmował?

Ojciec był outsiderem, który przebił się do społeczeństwa USA, do Waszyngtonu i elit decyzyjnych. Gdy osoby z tych kręgów zarzucały mu brak amerykańskości, wiem, że go to bolało. Pamiętam, jak Averell Harriman – gubernator Nowego Jorku i negocjator w kontaktach z Sowietami – tłumaczył poglądy ojca na Związek Sowiecki faktem, że urodził się w Polsce. To była etykieta, która nie uwzględniała jego zdolności intelektualnych.

Ojciec miał odwagę, by otwarcie konfrontować się z Harrimanem. Zachowały się listy między nimi, w których ojciec stawiał sprawę jasno: „Proszę nie przypisywać moich poglądów mojemu polskiemu pochodzeniu, a ja nie będę przypisywał Pana poglądów Pana pochodzeniu z kręgu WASP" [białych protestanckich Anglosasów – red.]. Potrafił twardo bronić swego stanowiska. Ale wiem, że te ataki sprawiały mu ból.

Pana ojciec był zwolennikiem niepodległej Ukrainy w czasach, gdy inni w USA, choć deklaratywnie popierali wolność zniewolonych narodów, to „nie przywiązywali wagi do szczegółów", jak mawiano. On podkreślał, że to jedna z kluczowych kwestii dla przyszłości Europy.

Gdy rozpadł się Związek Sowiecki, ojciec powtarzał, że Zachód powinien wspierać niepodległość Ukrainy, bo bez niej Rosja przestaje być mocarstwem, że Ukrainę należy wspierać nie tylko słowami, ale czynami. Apelował do Kongresu i kolejnych prezydentów o środki na budowę ukraińskiej demokracji i gospodarki wolnorynkowej. Powołał amerykańsko-ukraińską komisję, skupiającą przemysłowców, bankierów, naukowców i przedstawicieli władz.

Sądzę, że dziś uznałby, iż rosyjska agresja wynika także z braku dostatecznego wsparcia dla Ukrainy po 1991 r. Myślę też, że byłby dumny z narodu ukraińskiego, który broni swojej ojczyzny. Oraz że byłby dumny z Polaków za poświęcenie, jakim wykazali się po rosyjskiej inwazji, za tę mobilizację na rzecz wsparcia narodu ukraińskiego.

W grudniu 1980 r. Brzezinski i prezydent Carter interweniowali w Moskwie, gdy ta przymierzała się do zbrojnej interwencji w Polsce.

Trzeba pamiętać, że mój ojciec w głębi duszy zawsze czuł się Polakiem. Polakiem, który objął stanowisko doradcy prezydenta USA ds. bezpieczeństwa. Nieprzypadkowo prezydent Carter, już w pierwszym roku swej kadencji, wybrał



Zbigniew Brzeziński i Menachem Begin grają w szachy w Camp David, 9 września 1978 r.



Deng Xiaoping ściska dłoń Marka Brzezinskiego (z tyłu jego matka Emilie Benesz-Brzezińska). Spring Hill, 29 stycznia 1979 r.

Polskę jako cel jednej ze swoich pierwszych podróży. Ojciec mu towarzyszył.

Polska była dla niego ważna. Często wracał do domu i opowiadał nam przy kolacji, że właśnie zatwierdził przekazanie ogromnych sum, które miały być przemycone do Polski w czasie stanu wojennego i trafić do Solidarności. Był też blisko związany z Janem Nowakiem-Jeziorańskim. Warto także pamiętać o jego bliskich relacjach z prezydentem Reaganem, który objął urząd po Carterze. Reagan chciał, by ojciec został w jego administracji.

Pamiętam tamten wyjątkowy czas. Np. jak pojechałem z ojcem do ambasady Watykanu w Waszyngtonie na kolację z papieżem Janem Pawłem II. Ojciec i papież rozmawiali po polsku, dyskusja dotyczyła wyzwolenia Polski, a także tego, co oni, dwaj Polacy zajmujący wpływowe stanowiska na arenie światowej, mogą zrobić, by pomóc narodowi. A potem, w latach 90., ojciec wspierał proces transformacji Polski i jej integrację z Zachodem.

Pana ojciec musiał zmagać się z przeciwnikami rozszerzenia NATO w Stanach. Bo to wcale nie było takie oczywiste.

Nie było. Proszę przeczytać edytoriale „New York Timesa" z lat 1996-1998. Gdy pełniłem funkcję ambasadora USA w Polsce, ambasadę odwiedziła grupa senatorów. To było już po rosyjskiej inwazji na Ukrainę, do Polski skierowano wówczas dodatkowych żołnierzy USA. Podczas kolacji przeczytałem tym senatorom artykuł redakcyjny „New York Timesa", chyba z roku 1997 lub 1998, w którym pisano: „Sprzeciwiamy się rozszerzeniu NATO, gdyż chcemy, by narody byłego bloku sowieckiego się zaprzyjaźniły, a Rosja i jej sąsiedzi odnosili się do siebie życzliwie i łagodnie, żyjąc w przyjaźni".

Dziś widzimy, że bez członkostwa krajów Europy Środkowej w NATO sytuacja w tej części świata wyglądałaby zupełnie inaczej. Ponadto, członkostwo w Sojuszu, gwarancja bezpieczeństwa, przyczynia się do tego, że Polska świetnie się rozwija gospodarczo. Jednak w czasach, gdy ojciec działał ramię w ramię z Nowakiem-Jeziorańskim i Jerzym Koźmińskim, ambasadorem RP w Waszyngtonie – stanowili oni takie trio, lobbując na rzecz rozszerzenia Sojuszu – sytuacja wyglądała inaczej.

Czy po roku 1989 Pana ojciec obawiał się o kierunek zmian w Polsce?

Zdawał sobie sprawę, że demokratyczne odrodzenie Polski po 1989 r. było kruche i narażone na zagrożenia, że wymagało utrwalenia. Także dlatego popierał rozszerzenie NATO o Polskę – oraz ideę rozszerzenia Sojuszu w ogóle – i opowiadał się za przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej. Pamiętam, że był zaniepokojony, gdy zjawiali się nietypowi kandydaci na najważniejsze urzędy, jak Stanisław Tymiński w 1990 r.

Po raz pierwszy odwiedziłem Polskę w 1990 r. Podróżowaliśmy razem autem, mieliśmy więc czas na rozmowy, podczas których ojciec wyrażał troskę o kruchość polskiej demokracji. Ale z czasem jego obawy ustąpiły, nabrał większej pewności co do zdolności Polski do przetrwania. Pamiętam, że był pod wielkim wrażeniem Aleksandra Kwaśniewskiego i jego umiejętności politycznych. Utrzymywał też bliskie relacje z Radkiem Sikorskim, gdy w młodym wieku objął stanowisko ministra obrony.

Wróćmy do czasu, gdy „Zbig" Brzezinski był doradcą ds. bezpieczeństwa. W 1980 r. obok Polski było kilka kluczowych kwestii: Afganistan, a także Iran i skutki rewolucji islamskiej z 1979 r. Iran był dla Cartera i dla Pana ojca szczególnie trudnym tematem? ↦

↦ Kryzys związany z zakładnikami w ambasadzie USA w Teheranie był dla ojca źródłem wielkiej udręki. Podobnie rzecz miała się z nieudaną misją ratunkową. Porażka tej operacji była dla niego wielkim rozczarowaniem, a śmierć amerykańskich żołnierzy biorących w niej udział złamała mu serce.

Trzeba pamiętać, że w 1977 r., gdy ojciec przybył do Polski wraz z prezydentem Carterem, to kolejnym krajem, który wtedy odwiedzili, był właśnie Iran. W tamtym czasie, za rządów szacha, Iran utrzymywał dobre stosunki z USA, a nawet z Izraelem. Ojciec uważał Iran za kraj o kluczowym znaczeniu na Bliskim Wschodzie: o starożytnych korzeniach, reprezentujący jedną z najstarszych kultur świata. Wierzył, że jeśli Zachód chce właściwie ułożyć relacje z Bliskim Wschodem, musi też właściwie podejść do kwestii Iranu.

Dwa wielkie osiągnięcia Pana ojca: był współtwórcą traktatu pokojowego między Izraelem i Egiptem oraz doprowadził do nawiązania stosunków dyplomatycznych i normalizacji relacji z Chińską Republiką Ludową.

W marcu 1979 r. towarzyszyłem ojcu w Białym Domu podczas podpisywania traktatu pokojowego między Menachemem Beginem a Anwarem as-Sadatem, nad którym czuwał prezydent Carter. Begin i Sadat mówili wtedy, że gdyby prezydent i mój ojciec nie byli gotowi dosłownie zaryzykować prezydentury Cartera dla zawarcia tego traktatu, nigdy by do niego nie doszło. Obaj widzieli, że ten ostatni jest gotów zrobić wszystko dla pokoju, więc zrozumieli, że oni też muszą podjąć ryzyko.

Ostatecznie Sadat zapłacił za to życiem, zabity przez zamachowców. Później, w 1995 r., życiem zapłacił też izraelski premier Icchak Rabin. Warto pamiętać, jak niezwykły był to traktat: arabski prezydent podpisujący pokój z premierem z ramienia Likudu, izraelskiej partii centroprawicowej. To osiągnięcie, które przetrwało do dziś: najdłużej obowiązujący traktat pokojowy w najnowszej historii Bliskiego Wschodu. Mam tu żywe, osobiste wspomnienia.

Pamiętam też proces normalizacji stosunków z ChRL i postać Deng Xiaopinga. Kiedy przybył on do Waszyngtonu z wizytą, już pierwszej nocy odwiedził dom

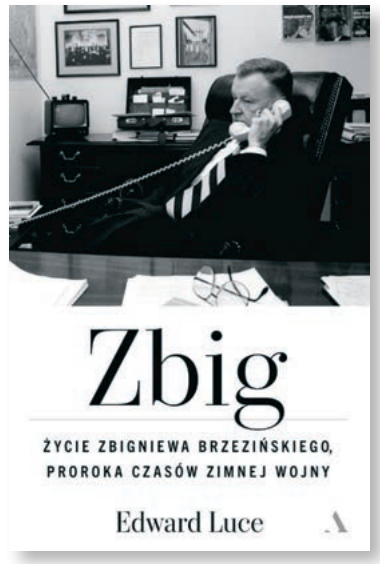

■ *Edward Luce*
ZBIG. ŻYCIE ZBIGNIEWA BRZEZIŃSKIEGO, PROROKA CZASÓW ZIMNEJ WOJNY
Agora 2026

moich rodziców w Wirginii, by zjeść posiłek z – jak to określono – „typową amerykańską rodziną". Był to niezwykły sukces, bo włączenie Deng Xiaopinga i Chin w zachodnią orbitę gospodarczą pozwoliło nam przeciągnąć wtedy Chiny na naszą stronę w zimnowojennej rywalizacji ze Związkiem Sowieckim. I, jak można przeczytać w książce Luce'a, udało się Stanom rozmieścić radary na zachodniej granicy Chin, naprzeciw Związku Sowieckiego...

Sądzi Pan, że Zbigniew Brzeziński przewidziałby, iż Chiny staną się dziś głównym rywalem Stanów i wolnego świata?

Uważam, że ojciec dostrzegał, iż po obu stronach istniały tendencje do wzajemnego demonizowania się. Chiny nienajlepiej rozegrały kwestię niektórych decyzji. Jednocześnie jednak uważam, że normalizacja stosunków pozwoliła wtedy wydobyć z ubóstwa miliard Chińczyków, to też istotne.

Mówi się, że w czasie rozmów między Izraelem i Egiptem, przy udziale USA, Begin i Brzeziński dobrze współpracowali, bo obaj mieli polskie korzenie.

To prawda. Kiedy pojechałem do Białego Domu na podpisanie traktatu pokojowego między Beginem a Sadatem, Begin powiedział do mnie: „Wie pan, zarówno pański ojciec, jak i ja jesteśmy Polakami i rozmawiamy ze sobą po polsku". Grali też ze sobą w szachy – dwóch Polaków, których połączyła rola twórców pokoju.

A jakie były relacje Pana ojca z Henrym Kissingerem? To dwaj giganci analizy spraw międzynarodowych.

Gdy Kissinger wręczał mojemu ojcu egzemplarz książki o Chinach, opatrzył go dedykacją: „Dla Zbigniewa Brzezińskiego, bardzo dobrego przyjaciela (zachowajmy to w tajemnicy) – Henry Kissinger". Byli kimś w rodzaju przyjaciół-rywali. Bez wątpienia stanowili dla siebie intelektualną konkurencję, a każdy z nich dysponował własnymi unikalnymi zdolnościami.

Nie ulega wątpliwości, że rywalizowali; potrafili być dla siebie surowi, ale jednocześnie darzyli się szacunkiem. Po śmierci ojca Kissinger napisał list do mojej matki, w którym wyznał, że płakał po jego odejściu, bo miał do niego wielki szacunek.

Kiedy ich światopoglądy, momentami bardzo antagonistyczne, zaczęły się łączyć?

Uważam, że kluczową kwestią – gdy mówimy o zgodności poglądów Kissingera i Brzezińskiego – były Chiny i znaczenie włączenia ich w ramy wspólnych celów, dzielonych z Zachodem i USA. Kissinger szczególnie cenił normalizację stosunków z Pekinem. Gdy idzie o prawa człowieka oraz wspieranie niezależnych organizacji i ludzi w bloku sowieckim, to Kissinger myślał kategoriami relacji między mocarstwami, równowagi sił. Z kolei Zbigniew Brzeziński brał pod uwagę również to, co działo się wewnątrz Związku Sowieckiego.

Ojciec uważał też, iż istnienie bloku sowieckiego jest z samej swej natury niemożliwe do utrzymania, skoro narody trzymane są w nim siłą bagnetów. A pragnienie wolności i zachowania własnej tożsamości to siły zbyt potężne, by taki układ mógł przetrwać. Ojciec był także wyczulony na ludzkie cierpienie, w łagrach i w całym bloku komunistycznym. Uważał, że Związek Sowiecki był fundamentalnie obarczony wadami i skazany na upadek.©℗ Rozmawiał JACEK STAWISKI

Mark Brzezinski, syn Zbigniewa Brzezińskiego, w latach 2022-2025 ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce, w latach 2011-2015 pełnił funkcję ambasadora USA w Szwecji.



LESZEK ZADOŃ

20-letnia Maya Wichert zabłysnęła w III etapie znakomitym wykonaniem przejmującej Fantazji „Vox amoris" Pēterisa Vasksa – i nie awansowała do etapu IV.

Nie ma recepty na konkurs doskonały

JAKUB PUCHALSKI

Teofil Milenković i Maya Wichert odpadli mimo znakomitych występów. Czy jurorzy powinni uzasadniać swoje oceny?

Tegoroczny Konkurs Wieniawskiego nazwałbym eksperymentem kontrolnym. Jak mówiła nam w wywiadzie dyr. Karolina Kaźmierczak, bardzo istotne nowe zasady zostały wypróbowane już wcześniej, w Ogólnopolskim Konkursie im. Jahnkego, ale to oznacza, że teraz powinny udowodnić swoją wartość. Czy po trzech etapach możemy już coś na ten temat powiedzieć?

Przede wszystkim to, że recepty na konkurs idealny wciąż nie ma. I zapewne być nie może, gdyż ocenianie sztuki na zasadzie konkursowej jest samo w sobie wadliwe. Niemniej marzyłoby się, by wreszcie tak jawne potknięcia, jak odrzucenie jednego z absolutnie najciekawszych muzyków turnieju już po drugim etapie, nie miały miejsca. A także drugiej podobnej indywidualności – po etapie trzecim.

W ten sposób pożegnał się z nami Teofil Milenković, a następnie Maya Wichert, dwie najbardziej wyraziste osobowości artystyczne (a Konkurs miał ambicje szukania indywidualności właśnie). Owszem, jedna wciąż pozostała w puli.

PUNKTY BEZ UZASADNIENIA

Jakiś element zatem zawiódł, co będziemy mogli zapewne zobaczyć w punktacji jurorów, która zostanie upubliczniona po konkursie. Ta jawność jest oczywiście bardzo ważną decyzją, już szczęśliwie nienową – ale też niestety niewystarczającą. Może przydatne byłoby, gdyby do każdej punktowej oceny jurorzy mieli obowiązek dopisać krótki komentarz – parę słów uzasadnienia?

Mam wrażenie, również po rozmowach z niektórymi sędziami Konkursu Chopinowskiego, że im samym taka werbalizacja wrażeń pomogłaby niekiedy dokonać bardziej adekwatnej – choćby z większym przekonaniem, a niekiedy i z większym namysłem – ewaluacji punktowej. Z własnego doświadczenia jurora wiem, że sama ocena punktowa z reguły nie jest równie dobra jak opis i dyskusja. Po której zawsze może nastąpić głosowanie.

CZEGO ZABRAKŁO W PROGRAMIE

III etap również był nowością na Konkursie Wieniawskiego – i nie jestem pewny, czy w tym kształcie sprawdził się jako źródło dodatkowej wiedzy o większości skrzypków. W poprzednich edycjach wszyscy mieli wykonać Symfonię koncertującą Mozarta – co faktycznie dla wielu mogło być nużące.

W tym roku jeden z czterech utworów koncertujących na skrzypce i smyczki: Wajnberga, Panufnika, Vasksa i Mikołaja Piotra Góreckiego. Piękna i urozmaicona muzyka, choć wszystkie utwory poruszają się po krainie łagodności. Zasadniczo mogliśmy więc sprawdzić, jak kandydaci panują nad czasem i budują długie frazy i łuki – choć wiele powiedziały nam o tym już sonaty z II etapu, „etapu prawdy".

Ponieważ jednak w programie obowiązkowym nie było żadnego utworu klasycznego – Mozarta lub Beethovena – to w tym momencie taki test dla każdego byłby chyba jednak wciąż przydatny. Nie musi to być przecież ta sama Symfonia Es-dur, samych Koncertów skrzypcowych Mozarta jest aż pięć.

Bardzo ciekawie skonstruowany został etap IV, w który – w momencie, gdy „Tygodnik" trafia do Państwa rąk – już zdążyliśmy się zagłębić. Półfinał stanowią wielkie koncerty skrzypcowe z repertuaru XIX-wiecznego: do wyboru Beethovena, Mendelssohna, Brahmsa, Dvořáka, Sibeliusa i Karłowicza. Na podstawie wykonania tych wybitnych dzieł „standardowych" wybrana zostaje trójka zwycięzców – po czym ich kolejność ustala zmaganie z jednym z dwóch koncertów skrzypcowych Wieniawskiego. ©

Więcej aktualności konkursowych znajdą Państwo pod adresem:

tyg-pow.pl/konkursWieniawskiego

MATERIAŁ PARTNERA

KULTURA

OŁÓWKI MUSZĄ BYĆ OKRĄGŁE

„Na wschód od Edenu" to wariacja mitu o Kainie i Ablu. W dziennikach pisarza widać, jak rośnie obsesyjne zainteresowanie Steinbecka tą opowieścią.

JERZY JARNIEWICZ



Nad powieścią, którą uznawał za swoje najważniejsze dzieło, John Steinbeck pracował od lutego do listopada 1951 r., w tempie, które nazwijmy błyskawicznym, pamiętając, że jest to również jego najdłuższa powieść. Narzuciwszy sobie surową dyscyplinę pracy i wyznaczywszy stachanowską normę tysiąca pięciuset słów dziennie, Amerykanin stworzył i puścił w świat jedną ze swoich najpopularniejszych, a jednocześnie najbardziej dyskusyjnych powieści.

Steinbeck pisał ją w zeszytach w niebieską linię, w których także przez cały ten czas prowadził dziennik: powieść kreślił na kartkach po prawej, a dziennik po sąsiedzku, na kartkach po lewej. Każdy dzień pracy nad powieścią zaczynał od zapisania strony dziennika w formie listu do zaprzyjaźnionego redaktora. Dziennik ten powstawał więc nie tylko równolegle z powieścią, ale też w tych samych co powieść okładkach.

Ta praca na dwie ręce potrzebna była Steinbeckowi z kilku powodów. Pisanie listów do przyjaciela, obciążonych monotonią codzienności i pozbawionych ambicji literackich, służyło pisarzowi przede wszystkim za rozgrzewkę. Steinbeck rozgrzewał się w ten sposób przed biegiem, mobilizując do działania swoją amerykańską angielszczyznę, ale też rozbudzał się na poziomie najzwyczajniej cielesnym, przygotowując do pracy swoje nadgarstki i palce. Ten wątek cielesnego wymiaru pisarskiego trudu jest być może w „Dzienniku" najciekawszy.

Steinbeck pisał ołówkami, które kupował po cztery tuziny naraz. Były dla niego sprzymierzeńcem w pracy, ale też przeciwnikiem. Na kostce palca jego prawej ręki po paru miesiącach pisania powstał bolesny nagniotek od wielogodzinnego trzymania ołówka; na małym palcu – drugi, od samego przesuwania palcem po papierze. Dlatego pisarz raz po raz przypominał przyjacielowi, że „ołówki muszą być okrągłe. Sześciokątne wrzynają mi się w palce po całym dniu pracy".

Wielkie wyzwanie

Dziś mamy sposobność, by przeczytać oba te skoligacone teksty, wznowiono bowiem przełożoną przez Bronisława Zielińskiego, a ponownie zekranizowaną powieść, i opublikowano pierwszy polski przekład codziennych relacji z jej powstawania, czyli „Dziennik pisarza".

Narzucony sobie przez Steinbecka rytm pracy odpowiada za żmudną sprawozdawczość tych zapisków, w których co pewien czas przebija się autorski komentarz dotyczący powstającej powieści, a z drugiej strony rzucający światło na samego pisarza w chwilach twórczego pobudzenia, przeplatanych chwilami znużenia i wątpliwości. Pięćdziesięcioletni Steinbeck nie roztkliwia się tu nad sobą, rzuca jedynie krótkie sygnały – a to że dopadła go depresja, a to znów, że po wypadnięciu plomby męczy go ból zęba.

To ważne fragmenty „Dziennika": przypominają, że twórca, nawet kiedy pisze, nie przenosi się w świat słów, ob-



MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Mike Faist, Christopher Abbott i Florence Pugh w serialu **„NA WSCHÓD OD EDENU”**, *scen. Zoe Kazan oraz Alexander Chee, reż. Laure de Clermont-Tonnerre i inni, Netflix*

razów i idei, ale jest bytem poddanym ograniczeniom własnej cielesności. I, co ważniejsze, że ten cielesny wymiar, który objawia się choćby we wspomnianych nagniotkach, nie istnieje osobno, ale odciska się w powstającym w codziennym trudzie utworze.

Praca nad powieścią, jak zaświadcza o tym „Dziennik”, była dla Steinbecka wyzwaniem, którym pisarz miał udowodnić sobie samemu, a także niechętnym krytykom, że potrafi stworzyć wielką, znaczącą powieść. Steinbeck czuł bowiem gorycz niedawnych literackich porażek, gdy na jego dramacie „Gorejące światło” (1950) krytycy nie zostawili suchej nitki. Coraz częściej odzywały się głosy mówiące o rozczarowaniu kolejnymi utworami pisarza.

W wypowiedzi z 1947 r. Faulkner wymienił wprawdzie jego nazwisko jako jednego z najciekawszych, obok Hemingwaya, pisarzy amerykańskich, ale dodał: „Wiązałem z nim wielkie nadzieje. Teraz już nie jestem taki pewien”. A jeszcze niedawno Steinbeckowi dane było poznać smak wielkiego sukcesu, jakim było choćby przyjęcie powieści „Tortilla Flat” (1935), noweli „Myszy i ludzie” (1937) czy „Gron gniewu” (1939).

Wielki Kryzys

Ta ostatnia książka, sfilmowana przez Johna Forda już w rok po jej opublikowaniu, opowiadająca o losie farmerów zmagających się z nędzą w czasach Wielkiego Kryzysu, pozwoliła rozpoznać w Steinbecku rzecznika warstw wykluczonych i upośledzonych. Opis podróży do wyidealizowanej Kalifornii w poszukiwaniu godniejszego życia, prowadzącej do nieuniknionego krachu tych wyobrażeń i bolesnego zderzenia z rzeczywistością, stał się jednym z najostrzejszych literackich oskarżeń systemu opartego na przemocy i wyzysku.

↦

↦ Po publikacji „Gron gniewu" Steinbeck musiał stawić czoła nagonce politycznych przeciwników, którzy doprowadzili do umieszczenia książki na rozmaitych listach utworów zakazanych, a nawet do publicznego palenia jej egzemplarzy, pisarzowi zaś nie wahali się grozić śmiercią. Właśnie tę powieść, nagrodzoną Pulitzerem, przywoływano po latach w uzasadnieniu Nagrody Nobla dla Steinbecka.

A jednak Steinbeck do pisarstwa reprezentowanego przez „Grona gniewu" wracać już nie chciał. Wizerunek jako pisarza protestu społecznego okazał się dla niego kulą u nogi, zwłaszcza że jego poglądy polityczne stopniowo traciły swój radykalizm, osiągając punkt krytyczny w połowie lat 60., kiedy to pisarz poparł amerykańską interwencję w Wietnamie.

Dlatego kiedy rozpoczął pracę nad „Edenem", wiązał z tym utworem nadzieje wielkiego przełomu. W swoim dzienniku pisał, że będzie to utwór odmienny, „książka, którą zawsze chciałem napisać, na którą pracowałem i od lat modliłem się o możliwość jej napisania".

Przewidywał też niechęć, z jaką może się spotkać wśród krytyków i kolegów po piórze, którzy go „rozszarpią", uznając powieść „za staroświecką i niemodną". Był pewien, że powieść zostanie doceniona tylko wtedy, „gdy trafi do ludzi, którzy niczego nie oczekują i są gotowi pójść za opowieścią", bo „z południowego pasa neuroz, od pisarzy twardzieli, posypią się tylko szyderstwa". Wielokrotnie też przekonywał, raczej siebie samego niż adresata tych zapisków, że to „najlepsza książka, jaką kiedykolwiek napisałem".

Wielkie nadzieje

Tym trudniej zrozumieć, czemu efekt tej pracy okazał się, mówiąc oględnie, nie do końca zadowalający. Podczas lektury „Na wschód od Edenu" rodzić się może wątpliwość, czy Steinbeck panował nad tym monumentalnym zamysłem. Z zapisków w „Dzienniku" wynika, że pisał nieco w ciemno, koncepcja powieści zmieniała się, pisarza niosło samo pisanie. „To bardzo niepokorna historia", przyznawał, „Wyrywa mi się z rąk i idzie, jak chce".

Pisane w tym duchu komentarze można by uznać za autorską kokieterię, ale tkwi w nich ziarno prawdy o doświadczeniu twórczym, które zakłada zawsze jakiś element przypadkowości i uwzględnia chwile, kiedy to nie autor prowadzi narrację, ale narracja prowadzi autora. Rozbrajająca jest szczerość pisarza, gdy w „Dzienniku" zwierza się, że na myśl o tym, co będzie dalej, „aż mnie ciarki przechodzą".

Sama powieść miała być w zamierzeniach Steinbecka historią rodziny pisarza spisaną ku pożytkowi jego małoletnich synów z drugiego, zakończonego z hukiem małżeństwa. To że narracja odeszła od autobiografizmu na rzecz wyobraźni, że wydawca wymusił na pisarzu rezygnację z kierowanych do synów moralizujących komentarzy, przywitajmy z ulgą. Kłopot w tym, że powieść jest niespójna, jakby Steinbeck nie mógł się zdecydować, o kim tę powieść pisze.

Początek może sprawiać wrażenie, że w centrum opowiadanej historii jest żyjąca w dolinie Salinas rodzina Hamiltonów, czyli powieściowych Steinbecków, ale wkrótce pałeczkę przejmuje rodzina Trasków, rozpoczynając trzypokoleniową historię ojca i synów upozowanych na biblijne dzieci Adama i Ewy. Kompozycyjną niespójność niektórzy krytycy próbują ratować, uznając ją za walor powieści, w której sens nie jest przedustanowiony, ale wykluwa się w działaniu, w prowadzonej narracji.

Że to raczej skaza niż dowód gotowości autora do wychodzenia poza oczekiwania, widać w adaptacjach filmowych powieści – film Elii Kazana z 1955 r. ogranicza się do ostatniej jej części, skupiając się jedynie na rodzinie Trasków w czasach pierwszej wojny światowej i bezpośrednio ją poprzedzających.

Najnowsza adaptacja filmowa, serial według scenariusza Zoe Kazan, wnuczki Kazana, również ogniskuje się wokół historii Trasków, i choć Hamiltonowie mają tu kilka wejść, nie przypisano im większego znaczenia. To nie są zwykłe skróty scenariuszowe – to, co z tych adaptacji wypadło, byłoby trudnym, bądź niemożliwym do wkomponowania elementem filmu.

Z pierwotnego pomysłu, by ukazać poprzez historię Salinas dzieje Ameryki na przestrzeni półwiecza, też niewiele zostało. Choć tło historyczne i zmiany cywilizacyjne zostały tu zarysowane, to z każdym kolejnym rozdziałem kontekst społeczny kurczy się, aż w końcu znika, ustępując miejsca wyrażonej w „Dzienniku" ambicji pisarza, by jego powieść „uchwyciła istotę życia".

Kiedy pisarz próbuje uchwycić taką istotę, w kąt idzie zainteresowanie tym, co swoiste dla konkretnej społeczności, a historia ustępuje miejsca ponadczasowości. Jeśli Steinbeck pisał w „Dzienniku", że powieść to „autobiografia całej doliny, którą traktuję jak mikrokosmos całego narodu", to dopowiedzmy od razu, że z pola widzenia ginie zróżnicowanie tego narodu, obraz zawęża się (do historii jednej rodziny) i jednocześnie uniwersalizuje (do obrazu istoty życia), przyjmując postać współczesnego mitu.

Wielka historia

Bo powieść Steinbecka na micie jest ufundowana. „Na wschód od Edenu" to współczesna wariacja mitu o Kainie i Ablu. W „Dzienniku pisarza" możemy prześledzić, jak rośnie – niemal obsesyjnie – zainteresowanie Steinbecka tą opowieścią.

„Jestem bardzo zadowolony, że moja najnowsza powieść zawdzięcza swoją konstrukcję najstarszej historii świata", pisał w połowie pracy nad książką. Im później, tym widoczniejsze są te biblijne tropy, a powieść coraz bardziej przesyca moralistyczna intencja – „Na wschód od Edenu" przestaje być historią rodziny Steinbecków, a staje się przypowieścią o naturze zła.

Tę ewolucję widać w zmieniających się tytułach powstającego dzieła: powieść najpierw miała nosić tytuł „Dolina Salinas", potem, gdy Steinbeck chciał nadać jej bardziej osobisty sznyt, była to „Moja dolina", a gdy na pierwszym planie pojawił się biblijny takielunek, pisarz chciał rzecz zatytułować „Znamię Kaina".

Przed tym nieszczęściem uchronił go przypadek: by głębiej wniknąć w biblijną historię, Steinbeck przepisał ołówkiem szesnaście wersetów Księgi Rodzaju i trafił na frazę, która stała się ostatecznym tytułem powieści. Wers, z którego Steinbeck zaczerpnął tytuł, brzmi, w przekładzie Wujka: „I wyszedłszy Kain od oblicza Pańskiego, mieszkał wygnańcem w ziemi na wschód od Edenu".

Ale biblijne zakorzenienie powieści, ujawniające się coraz dobitniej w „Dzienniku", daje o sobie znać także w ciekawym z uwagi na swoją wielowarstwowość temacie trafności przekładu wersetu 4, 7 z Księgi Rodzaju: „Lecz i ty nad [pożądliwością grzechu] panować będziesz". W trzech dostępnych pisarzowi przekładach anglojęzycznych mowa jest o tym,

że Kain albo będzie panował, albo że musi panować, a wreszcie, że może panować.

Steinbeckowi najbliższa była trzecia interpretacja przypominająca o możliwości wyboru, jaką ma wobec zła człowiek – interpretacja polemiczna wobec prezbiteriańskiej nauki o predestynacji. Tą drogą Steinbeck chciał pójść w powieści.

Poprosił przyjaciela o pomoc w rozstrzygnięciu, który z trzech przekładów jest poprawny i jak wygląda w hebrajskim oryginale to tłumaczone tak odmiennie słowo: „Będę musiał poznać cały czasownik: od bezokolicznika, przez czas przeszły i tryb łączący, aż po czasowniki złożone i czas przyszły. Może będziemy musieli wyjść poza myśl rabiniczną i sięgnąć po czysto naukowe opracowanie, nawet jeśli będzie nieżydowskie".

W zapiskach z „Dziennika" widać, jak Steinbeck szuka potwierdzenia wolnej woli, potrzebnej mu jako idea spajająca powieść, to ona „daje człowiekowi wielkość, czyni go równym bogom, bo w swojej słabości i brudzie, nawet w morderstwie brata, ma on zawsze prawo wyboru".



John Steinbeck,
DZIENNIK PISARZA. „NA WSCHÓD OD EDENU" W OSOBISTYCH ZAPISKACH, *tłum. Magdalena Rychlik, Prószyński i S-ka, 2026*

Wielkie słowo

Steinbeck, przyznaję, potrafi i tu zaskoczyć: w „Na wschód od Edenu" interpretację tego fragmentu Biblii wkłada w usta Chińczyka Li, który po dwuletnich badaniach, jakich podjęli się na jego prośbę spowinowaceni z nim chińscy mędrcy z San Francisco, przynosi wiadomość, że poszukiwanym słowem jest *timszel* i że znaczy ono „możesz": możesz panować nad grzechem.

Dostajemy więc kilkustopniową mediację, w którą zaangażowane są trzy kultury i trzy języki: hebrajskie słowo dociera do anglojęzycznego farmera w interpretacji lokalnych Chińczyków, którzy chcąc rozwiązać problem, nauczyli się hebrajskiego.

Bibliści jednak szybko zwrócili uwagę, że Steinbeck popełnił tu błąd, bo słowem tym nie jest *timszel*, ale *timszol*, czasownik czasu przyszłego w trybie oznajmującym. Choć powinniśmy być i tu ostrożni, bo, jak sugerują inne autorytety, może być zupełnie inaczej: tryby czasownika w biblijnej hebrajszczyźnie mogły mieć odmienny sens, a oznajmienie nierzadko pełni funkcję nakazu.

Literatura na ten temat rośnie, nie mnie ten spór rozstrzygać. Jedno jest pewne, że choć Steinbeck wykorzystał to słowo, by do swojej powieści o naturze zła wprowadzić temat wolnego wyboru, to, jakby mimo woli, zrobił też coś ciekawszego, wprowadził do powieści problem przekładu, albo szerzej: komunikacji, której sens okazuje się często nierozstrzygalny, pozostając raczej zadaniem do spełnienia niż gotową prawdą do przyjęcia.

Timszel staje się u Steinbecka finalnym drogowskazem nie dlatego, że jego bohaterowie dotarli do pierwotnego znaczenia tego biblijnego słowa, ale dlatego, że zyskało ono uwiarygodnienie w ich życiowym doświadczeniu.

Pisarz nie jest jednak konsekwentny: historia, którą snuje, a która ma być przypowieścią o wolnej woli, naznaczona jest mimo wszystko fatalizmem. Powtarza się w kolejnych pokoleniach, odtwarzając pierwotną przypowieść o zabójstwie brata. Samo nadanie bohaterom biblijnych imion – czy też imion do nich zbliżonych – skazuje ich na powtórzenie losów biblijnych imienników.

Wielkie zło

Najbardziej zagadkowa jest tu kreacja Cathy. Wprowadzając ją do powieści, Steinbeck nie pozostawia wątpliwości, kim ona będzie: to potwór, który potworem się urodził. Cathy nie może zachowywać się inaczej, bo, choć wygląda niewinnie, jest uosobieniem zła: urodziła się bez dobroci i bez sumienia, „tak jak dziecko może narodzić się bez ręki". Jednocześnie jednak Steinbeck pisze w „Dzienniku", że potworność tej postaci tkwi w pewnej mierze także w każdym z nas. Cathy urzeka czytelników „nie dlatego, że jest nieludzka, ale dlatego, że jest bardzo ludzka".

Zgoda, to fascynująca postać, której Steinbeck jednak, w odróżnieniu od twórców serialu, nie dał szansy, by bilans jej życia wypadł korzystniej, nie uczynił też nic, co mogłoby wyjaśnić, skąd wzięła się u niej potworność – poza tym, że taką się urodziła. Czy więc Cathy także mogłaby zapanować nad pożądliwością zła? *Timszol*, Katarzyno?

Narrator, który nazwał Cathy potworem, w innym miejscu powieści otwiera furtkę i dopuszcza myśl, że mógł się pomylić: „Łatwo jest powiedzieć, że była zła, ale to niewiele znaczy, jeżeli nie wiemy dlaczego". Serial Zoe Kazan, a przede wszystkim obsadzona w roli Cathy Florence Pugh, bardziej niż powieść próbują się temu „dlaczego" przyjrzeć.

Choć powieści, jak przewidywał Steinbeck, „się oberwało", stała się ona czytelniczą sensacją. Pisana pospiesznie, miejscami niechlujnie, niewolna od banału i ckliwości, trzyma asa w rękawie. Za jej sukcesem stoi siła archetypicznej wizji, jaką udało się wykreować Steinbeckowi, posiłkującemu się jedną z najstarszych w naszej kulturze narracji, oferującemu czytelnikom okraszony elementami gotyku i thrillera współczesny mit.

Psychologia występujących w nim postaci przypomina psychologię greckich bogów, a więc wolną od reżimu prawdopodobieństwa i niepotrzebującą analiz, a będącą motorem ich dramatycznych, obciążonych potężnym ładunkiem emocjonalnym, działań. „Na wschód od Edenu" to także saga rodzinna, w której obsadzie znalazły się postaci umieszczone w archetypicznych rolach ojców, matek, synów i (nie zapominajmy!) córek, a więc osób tworzących relacje, w które z natury rzeczy uwikłany jest lub był każdy z nas. Aż ciarki przechodzą.

© JERZY JARNIEWICZ

Kwadratura słońca

ANITA PIOTROWSKA

PREMIERA | Rzadko zdarza się, żeby kino potrafiło tak dobrze oddać czyjeś wewnętrzne, najbardziej intymne i surrealistyczne stany za pomocą prostych, pozornie zobiektywizowanych obrazów.



MATERIAŁY PRASOWE

Czymże jest pamięć, jak nie wyobrażaniem sobie przeszłości?" – zapytuje Sandra Wollner i robi to nie tylko w wywiadach. Te przymglone retoryką słowa oddają istotę jej świetnego filmu „Everytime", nabierając w nim pogłębionego i wielorakiego sensu. Historia rozpięta między dzisiejszym Berlinem a Teneryfą opowiada o próbie emocjonalnego odtworzenia czasu minionego, którego tak naprawdę nigdy nie było – i nadania mu innego biegu.

Wszystko zaczyna się do bólu realistycznie i z dość długą rozbiegówką. Oto siedemnastoletnia Jessie (Carla Hüttermann) ma jechać z rodziną na wakacje, ale w nocy wymyka się na imprezę techno, zażywa ze swoim chłopakiem jakieś substancje i, prawdopodobnie pod ich wpływem, spada z dachu berlińskiego wieżowca. Rok później życie zdaje się toczyć w miarę normalnym torem. Widzimy, jak samodzielna matka dziewczyny (Birgit Minichmayr) podlewa rośliny na jej grobie, lecz jednocześnie załatwia zdalnie biznesowe sprawy. Mała Melli (Lotte Shirin Keiling) wreszcie ma pokój wyłącznie dla siebie, a Lux (Tristán López) zdążył już znaleźć nową dziewczynę.

To jednak pozory normalności. Chłopaka dręczy poczucie winy za tamtą śmierć, Melli nadal wysyła nieżyjącej siostrze wiadomości z emotkami, matka zaś w atakującej ją znienacka kamerze dronowej dostrzega spojrzenie nieobecnej i tajemnicze znaki przez nią wysyłane. Cała trójka decyduje się jechać razem na Teneryfę, by odbyć – w nieco zmienionym składzie – tamtą nieodbytą podróż sprzed roku i przepracować swoje żałoby. W tym miejscu (o ile nie już dużo wcześniej) zaczyna się kino z zupełnie innego porządku, psychologicznego, filozoficznego i filmowego.

Zwiastuje to już tytuł, który w polskim tłumaczeniu mógłby brzmieć „Za każdym razem" i odnosić się na przykład do cykliczności wschodów i zachodów słońca. Ilekroć na nie patrzymy, nie sposób przewidzieć, które z nich będzie naszym ostatnim. Tytuł nawiązuje także do cyklicznej natury pamięci – nie jest wszak twardym dyskiem, lecz plastyczną materią, nieustannie przekształcaną i odkształcaną, pod wpływem nowych doświadczeń i emocji. W pewnym momencie słońce nad hiszpańskim kurortem przestanie zachodzić, choć wcześniej, wraz z odejściem Jessie, jej najbliżsi mogli mieć poczucie, jakby zaszło na dobre. Że czas się wtedy dla nich zatrzymał, a jego kolejne cykle stały się czymś dotkliwym czy wręcz skandalicznym.

Teraz próbują ten czas zaklinać, ale oto zatrzymane słońce nagle zaczyna... kwadratowieć. Niczym blok z Vintage Story, czyli gry w stylu Minecrafta, w którą grała ongiś Jessie, i teraz zanurza się w tych światach jej młodsza siostra. Można w nich, walcząc o wirtualne przetrwanie, dowolnie kreować rzeczywistość i rzeźbić w pikselowych przestrzeniach, czego raczej zrobić się nie da w przygodnym i nieprzewidywalnym realu. A tym bardziej w stanie tłumionego na różne sposoby cierpienia. Wtedy jednak otwiera się pudełko zwane wyobraźnią i uruchamia swoje mechanizmy obronne, biorąc we władanie racjonalne terytoria.

Wollner rzeźbi w materii kina ręką pewną i zarazem nadzwyczaj wrażliwą, przechodząc niepostrzeżenie od rzeczowych obserwacji w rejony zmaterializowanych wspomnień i fantazji. Całkowicie bezszwowy charakter tych przejść wnosi na ekran niepokój i rzadko zdarza się, żeby kino potrafiło tak dobrze oddać czyjeś wewnętrzne, najbardziej intymne i surrealistyczne stany za pomocą prostych, pozornie zobiektywizowanych obrazów. Wielka w tym zasługa brytyjskiego operatora Gregory'ego Oke, który wcześniej był autorem zdjęć do „Aftersun" (2022), wybitnego debiutu Charlotte Wells. Zdumiewające, jak te dwa filmy, świadomie czy mimowolnie, rozmawiają ze sobą.

Przypomnijmy: tam wspomnienia z dzieciństwa zabierały nas do tureckiego kurortu – dorosła narratorka przywoływała najntisowe powidoki swoich ostatnich wakacji z ojcem, cierpiącym na ukrytą depresję i zagranym przez Paula Mescala. Była to również historia żałoby odtwarzanej w oparciu o zdjęcia z Polaroida czy kręcone na wczasach amatorskie filmiki, co też nie jest podobieństwem przypadkowym, albowiem reżyserki są prawie rówieśnicami i dorastały w czasach boomu wideo.



EVERYTIME
– reż. Sandra Wollner. Prod. Niemcy/ /Austria 2026. Dystryb. Jamnik Films. W kinach od 23 października.

Sandra Wollner to austriacka reżyserka i scenarzystka, twórczyni filmów „Obraz niemożliwy" (2016) i „O niedogodności narodzin" (2020). „Everytime" otrzymało Nagrodę Główną w sekcji Un Certain Regard na tegorocznym festiwalu w Cannes i jest niemieckim kandydatem do Oscara.

Na zdjęciu: kadr z filmu „Everytime"

I raz jeszcze stojący za kamerą Oke potrafi oddać nastrój obrazami pustych bądź anonimowo zaludnionych miejsc – w tym przypadku blokowiska ze wschodniej części Berlina czy dość typowego wczasowiska na Wyspach Kanaryjskich. Odzierając to drugie miejsce z folderowej estetyki i filmując w długich, statycznych ujęciach, pozwala odczuć na własnej skórze wyobcowanie bohaterów szukających ukojenia po wielkiej stracie.

„Gdzie oni wszyscy są?!" – to pytanie, zadane w filmie Wollner dwukrotnie i to w kluczowych momentach, kiedy Oke panoramuje puste okna bloku mieszkalnego albo opustoszałą wyspę, przywołuje wizję świata jako czysto indywidualnej projekcji. Chwilami robi się gęsto od symboliki (nie przypadkiem w filmie, gdzie tyle jest o słonecznym świetle, chłopak nosi imię Lux), nie dociąża to jednak filmu, w którym najsubtelniej działają właśnie same mechanizmy patrzenia.

Dlatego trudno wymazać z pamięci wypadek Jessie – scenę jakże dyskretną, dwuznaczną, właściwie niemożliwą, która dezorientuje zmiennością punktów widzenia. I refleksją niczym z Bruegla – bo ile znaczy taka pojedyncza śmierć w większym porządku świata i na tle pejzażu, w którym mimo wszystko życie będzie toczyć się dalej? „Everytime" jest próbą zaprzeczenia temu porządkowi: filmem o utracie i tęsknocie, opowieścią o duchach i piękną halucynacją w jednym. Lecz nawet to ostatnie, choć różnego rodzaju „towar" przechodzi tutaj z rąk do rąk, nie zamyka widza w swoich sztywnych ramach. A silne emocje mają oddech dyskretny, szukają bowiem ujścia nie w nadekspresji, ale w subiektywnych wizjach, w których duchy zdają się istotami równie wyobrażonymi, co realnymi.

Czy wyjazd na Teneryfę pozwolił bohaterom domknąć swój proces żałoby? Czy spotkali tam wcielenie Jessie, czy po prostu widmo utkane ze wspomnień, zdjęć, filmików i cyfrowych śladów? Świetnie, że Wollner zaciera owe granice. Uwalnia tym samym film od wszelkich schematów związanych z przedstawianiem rodzinnej traumy czy próbami nachalnego terapeutyzowania widza. Równocześnie stwarza ciekawy portret nieobecności. Takiej, która nadal pozostaje luką, ale sprawia, że ci, którzy doświadczyli straty – chociaż każde z nich przeżywa ją na swój sposób – mogli stać się dla siebie nawzajem trochę bardziej obecni. ©

Lektor:
Umbria i świat



▪ *Bartek Kieżun,*
VIA FLAMINIA. OPOWIEŚCI Z UMBRII
z fotografiami autora,
Czarne, Wołowiec 2026

Czy człowiek może sobie wybrać miejsce, w którym się niejako wtórnie zakorzeni? Bartek Kieżun, dziennikarz i podróżnik, autor przewodników kulinarnych, uważa, że tak. Żegnamy się z nim, gdy podlewa zioła, które posadził właśnie na oczyszczonym przez siebie kawałku ziemi, z nadzieją, że przyjmą się, jak i on się przyjął. Dom już kupiony, a prowadzeniu remontu towarzyszy dalsze zgłębianie wiedzy o Umbrii, odkrywanie tajemnic sąsiedniego miasteczka i zawieranie kolejnych znajomości z miejscowymi.

Historia, sztuka, krajobraz, relacje z ludźmi, kulinaria – te wątki splatają się; raz jeden, raz inny wysuwa się na pierwszy plan. Powstaje przewodnik, czy raczej zaproszenie do wędrówki najlepszej z możliwych: nie takiej, która została rygorystycznie zaplanowana, lecz takiej, w której jest miejsce na przypadek i zaskoczenie. W której czyjeś słowa kierują nas w nową stronę i odsłaniają przed nami na przykład świetne freski ukryte w niepozornym kościółku. Dowiadujemy się mnóstwo – o starożytnych dziejach krainy i ścieraniu się kultury Umbrów z żywiołem etruskim, ale też na przykład o żmijach i dzikich szparagach, albo o pewnym gatunku groszku, który jest pyszny, ale trochę trujący i wywołuje przykre objawy neurologiczne.

„Nie wybrałem Umbrii. Chcę wierzyć, że to ona wybrała mnie. Dlatego po kilku latach mieszkania w tym pagórkowatym regionie, porośniętym drzewami oliwnymi, w którym zimą wieje okrutna tramontana i gdzie wspaniałej sztuce towarzyszą wyborna kuchnia, rewelacyjne wino i niezwykłe opowieści, sięgające czasów starożytnych, postanowiłem o niej napisać".

Z tym że jak tytułowa Via Flaminia prowadziła z Rzymu przez Umbrię do nadadriatyckiego Rimini i otwierała drogę na północ, tak i z autorem podróżujemy niekiedy w przestrzeni i czasie, dzięki czemu nasze pole widzenia znacznie się rozszerza. A już od anegdot przytaczanych przez kolejnych rozmówców jest aż gęsto. No i zdjęcia dobre, choć niestety tylko czarno-białe. A chciałoby się zobaczyć w kolorze na przykład freski Benozza Gozzolego w Montefalco czy wnętrze znajdującej się w tym samym mieście, trudno dostępnej kaplicy, pokryte malowidłami anonimowego Maestro Santa Chiara de Montefalco. Cóż, nie można mieć wszystkiego – książka i tak jest piękna, świetna w lekturze i smaczna. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Zhańbieni kalafiorem



Na cztery dzielić ziarenko groszku to nie dla mnie. Całą *nouvelle cuisine* można streścić jednym zdaniem: nic na talerzu, wszystko na rachunku". Wielki, jeden z największych francuskich szefów kuchni, Paul Bocuse, miał właściwy stosunek do jedzenia (chociaż w latach 60. jednak kombinował z nowofalowymi wynalazkami i niektóre dania miał w owym czasie równie mało strawne jak filmy Godarda). Pewnie dlatego, że był nawet bardziej lyoński niż po prostu „francuski". W Lyonie znajduje się bowiem epicentrum tradycji francuskiej wyżerki (i to nie jest wcale jedyna jego przewaga nad Paryżem). Jako miasto *par excellence* kupieckie, był od dawna na styku rozmaitych wpływów i m.in. dlatego jada się tam wyjątkowo dobrze – to znaczy nie tylko do syta, ale i z odrobiną zmysłowego zbytku – na tyle, na ile status społeczny i trudne zawsze czasy pozwalają. „Dobra kuchnia jest wtedy, kiedy unoszę pokrywkę, spod której paruje dobry zapach i można od razu to zjeść" – mawiał Bocuse, tak czczony w kraju, że pogrzeb prowadzony przez kardynała stał się paradą oficjeli, z szefami policji i trybunału konstytucyjnego na czele.

Wątpię, czy jakikolwiek polski szef kuchni – wszystkim życzę długiego życia w zdrowiu! – marzy o tym, by nad grobem przemawiali mu panowie Kierwiński i Święczkowski. Żarty stroję, tymczasem spod francuskiej pokrywki buchnęło okrutną, niszczycielską parą, elegancki lyoński Plac Bellecour zamienił się w teatr barbarii. Zanim chłystki podpaliły pałacyk mieszczący miejskie biuro turystyki, wywlekły na bruk spiżową statuę Bocuse'a, którą miasto ufundowało z 10 lat temu. Nie sądzę, żeby ciżba sankiulotów miała pojęcie, kogo ma zaszczyt poniewierać. Ale uliczna przemoc jest zawsze ślepa, nawet kiedy rewolta jest zasadniczo słuszna, moje pokolenie w sumie żałowało, że o zwalaniu pomników i rwaniu bruku mogło sobie posłuchać tylko w piosence barda. Dla nas, ludzi dzielących życie i wszelkie jego zatrudnienia wedle rytmu posiłków (i popitków), ten obrazek, bolesny niczym lot fortepianu Chopina, zostanie jednak jako zadra, znak, że jedna z gwiazd na naszym firmamencie mętnieje i przygasa. A może tak naprawdę już zgasła – dobrą puentą upadku papieża kucharzy jest pełen gniewu list otwarty jego syna do władz: mniejsza o treść, zupełnie przewidywalną (oburz, hańba, srogie kary). Sęk w tym, że Bocuse junior sam też prowadzi gwiazdkową restaurację, tyle że czyni to w Disneylandzie na Florydzie.

Żeby pozostać w schyłkowym nastroju, możemy przypomnieć teorię, że wszystkiego, co dobre w kuchni, Francuzów i tak nauczyła dopiero Katarzyna Medycejska poślubiona Henrykowi z Walezjuszy. Miała nie tylko przywieźć nad Sekwanę



MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

warzywa, jako to szparagi, groszek, karczochy, ale też fundamentalne ingrediencje i sosy, np. beszamel, bitą śmietanę nawet. Lista smakołyków jest długa – lody i sorbety, stek wołowy, czyli fiorentina – ale musimy ją przerwać nie z braku miejsca, ale dlatego, że to totalna lipa. Nie ma żadnego świadectwa, iż w świcie Katarzyny był jakikolwiek kucharz. Przywiozła ze sobą spory sztab ludzi od politycznej i dworskiej roboty – wszak przez kolejne 40 lat nieraz faktycznie sprawowała władzę, była, jak to się dziś mówi, „kontrowersyjna" – ale jadła to, co jej gotowali miejscowi. Część składników czy technik być może przywędrowała do Francji z ziem włoskich w owych czasach lub nieco wcześniej, ale żadna królowa, choćby ambitna i okrutna, nie jest zdolna szybko wywołać głębokiej przemiany obyczajów i posiłków. To są zawsze powolne procesy.

Najzabawniejsze jest to, że te duby smalone nie wyszły od Włochów – nie, to była część czarnej legendy, którą aparat propagandowy Burbonów począwszy od XVIII wieku szył Walezjuszom: o słabości i kiepskim statusie tej poprzedniej dynastii miało świadczyć to, iż popadli w gnuśną zmysłowość, jedząc wydziwione specjały przywiezione przez cudzoziemkę i jej śliskich dworaków.

Brzmi znajomo? Obca królowa, XVI wiek, dziwne warzywa... Tylko u nas jako eksporterzy warzyw wystąpili zamiast Medyceuszy Sforzowie. Każdy poważny historyk kultury materialnej wam powie, że z tymi importami Bony to jest czcza legenda. Kontakty Krakowa z Italią były od dawna intensywne i rozmaite. A jeśli już chcemy szukać na serio styku polityki i kuchni, to o dwa pokolenia wcześniej działał na wawelskim dworze jako doradca i wychowawca przyszłych królów Filip



Alonso Sánchez Coelo – warsztat; „Uczta monarsza”, ok. 1596

Buonaccorsi zwany Kallimachem – tenże zaś wcześniej w Rzymie należał do ścisłego kręgu Bartolomea Platiny, autora jednej z pierwszych książek kucharskich i kluczowej postaci dla kształtowania się włoskiego smaku.

Nie dowiemy się nigdy, kto nauczył nas „włoszczyzny”, bo nie ma takiej jednej osoby. Możemy sobie odpowiedzieć za to na inne pytanie: czemu akurat Bona stała się twarzą przemian obyczaju i odżywiania? Moja teoria jest taka, że biedna Sforzówna padła ofiarą czarnego piaru tych elit w Polsce, które były przeciwne jej asertywnej polityce. Wspomniany już bard w piosence o Stańczyku krótko streszczał tę niechęć: „ta kobieta władzy wciąż niesyta (...) a ja nie cierpię tej baby”. Cóż prostszego, jeśli chcemy kogoś na zawsze obrzydzić sobie i potomnym, niż wykorzystać jakiś fundamentalny aspekt obcości w dziedzinie obyczajów? Nie dało się Bonie zarzucić, iż jada dzieci na śniadanie i popija krwią dziewic, no to sięgnięto po sałatę i korzonki. Liście jeść, mości panowie?! Kalafiorem Polaka zhańbić? Obrzydlistwo. Zagłodzi i potruje nas ta baba. A że po paru wiekach nasz stosunek do warzyw i sałaty uległ zmianie (bośmy sfrancuzieli...), to już inna historia. Wkładając do gara włoszczyznę (pod Wawelem znaną jako swojska „jarzynka”), westchnijmy nad losem pierwszej ambitnej kobiety, skutecznie zakrzyczanej przez kiełbasiany chór.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Ziemniaki po lyońsku

Bocuse mawiał, że fundamentem jego wiary w przyszłość francuskiej kuchni pozostanie zawsze trójca „masło–śmietana–wino”, a ja z radością zeloty przystępuję do takiej religii. Nie mogę jednak nie ostrzec, że Lyon jest, owszem, stolicą dobrego jedzenia, ale dla ludzi o zdrowych wątrobach. Albo zaopatrzonych w sprawdzone ziółka na trawienie – mięta, cykoria, dziurawiec, kocanka, koper włoski... Wszystko to dobrze jest mieć pod ręką, kiedy się idzie do jednej z tradycyjnych knajpek zwanych tam bouchon. Bo samo wino, na ogół z pobliskiego Beaujolais położonego tuż na zapleczu miasta, lekkie, bardzo „gastronomiczne”, może nie wystarczyć. Nie wiemy dokładnie, kiedy Francuzi zaczęli stosować beszamel – na pewno pierwszy drukowany przepis pojawił się sto lat po Katarzynie Medycejskiej, w czasach Ludwika XIV, a nazwa (od nazwiska ważnego dworzanina tegoż króla) znacznie później. Połączenie masła z mąką i mlekiem, sami to przyznacie, jest na tyle proste i genialne, że mogli na nie wpadać ludzie w różnych miejscach niezależnie od siebie.

SKŁADNIKI:
1 kg ziemniaków o średniej zawartości skrobi 300 g cebuli 50 g masła ▪ pęczek natki pietruszki ▪ bułka tarta
Do beszamelu:
50 g białej mąki 50 g masła 0,5 l mleka ▪ sól ▪ pieprz ▪ gałka muszkatołowa

Spróbujmy więc oddać cześć zarówno lyońskiej tradycji, jak i Królowi Słońce, przygotowując „podkręconą” wersję ziemniaków po lyońsku, które w podstawowym wydaniu są po prostu długo smażone w dużej ilości masła. Obieramy ziemniaki, kroimy na w miarę takie same plasterki o grubości ok. 1 cm. Wkładamy do wody, zagotowujemy, solimy i gotujemy 5-7 minut, aż będą prawie miękkie. Odcedzamy, po krótkim wystygnięciu osuszamy papierowym ręcznikiem. Równolegle kroimy cebulę w cienkie piórka, dusimy na maśle na bardzo wolnym ogniu, podlewając wodą, w której gotują się ziemniaki – około 15 minut, aż będą zupełnie miękkie i niemal przejrzyste. Smarujemy dno brytfanki masłem, posypujemy bułką tartą, wykładamy połowę ziemniaków w jednej warstwie (nie powinny na siebie zachodzić), dajemy połowę cebuli, wlewamy nieco wcześniej przygotowanego beszamelu, posypujemy siekaną natką, powtarzamy całą sekwencję i zalewamy całą resztą beszamelu, a oprócz natki na wierzch dodajemy pieprz i ewentualnie trochę tartego sera. Wstawiamy do pieca na 180 stopni na kwadrans albo tyle, żeby powstała lekko zrumieniona skorupka. Nie jest to zapewne szczyt wyrafinowania, ale takiej ilości masła nikt się nie oprze. ©℗



EKATHERINA / ADOBE STOCK

ZMYSŁY

Z KAMERĄ WŚRÓD STWORZEŃ



VINCENT MUNIER, REŻYSER I FOTOGRAF:

Obserwując przyrodę, wtapiamy się w otoczenie. Uzbrajamy się w cierpliwość, pokorę, poddajemy niepewności. To stan umysłu, nieważne, czy praktykowany w Tybecie, czy za własnym domem.

Fragment kadru z filmu „Pieśni lasu" (Le chant des forêts) w reżyserii Vincenta Muniera

ADAM ROBIŃSKI: Jeden z najmocniejszych obrazów Twojego poprzedniego filmu, „Ducha śniegów", to Twoja rozanielona twarz. Oblicze człowieka, który promienieje szczęściem na widok przyrodniczych cudów Tybetu. Ku mojemu zdziwieniu w „Pieśniach lasu" oglądamy głównie Twoje plecy.

VINCENT MUNIER: W nowym filmie jestem tylko środkowym ogniwem, które łączy dwie inne generacje – mojego syna i mojego ojca. Chciałem, żeby to było dla widza jasne: autor filmu kręci swoich bliskich. Poza tym „Pieśni lasu" to o wiele bardziej kameralny film od „Ducha śniegów". Tam, w Tybecie, miałem do pomocy dwoje współrealizatorów. Teraz byłem zupełnie sam. Nikt nie mógł mnie filmować, bo to ja filmowałem innych. Moim celem było pokazanie świata przyrody na progu domu. Tybet to miejsce magiczne, ale bardzo odległe, niemal nieosiągalne.

We francuskich Wogezach, gdzie powstał nowy film, mieszkasz od urodzenia. Bliżej pracować się nie dało.

Wogezy to miejsce, w którym wszystkiego się nauczyłem: życia w górach, funkcjonowania w dzikim terenie, budowania czatowni, fotografowania. Opowiadając o tym, łatwo było mi się otworzyć. Mówić o relacji z ojcem i z synem, o sprawach, które zwykle zachowuję dla siebie. Zamiast opisywać wyprawę na malowniczy kraniec świata, film jest raczej alegorią codziennego życia.

Czyli nie mógłby powstać w żadnym innym miejscu.

Znajoma, oswojona przestrzeń pozwoliła mi wypracować konkretny przekaz: że nawet najdrobniejsze, najbardziej niepozorne składowe natury mogą nas poruszać, wzruszać, wywoływać silne emocje. Że spotkanie z dzikim zwierzęciem jest czymś przejmującym nie tylko na krańcu świata. Że ważne są wszystkie gatunki, nie tylko te najbardziej spektakularne. Strzyżyk zachwyca tak samo jak ryś. A oba są tak samo istotne jak kukułka.

Jako ludzie musimy przemyśleć nasze hierarchiczne postrzeganie świata, bo to ślepa uliczka. Traktujemy naturę jako źródło surowców, coś, nad czym należy panować, co trzeba kontrolować, wykorzystywać. W efekcie wszystko zjadamy, spalamy i dewastujemy. Na to, co nie jest nami, patrzymy przez pryzmat potencjalnych zysków.

I chroniąc przyrodę, używamy argumentów ekonomicznych. Mówimy o tzw. usługach ekosystemowych. Przekonujemy, że to nam się opłaca.

Musimy za wszelką cenę zmienić tę perspektywę – tak brzmi moje podstawowe przesłanie. Dlatego w napisach

końcowych wymieniam wszystkich bohaterów na równi: owady, ptaki, drzewa, ludzi. W „Pieśniach lasu" chciałem mówić o empatii. Żyjemy w czasach kryzysu współczucia. Marzy mi się, abyśmy obudzili w sobie ciekawość względem odmienności. Żebyśmy pytali, żebyśmy się zachwycali. Film operuje językiem poezji, której nam w życiu codziennym brakuje. Mam wrażenie, że współczesne systemy edukacji się jej boją albo nawet jej zakazują. Skupiają się wyłącznie na dążeniu do sukcesu, na rozwoju. Ten sukces rozumieją przez pryzmat pieniędzy, statusu społecznego, konsumpcji. W efekcie zdławiliśmy w sobie umiejętność zachwycania się życiem jako takim. A ja mówię: las to dobro wspólne i wspólna odpowiedzialność.

W jaki sposób, na przekór szkole i współczesności, nauczyłeś się zachwycać światem?

Wzrastałem w wyjątkowych warunkach: w górach, z rodzicami, którzy przekazali mi taki, a nie inny światopogląd. Kiedy człowiek przychodzi na świat w mieście i tam jest wychowywany, bez biwaków i rozgwieżdżonego nieba nad głową, omija go bardzo wiele spraw. Moje dzieciństwo na wsi traktuję jako ogromny przywilej, odnoszę wrażenie, że mam w związku z nim do spłacenia pewien dług. Spłacam go m.in. „Pieśniami lasu", staram się przekazać innym to, co dostałem. Początkowo chciałem nakręcić film wyłącznie o moim ojcu. Opowiedzieć o tym, czego mnie nauczył. Ale potem przyszła refleksja: Simon to moje jedyne dziecko. Gdy byłem w wieku, w jakim on jest teraz, a więc gdy miałem 12-13 lat, wszystko się dla mnie zmieniło. To właśnie wtedy zachwyciłem się fotografią przyrodniczą. Ten niezwykle ważny w życiu każdego młodego człowieka czas zdefiniował to, kim jestem dziś. Zapraszając do filmu Simona, chciałem niejako odtworzyć tamte doświadczenia. Miałem oczywiście obawy, czy mi się uda. Pomyślałem, że spróbuję, a w najgorszym wypadku po prostu nie wykorzystam części nagranego materiału. Docierają do mnie jednak sygnały, że to właśnie dzięki Simonowi film jest wciągający również dla jego rówieśników. Dzieci we Francji proszą rodziców, by pozwolili im spać w lesie. By zabierali ich w przyrodę i razem prowadzili obserwacje.

Ale Simon dorasta w innym świecie niż ten z czasów Twojego dzieciństwa.

Dlatego nie bałem się scen, w których otwarcie mówi, że nie chce mu się wstawać przed świtem, aby iść w teren. Albo gdy zerka na swojego smartfona. Simon ogląda filmy, ma swoje komiksy, swoje mangi. Uwielbia gotować, wkłada w to całe serce, poza tym interesuje się designem i dekoratorstwem. Wiem, że nie pójdzie w moje ślady, a ja nie zamierzam go pchać w tym kierunku. Ale widzę również, że udało mu się wyhodować ciekawość, na której tak mi zależy. Jest czujny i uważny, interesuje go wiele spraw. Bacznie przygląda się otoczeniu.

Czy Twój ojciec, znany francuski przyrodnik i obrońca przyrody, popychał Cię w stronę własnych zainteresowań?

Nie, to przyszło samoistnie. Owszem, czasami za nim łaziłem, ale obserwacje przyrody to raczej samotnicze zajęcie. Idąc we dwójkę, wydaje się dwa razy więcej dźwięków, wydziela dwa razy więcej zapachów. Ojciec uczył mnie budowania kryjówek, ale częściej wędrowałem własnymi ścieżkami. Był w tym pewien rodzaj zdrowej rywalizacji: opowiadaliśmy sobie, kto co zobaczył, co przeżył. Rozmawialiśmy o różnych gatunkach, wymienialiśmy się doświadczeniami. Ale to wszystko wychodziło ode mnie, nie musiałem być przez niego zachęcany. W ten sam sposób nie wpływam dziś na Simona. Wierzę, że ma wszystkie karty, by odkryć i pielęgnować własną pasję.

Komercyjnemu sukcesowi „Ducha śniegów" zawdzięczasz to, że możesz dziś mówić o tak mało spektakularnych sprawach.

Kręcąc „Ducha śniegów", mieliśmy niejako gotowy przepis na sukces. Do udziału zaprosiłem Sylvaina Tessona, znanego pisarza. Pojechaliśmy do Tybetu, wędrowaliśmy przez baśniowy krajobraz, gdzie szukaliśmy śnieżnej pantery, która traktowana jest czasem jako stworzenie mityczne. To była wspaniała mieszanka, a we francuskich kinach film obejrzało 600 tysięcy widzów. Duży sukces, w końcu mówimy o dokumencie. Za nic nie mogłem się spodziewać, że „Pieśni lasu" przebiją ten wynik! Tymczasem do dziś nowy film obejrzało we Francji prawie półtora miliona widzów, a prawa zagraniczne sprzedaliśmy do 20 krajów. Widzowie polecają go sobie pocztą pantoflową, opowiadają o jego kojącym wpływie.

Ale jest też druga strona medalu – mało kto się zastanawia, skąd ten sukces. Że kryje się za nim głęboka potrzeba związana z kontaktem z przyrodą. To pokazuje, jak chorym krajem jest Francja.

Wszystko, co mówisz, sugeruje, że śnieżna pantera, której szukaliście w Tybecie z Tessonem, i głuszec, którego tak bardzo chce zobaczyć Twój syn w „Pieśniach lasu", to tylko preteksty do rozmowy o czymś większym i ważniejszym.

Oba filmy łączy coś jeszcze: sposób, w jaki wtapiamy się w otoczenie. Stajemy się tłem, bo tylko wtedy być może uda nam się zobaczyć to, na czym nam zależy. Uzbrajamy się w cierpliwość, pokorę, poddajemy niepewności. To pewien stan umysłu, nieważne, czy praktykowany w Tybecie, czy we Francji.

Przyrodę fotografuję od 35 lat. Kiedy zajmujesz się czymś tak długo, prędzej czy później zauważasz, że żyjesz wewnątrz bańki, przekonujesz przekonanych. Zacząłem kręcić filmy po to, by ją przebić. Sylvain Tesson to bardzo utalentowany pisarz, światowiec, człowiek żądny przygód i wrażeń, który, jak sam przyznał, nigdy nie miał czasu, żeby się zatrzymać. W „Duchu śniegów" miał być pomostem dla widzów, którzy w podobny sposób gnają przez świat. Zależało mi, by publiczność spojrzała oczami kogoś, kto właśnie przeżywa pierwsze zachwyty. W tym samym celu do „Pieśni lasu" zaprosiłem Simona.

To jednak trudne – obserwacje przyrodnicze bywają czasochłonne i bezowocne. Są zupełnym przeciwieństwem naszej codzienności, w której dominują głośne ↦

MATERIAŁY PRASOWE

i namolne bodźce. Telefony, powiadomienia, transmisje. Każdy zabiega o naszą uwagę.

Ale to nie jest przegrana walka. Owszem, to, czym się zajmuję, jest bardzo czasochłonne. Wymaga wielu wyrzeczeń, a na końcu może okazać się bezowocne, bo zwierzę, na które czekamy, po prostu się nie pojawi. Brakuje spełnienia. Zupełnie inaczej niż w świecie, w którym żyjemy na co dzień. To świat przepychu, nieustającej gratyfikacji, mechanizm nagrody działa nieprzerwanie, dopamina leje się strumieniami. Tylko że dziecko, które wpadnie do sklepu ze słodyczami i zacznie się nimi bez przerwy objadać, w końcu będzie miało dość. Zatruje się, zwymiotuje.

Każdy, kto zaczyna świadomie obserwować naturę, uczy się doceniać rzeczy, które przychodzą z czasem. Takie, które wymagają cierpliwości. One się nigdy nie przejadają. Tak samo jak smaczne, wyrafinowane potrawy – one się nigdy nie nudzą, ale ich przygotowanie zabiera sporo czasu.

W „Duchu śniegów" nazywasz to sztuką zasiadki. Sztuką czekania i obserwowania.

To stan umysłu, który pozwala zderzyć się z pięknem. Uważam, że każdy, kto nawet przypadkowo zetknie się z pięknem świata przyrody, dozna jakiegoś olśnienia. Podświadomie zrozumie, że człowiek też jest zwierzęciem, a jego miejsce jest między innymi stworzeniami.

Ale kategoria piękna jest we współczesnym świecie rzadko kojarzona z przyrodą. Jeszcze rzadziej spotyka się dorosłych mężczyzn, którzy otwarcie mówią o potrzebie piękna.

Jedną z największych tragedii współczesności jest nasz egocentryzm. Jako ludzie skupiamy się wyłącznie na sobie. Uważamy, że piękne jest tylko to, co wyszło spod rąk człowieka. Np. dzieła sztuki. To niesamowite, jak wielką wagę przykładamy do muzeów, w których trzymamy przede wszystkim przedmioty. Tymczasem w naturze nic nie jest nachalne. Ona nie zabiega o naszą uwagę. Łatwo jednak doszukać się w niej umiaru, balansu, harmonii. Obserwując z bliska płatki kwiatu, albo żyłkowanie na liściu, albo upierzenie jakiegoś ptaka, od razu dochodzi się do wniosku, że ocieramy się o perfekcję. Bardzo mnie boli, że przestaliśmy zwracać uwagę na takie detale.

W swojej twórczości, zarówno fotograficznej, jak filmowej, staram się być wymagający względem siebie, starannie wybieram to, na co kieruję wzrok. Ta uważność jest czymś niezbędnym. Ale kluczowe słowa wypowiadam na końcu filmu: natura to nie tylko widowisko, spektakl, to przede wszystkim wspólne życie. Zależy mi, by to przesłanie trafiło do każdego.

Od ambasadorów natury, takich jak Ty, oczekuje się również, że będą jej czynnymi obrońcami. Uważasz się za aktywistę?

Aktywizm jest bardzo ważny. „Pieśni lasu" też są formą aktywizmu. Łagodnego, miękkiego, ale nasyconego emocjami i wibracjami. To się naprawdę dobrze uzupełnia z tradycyjnymi formami walki w obronie przyrody. Zaletą tego typu działania, które oddziałuje poprzez piękno i zachwyt, jest to, że nie wywołuje podziałów. Nie zamykasz się w sztywnych ramach, zamiast tego otwierasz się na innych, a przez to docierasz do nowych odbiorców. Zresztą sukces obu filmów ułatwia mi działanie. Więcej osób mnie słucha, mam na myśli przede wszystkim polityków i decydentów. Łatwiej mi ich przekonać do pewnych racji. Stałem się w jakiś sposób wpływowy.



MATERIAŁY PRASOWE

VINCENT MUNIER (ur. 1976) jest francuskim fotografem przyrody i filmowcem. Zdobywca dwóch nagród Cezara oraz Nagrody Braci Lumière za najlepszy film dokumentalny. „Pieśni lasu" były pokazywane podczas tegorocznej edycji Millennium Docs Against Gravity. 23 października dokument wchodzi do szerokiej dystrubucji.

Na zdjęciu: z aparatem w lesie, pomiędzy ojcem Michelem (przyrodnikiem i mentorem) oraz synem Simonem.

O co toczy się dziś batalia w ochronie francuskiej przyrody?

W całej Europie to są te same historie, te same fronty. Chodzi przede wszystkim o erozję bioróżnorodności, intensywne rolnictwo, które wypiera wszelkie inne formy życia. O uprawy drzew, które sadzimy w miejscu prawdziwych lasów. Przecież nawet duża część Puszczy Białowieskiej została przekształcona przez człowieka. Jadę tam zresztą za kilka dni, chcę znów zobaczyć ten legendarny las, konfrontować dziecięce wspomnienia ze stanem obecnym.

Byłeś już kiedyś w Puszczy?

Jako małe dziecko. Moi rodzice byli bardzo biedni, a mieli trójkę dzieci. Na wakacje jeździliśmy raz na pięć lat. Wiele słyszeliśmy o Polsce, więc do tego wyjazdu przygotowywaliśmy się długo. To było trochę jak z jedzeniem, o którym rozmawialiśmy wcześniej – przyrządzenie wspaniałej potrawy musi zająć dużo czasu. Ale w końcu się doczekaliśmy: wsiedliśmy do wysłużonego rodzinnego vana i ruszyliśmy. To były niesamowite cztery tygodnie. Odwiedziliśmy Roztocze, okolice Biebrzy, Puszczę Białowieską i Bieszczady. Jako że już wtedy las był dla mnie ważną przestrzenią, więc wspomnienia z tamtych dni są bardzo wyraziste. Wszystko wydawało mi się większe, potężniejsze, dziksze, o wiele bardziej intensywne. Dlatego teraz od razu przyjąłem zaproszenie, żeby promować w Polsce nowy film. Zadziałała nostalgia, bardzo chciałem tu wrócić. Znów zobaczyć Puszczę.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

O złotej jesieni życia **warto pomyśleć** wcześniej

Polskie społeczeństwo się starzeje. Według prognozy GUS ludność Polski zmniejszy się z około 37,3 mln w 2026 r. do 30,9 mln w 2060 r., a udział seniorów wzrośnie [1].

Co więcej, liczba osób w wieku co najmniej 100 lat może zwiększyć się z 10 403 w 2025 r. do 69 876 w 2060 r., czyli o około 572 proc. Wydatki na świadczenia honorowe dla stulatków mogą w 2060 r. sięgnąć około 16 mld zł brutto, szacuje Pekao TFI [2]. Jednocześnie w Polsce będzie ubywać osób w wieku produkcyjnym. Według prognozy GUS ich liczba spadnie z około 21,7 mln w 2025 r. do 15,1 mln w 2060 r., czyli o ponad 30 proc. To istotne wyzwanie dla publicznego systemu emerytalnego, w którym bieżące składki ubezpieczonych pomagają finansować obecne świadczenia [3].

Nie warto więc zwlekać z rozpoczęciem samodzielnego oszczędzania. Przyjrzyjmy się przykładowi Marka i Krzysztofa. Obaj zarabiają dziś po 10 tys. zł brutto miesięcznie, ale Marek ma 30 lat, a Krzysztof – 40. W symulacji Pekao TFI przyjęto, że obaj przejdą na emeryturę w wieku 65 lat. Aby zgromadzić kapitał potrzebny do uzupełnienia przyszłej emerytury, Marek powinien inwestować 805 zł miesięcznie, a Krzysztof już 1201 zł, czyli niemal o połowę więcej. Wyliczenia te opierają się na założeniu 5-procentowej rocznej stopy zwrotu, która nie jest gwarantowana [4].

Warto zacząć oszczędzać odpowiednio wcześnie, ponieważ późniejszy start może wymagać wyższych wpłat. Nigdy nie jest jednak za późno, by zadbać o spokojną, złotą jesień życia – także pod względem finansowym.

Pomóc w tym mogą Pracownicze Plany Kapitałowe (PPK), jednak zgromadzone w nich oszczędności niekoniecznie wystarczą do utrzymania dotychczasowego poziomu życia na emeryturze. Dlatego warto też rozważyć IKE i IKZE. Oba rozwiązania pozwalają dodatkowo oszczędzać na emeryturę i wiążą się pod pewnymi warunkami z określonymi korzyściami podatkowymi. W przypadku IKE możliwe jest zwolnienie z podatku od zysków kapitałowych, natomiast IKZE pozwala odliczać wpłaty w rocznym rozliczeniu podatkowym, w granicach obowiązującego limitu. Szczegółowe warunki, które trzeba spełnić, by skorzystać z tych preferencji, przedstawiono na stronie internetowej Pekao TFI **www.pekaotfi.pl**. IKE i IKZE w Pekao TFI można założyć w oddziałach Banku Pekao S.A., gdzie klienci uzyskają również fachową pomoc i odpowiedzi na pytania dotyczące odkładania na jesień życia. Wbrew pozorom samodzielne oszczędzanie nie musi być skomplikowane, a nawet niewielkie kwoty wystarczą, by je rozpocząć.

[1] Źródło: GUS, www://stat.gov.pl/obszary-tematyczne/ludnosc/ludnosc/ludnosc-piramida/

[2] Źródło: opracowanie własne Pekao TFI na podstawie danych GUS i Polskiego Instytutu Ekonomicznego. Miesięczne świadczenie honorowe w 2060 r. wyniesie 18 956 zł przy założeniu waloryzacji rocznej na poziomie 3 proc.

[3] Źródło: Główny Urząd Statystyczny „Prognoza ludności na lata 2023-2060", scenariusz średni, wykres nr 12. Osoby w wieku produkcyjnym w Polsce to mężczyźni w wieku 18–64 lata oraz kobiety w wieku 18–59 lat.

[4] Źródło: Opracowanie własne Pekao TFI, założenia do wyliczeń: roczny wzrost wynagrodzeń na poziomie 3 proc., roczna waloryzacja ZUS 3 proc., przejście na emeryturę w wieku 65 lat, średnia długość życia na emeryturze wg tablic ZUS: 222,7 miesięcy, wszystkie kwoty podano w wartości dzisiejszego pieniądza.

Jest to materiał reklamowy. Inwestowanie w fundusz inwestycyjny wiąże się z ryzykami. Przed podjęciem decyzji inwestycyjnej zapoznaj się z prospektem informacyjnym funduszu zawierającym zwięzły opis praw uczestników, Dokumentem zawierającym kluczowe informacje i, w przypadku specjalistycznego funduszu inwestycyjnego otwartego, Informacją dla klienta alternatywnego funduszu inwestycyjnego, które wraz z tabelą opłat znajdziesz w jęz. polskim u podmiotów prowadzących dystrybucję i na **www.pekaotfi.pl**. Warunki uczestnictwa w IKE i IKZE znajdziesz na **www.pekaotfi.pl.** Fundusz nie gwarantuje realizacji założonego celu inwestycyjnego ani uzyskania określonego wyniku inwestycyjnego. Indywidualna stopa zwrotu z inwestycji zależy m.in. od wysokości opłat za zarządzanie oraz podatku od dochodów kapitałowych. Oceny zawarte w materiale wyrażają wyłącznie opinię ich autora. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego, usługi doradztwa inwestycyjnego, podatkowego ani udzielania rekomendacji dotyczących instrumentów finansowych lub ich emitentów. Pekao Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych S.A. działa na podstawie zezwolenia Komisji Nadzoru Finansowego.

Pekao TFI
Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych

MATERIAŁ PROMOCYJNY

TOMASZ

Stawiszyński: *Tłum*



Na początku myślałem, że to fejk, ale okazało się, że jednak nie. Pete Hegseth, szef Pentagonu, naprawdę planował zorganizować transmisję na żywo z egzekucji Nidala Hasana, zamachowca, który w 2009 r. w Fort Hood zabił 13 osób. Finalnie zgody nie wyraził Donald Trump, niemniej przez dłuższy czas zastanawiał się, co zrobić, a propozycję potraktował zdecydowanie serio. Warto więc w taki właśnie sposób zastanowić się nad tym, dlaczego w ogóle padła – i o czym może to świadczyć.

Sporo już na ten temat napisano. Odezwał się np. abp Timothy Broglio, duszpasterz amerykańskich sił zbrojnych, który przypomniał o sprzeciwie Kościoła wobec kary śmierci i przytomnie zauważył, że publiczne epatowanie zabijaniem jest praktyką typową dla terrorystów. Nie on jeden dostrzegł tę analogię. Inni komentatorzy przywoływali tzw. *snuff movies*, czyli nagrania tortur, gwałtów czy zabójstw, dawniej dostępne nielegalnie na kasetach wideo, dziś krążące masowo m.in. na uwolnionym przez Elona Muska od „cenzury" portalu X. Tu i ówdzie pojawiły się głosy, że egzekucje ku uciesze gawiedzi to regresja do czasów rzymskich masakr na arenach i do praktyk publicznych straceń, z których ostatnie miało miejsce w USA w 1936 r. Albo że to zwykła zagrywka przedwyborcza. Zarazem niektórzy zwolennicy kary śmierci wyrazili głęboką dezaprobatę dla udostępniania jej w internecie – np. Charles Fein Lehman na łamach „The Free Press". W podobnym tonie wypowiedziała się córka Michaela Granta Cahilla, jednej z ofiar Hasana.

W zasadzie trudno cokolwiek jeszcze dodać. Może poza jednym. Otóż wbrew pozorom nie mamy tu wcale do czynienia z powtórzeniem tego, co już kiedyś było. A w każdym razie – nie tylko. Zasadnicza część pomysłu Hegsetha jest wszak najściślej nowoczesna, charakterystyczna dla naszych czasów – z ich ekshibicjonizmem, wystawianiem wszystkiego na widok, normalizacją i nobilitacją podglądania. Owszem, w poprzednich epokach też wiele było na widoku, niemniej teraz – i to jest właśnie fundamentalna różnica – ten widok rozpościera się na całą kulę ziemską. No, prawie całą, istnieją bowiem takie zakątki globu, których jeszcze nie oplotła sieć informacyjna, ale po pierwsze jest ich niewiele, a po drugie niebawem i one zostaną oplecione.

Gest Hegsetha był więc nie tyle powrotem do przeszłości, ile propozycją stworzenia jakości zupełnie nowej – oficjalna transmisja egzekucji na cały świat nigdy się jeszcze nie odbyła. Nawet najbardziej wiralowe *snuff movies* krążące po sieci nie mogłyby się równać zasięgami z tego rodzaju przedsięwzięciem.

Ale jest tu jeszcze jedna, ze wszech miar nowoczesna, choć również zakorzeniona w przeszłości komponenta. A mianowicie: tłum. Właściwy odbiorca transmisji Hegsetha. Tłum globalny, więc liczniejszy niż kiedykolwiek. I potężniejszy niż kiedykolwiek, bo w tzw. mediach społecznościowych – macierzy, która powołała go do życia – dysponujący bezprecedensową mocą. Zanurzony w nich 24 godziny na dobę. Sterowany za ich pośrednictwem, odpowiednio: zjednywany lub podburzany, z premedytacją aktywowany do nagonek albo też spontanicznie, oddolnie sam nagonki organizujący. Tłum wciąż żądny intensywnych emocji, dostarczanych mu skwapliwie przez stosownie zaprogramowane algorytmy. Tłum napawający się swoją siłą, jednego dnia wynoszący tego lub tamtą na piedestał, pogrążający się w egzaltowanym zachwycie, drugiego zaś rozwścieczony, nienawistny, pełen pogardy i szyderstwa. Tłum oznakowujący każdy kwant rzeczywistości znakiem plus albo minus. Tłum złakniony oceniania wszystkiego, co tylko przepłynie przed jego zbiorczym okiem.

W ciągu kilkunastu ostatnich lat ów tłum niepostrzeżenie stanął w centrum życia publicznego, stał się jednym z najważniejszych jego aktorów. Tonowanie go albo wzbudzanie w nim agresji stało się umiejętnością, którą muszą dysponować zarówno politycy, jak i celebryci czy też wielkie korporacje, a raczej reprezentujące ich wyspecjalizowane agencje. Z jednej strony – przewidywalny i wyjątkowo podatny na proste perswazje, z drugiej strony – kapryśny, zmienny i chaotyczny. Nigdy nie wiadomo, czy za chwilę nie wymknie się z najbardziej nawet sprawnych rąk i nie zwróci przeciwko tym, pod których batutą wcześniej posłusznie grał. Każdy, kto dziś zajmuje się jakąkolwiek oddziałującą na rzeczywistość działalnością, musi się z nim liczyć. Polityka i marketing – czy raczej: polityczny marketing i polityka marketingowa – opierają się niemal bez reszty na sztuce jego obsługi. Oczywiście, istnieją formy tej obsługi bardziej lub mniej szlachetne. Pete Hegseth – oraz mnóstwo innych, podobnych mu osobników z różnych stron światopoglądowych barykad – posługuje się tymi najniższymi i o potencjalnie najstraszniejszych konsekwencjach.

Bo też i taki, w moim przekonaniu, jest wyłączny cel tej akcji. Nie chodzi o nic innego niż o wygranie uwagi i aplauz tłumu. Nakarmienie go, zjednanie sobie jego przychylności. W ten sposób buduje się dzisiaj prawdziwą, choć z definicji niestabilną potęgę. Dodajmy na koniec, że ten tłum to potencjalnie my wszyscy, podłączeni pod globalną „społecznościową" sieć. Bez wyjątku. Nikt nie jest odporny na ten osobliwy efekt opisany wnikliwie przez Gustave'a Le Bona na przełomie XIX i XX stulecia.

Czy jednak można coś zrobić, żeby się w tłumie nie zgubić, nie stać bezwiednie jego częścią? Jest tylko jedna metoda – należy trzymać się od niego z daleka. Co oznacza dziś – tylko i aż – radykalnie ograniczyć aktywność w mediach „społecznościowych". Jednym słowem, przestać się wodzić na pokuszenie. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".



OGŁOSZENIE OPP

ORGANIZATORZY:
Kraków
Instytucja Kultury Miasta Krakowa
kbf:
Kraków Miasto Literatury UNESCO
Fundacja Tygodnika Powszechnego

DOFINANSOWANIE:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

PARTNERZY STRATEGICZNI:
Tygodnik Powszechny
Teatr im. Słowackiego w Krakowie

ToruńCAMERIMAGE

34.
MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY

7–14.11.2026, TORUŃ
KUJAWY POMORZE



więcej:

W TORUNIU PRZYSZŁOŚĆ WCHODZI NA PLAN!
TU ROZPOCZYNA DZIAŁALNOŚĆ STUDIO EUROPEJSKIEGO CENTRUM FILMOWEGO CAMERIMAGE!

ilustracja: MICHAŁ SAWTYRUK
idea plakatu: MAREK i PAWEŁ ŻYDOWICZ

HONOROWY PATRONAT MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA KUJAWSKO-POMORSKIEGO PIOTRA CAŁBECKIEGO

WSPÓŁFINANSOWANIE: MINISTER KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO, MIASTO TORUŃ ORAZ WOJEWÓDZTWO KUJAWSKO-POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MIASTO – GOSPODARZ: MIASTO TORUŃ

Partnerem Głównym i Mecenasem wydarzenia jest Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego
REGION – GOSPODARZ: KUJAWY POMORZE; Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

PARTNERZY OFICJALNI: ARRI, FilmLight, KGHM Polska Miedź, LOTTO

PARTNERZY BRANŻOWI: Nikon, SONY, harkness, FUJIFILM FUJINON, ZEISS, 60 Stowarzyszenie Filmowców Polskich

PATRONI MEDIALNI: eska, SUPER express, pap Polska Agencja Prasowa, Tygodnik Powszechny, KINO, FILM&TV KAMERA, FILMWEB, WP

DZIAŁANIA W RAMACH FESTIWALU SĄ WSPÓŁFINANSOWANE Z FUNDUSZY EUROPEJSKICH: Fundusze Europejskie dla Kujaw i Pomorza; Rzeczpospolita Polska; Dofinansowane przez Unię Europejską

Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego

www.visitTorun.com www.toruncamerimage.pl camerimage camerimage.festival

ORGANIZACJA I PRODUKCJA: FUNDACJA TUMULT; EUROPEJSKIE CENTRUM FILMOWE CAMERIMAGE

REKLAMA